W JEGO ŚLADY

Class PS 2809

Book .S55I6

Copyright No.

COPYRIGHT DEPOSIT.

COPYRIGHT 1918
BY
CHICAGO TRACT SOCIETY

FEB -6 1919

—Loreen!.....—powiedziała i urwała.

W JEGO ŚLADY

albo

Jakby Chrystus Postąpił?

Powieść

Napisał

Ks. Dr. KAROL M. SHELDON

Przekład z Angielskiego.

Wydanie drugie.

CHICAGO, ILLINOIS.

Nakładem
Chicagowskiego Towarzystwa Traktatowego.
1918.

Drukiem czcionkami "Słowa Żywota."

PS2809
.S55I6

©CI.A512274

no.1

PRZEDMOWA

Do Drugiego Wydania.

Kilka Amerykańskich chrześcijańskich przyjaciół zainteresowanych szczerze w czterech milionach narodu Polskiego tu w Ameryce, nie szukając zysków materjalnych dla siebie, ale tylko dobra jego, uczyniło możliwem wydanie niniejszej książki która stała się wielkim błogosławieństwem dla wielu narodów, dowodem czego jest wydanie jej w dwudziestu różnych językach.

Tłómacz tego dzieła, wydanego po raz pierwszy w Polskim języku w Krakowie, widać świetnie się wywiązał ze swego zadania.

Do obecnego wydania przyczynili się przedewszystkiem dwaj przyjaciele Polaków, Ks. Dr. J. W. Brooks, Superintendent Misyjnego Towarzystwa w Chicago, i Ks. Dr. R. J. Miller, wydawca "Słowa Żywota" w Pittsburghu. Oby praca ich znalazła przychylne przyjęcie wśród Szanownych Rodaków.

Marzec, 1918 r.

P. K.

W JEGO ŚLADY

ROZDZIAŁ I.

Było to w piątek rano; kiedy ksiądz Henryk Maxwell usiłował skończyć swe ranne kazanie na najbliższą niedzielę. Przerywano mu kilkakrotnie, to też stawał się podrażnionym coraz więcej, a kazanie zbliżało się bardzo powoli do zadowalającego zakończenia.

—Maryo—zawołał na swą żonę, idąc na górę po ostatniej przerwie, jeżeliby teraz przyszedł jeszcze ktokolwiek, to zechciej oświadczyć, że jestem bardzo zajęty i nie mogę schodzić na dół, chyba żeby interes był bardzo ważny.

—Dobrze, Henryku. Ale ja wychodzę do Kindergartenu, wskutek czego sam jeden zostaniesz w domu.

Ksiądz proboszcz poszedł na górę do swego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. W kilka minut słyszał jak żona wychodziła.

Usiadł tedy przy swem biurku z uczuciem ulgi i zaczął znowu pisać. Tekst wziął z I Piotra, 2:21, "Ponieważ do tego zostaliście wezwani, gdyż Chrystus także cierpiał za was, zostawiając wam przykład, abyście szli w Jego ślady." Położył on nacisk w pierwszej części swego kazania na zadośćuczynienie jako osobiste poświęcenie, zwracając uwagę na fakt,

że Chrystus cierpiał na różne sposoby w swem życiu zarówno jak i w swej śmierci. Potem traktował zadośćuczynienie jako przykład, dając ilustracyę z życia i nauki Chrystusa, aby wykazać, jakto wiara Chrystusa przyczyniła się do zbawienia ludzi, z powodu wzoru albo charakteru, jaki stawiał im przed oczy do naśladowania. W tej chwili był właśnie przy trzecim punkcie i ostatnim, mianowicie przy konieczności naśladowania Chrystusa w Jego poświęcaniu się.

Tylko co napisał słowa: "3 stopnie. Jakież one są?" i już miał je wyliczyć w logicznym porządku, kiedy odezwał się ostry głos dzwonka. Był to jeden z tych dzwonków zegarkowych, który dzwonił tak gwałtownie, jak gdyby zegar chciał wybić godzinę dwunastą w jednej chwili.

Henryk Maxwell nachmurzył się przy swem biurku i nie ruszył się na odgłos dzwonka. Wkrótce dzwonek odezwał się po raz drugi. Wtedy podniósł się i przeszedł do jednego z okien, wychodzących na drzwi frontowe.

Na schodach stał mężczyzna. Był to młody, bardzo nędznie ubrany człowiek.

—Wygląda na włóczęgę—rzekł proboszcz.—Muszę chyba zejść na dół i...

Nie skończył zdania, lecz zszedł na dół i otworzył drzwi.

Nastała chwila milczenia, kiedy dwaj mężczyźni znaleźli się twarz w twarz; potem nędznie wyglądający młody człowiek, odezwał się:

—Nie mam pracy, panie, ale myślałem, że może pan będzie wstanie nastręczyć mi cokolwiek.

—Nie wiem o niczem. Pracy jest mało—odparł

duchowny, zaczynając powoli przymykać drzwi.

—Możebyś mi pan mógł dać kilka słów do kolei miejskiej, do superintendenta warsztatów, czy coś podobnego — ciągnął młody człowiek, mnąc nerwowo swój spłowiały kapelusz.

—Toby się na nic nie zdało. Musisz mi pan wybaczyć. Jestem dziś bardzo zajęty. Mam nadzieję, że uda się panu znaleść cokolwiek. Przykro mi, że nie mogę dać zajęcia u siebie. Ale trzymam jeno konia i krowę i spełniam całą pracę sam.

Wielebny Henryk Maxwell zamknął drzwi i słyszał, jak nieznajomy zszedł ze schodów. Wracając na górę do swego gabinetu widział z okna w sionce, że mężczyzna kroczył zwolna w dół ulicy, ciągle trzymając kapelusz w ręku. W postaci tej było coś przygnębionego, bezdomnego i opuszczonego, że duchowny zawahał się na chwilę na ten widok. Potem zwrócił się do swego biurka i z westchnieniem zaczął na nowo pisać tam, gdzie przerwał.

Nie miał już więcej przerw, to też kiedy w dwie godziny potem, żona jego wróciła do domu, kazanie było skończone, luźne ćwiartki zebrane i pięknie związane, wreszcie złożone na Biblii, gotowej na służbę Bożą w niedzielę rano.

—Wiesz, Henryku, że dziwna rzecz zdarzyła się dziś rano w Kindergartenie—rzekła żona podczas obiadu.—Poszłam uważasz z panią Brown odwiedzić szkółkę, gdzie bezpośrednio po zabawach, gdy dzieci siedziały przy stołach, otworzyły się drzwi, przez które wszedł młody człowiek z brudnym kapeluszem w ręku. Usiadł w blizkości drzwi i nie rzekł ani słowa, tylko patrzał na dzieci. Wyraźnie był to włoczęga, a

miss Wren i jej komornica miss Kyle, przelękły się naprzód zlekka, ale on siedział sobie całkiem spokojnie a w kilka minut wyszedł.

—Może był znużony i pragnął wypocząć gdziekolwiek. Zdaje mi się, że ten sam człowiek zachodził tutaj. Powiadasz, że wyglądał na włóczęgę?

—O tak był bardzo zapylony, obdarty i nędzny; nie mógł mieć więcej, niż trzydzieści lub trzydzieści trzy lata.

—Ten sam człowiek—powiedział wielebny Henryk Maxwell, w zamyśleniu.

—Czyś skończył swe kazanie, Henryku?—spytała żona po chwili.

—Tak, skończyłem całkiem. Miałem bardzo pracowity tydzień. Dwa kazania kosztują mnie sporo wysiłku.

—Ufam, że liczni słuchacze ocenią je jutro należycie—odparła żona z uśmiechem.—O czem masz kazać rano?

—O naśladowaniu Chrystusa. Biorę zadośćuczynienie pod postaciami poświęcenia i przykładu, a potem wykazuję drogi, potrzebne do naśladowania Jego ofiary i przykładu.

—Jestem pewna, że to będzie dobre kazanie. Ufam, że nie będziemy mieć deszczu w niedzielę. Ostatnio mieliśmy tyle dżdżystych dni.

—Tak, istotnie, zebrania były od jakiegoś czasu wcale nieliczne. Ludzie nie chcą iść do kościoła w burzę.—Wiel. Hen. Maxwell westchnął, mówiąc to. Myślał bowiem o troskliwych i pracowitych wysiłkach, jakie robił, przygotowując kazania dla licznych słuchaczy, którzy się nie zjawiali.

Ale poranek niedzielny zapowiadał w mieście Raymond jeden z tych pięknych dni, jakie pojawiają się czasami po długich peryodach wiatru, deszczu i błota. Powietrze było czyste i ożywcze, niebo jasne i od wszelkich groźnych objawów wolne, a każdy parafianin Henryka Maxwella gotował się iść do kościoła. Kiedy służba Boża zaczęła się o jedenastej godzinie wielki budynek wypełniony był słuchaczami, złożonymi z najlepiej ubranych i najmilej wyglądających mieszkańców Raymondu.

Pierwszy kościół w Raymond wierzył, że posiada najlepszą muzykę, jaką można mieć za pieniądze, a jego kwartet był tego właśnie ranka źródłem wielkiej przyjemności dla kongregacyi. Hymn był zaiste natchniony. Cały śpiew odpowiadał w zupełności przedmiotowi kazania, a było to pracowite przystosowanie do nowoczesnej muzyki hymnu:

Chryste, wziąłem swój krzyż,
Aby wszystko rzucić a iść za Tobą.

Przed samem kazaniem sopran odśpiewał solo, dobrze znany hymn:

Pójdę, dokąd On mnie zaprowadzi;
Pójdę z Nim, z Nim całą drogę.

Rachela Winslow wyglądała tego ranka bardzo pięknie, stojąc za parawanem z rzeźbionego dębu, bardzo wyraźnie naznaczonego emblematami krzyża i koronek. Głos jej był piękniejszym nawet od jej twarzy cudownej urody. W audytoryum dał się słyszeć szmer oczekiwania, kiedy ona się podniosła. Henryk Maxwell usiadł z zadowoleniem poza pulpitem,

Śpiew Racheli Winslow był mu zawsze pomocny. To też zwykle naznaczał śpiew przed kazaniem. Wiedział bowiem, że pewne natchnienie uczucia uczyni jego słowa wyrazistszemi.

Ludzie mówili sobie, że takiego śpiewu nie słyszeli nawet w Pierwszym kościele. Nie ulega wątpliwości, że gdyby to nie była służba Boża, solo zostałoby oklaskane z zapałem. Siedzącemu Maxwellowi zdawało się nawet, że przez kościół przeszło coś w rodzaju usiłowania oklasku, czy uderzania stopami o ziemię. Zdziwiło go to. Gdy powstał atoli i położył swe kazanie na otwartej Biblii, powiedział sobie, że mu się tylko zdawało, oczywiście nic podobnego nie mogło się zdarzyć. W kilku chwil potem zagłębił się w kazaniu, zapominając w zapale mowy o wszystkiem innem.

Nigdy nikt nie oskarżał Maxwella o to, żeby był nudnym kaznodzieją. Przeciwnie, często zarzucano mu, że jest senzacyjny. Nie tyle w tem, co mówił, jak w sposobie wygłaszania swych kazań. Ale parafianie Pierwszego kościoła lubili to. Dawało to ich kaznodziei, oraz ich parafii pewne cechy wyłączne, które były im miłe.

Było też prawdą, że proboszcz Pierwszego kościoła lubił kazać. Rzadko dał się zastąpić. Pragnął być za swym pulpitem, gdy niedziela nadeszła. Doświadczał on miłej pół godziny, gdy stał wobec kościoła, pełnego ludzi i wiedział, że go słuchają. Był on szczególniej wrażliwy na wahania w audytoryum. Nigdy nie mówił dobrze przed małą liczbą słuchaczy. Pogoda również wpływała na niego bardzo stanowczo. Najlepiej czuł się przed takim audytoryum, jakie miał właśnie przed sobą i to w taki właśnie poranek. Czuł on czar

zadowolenia podczas wygłaszania kazania. Kościół był pierwszym w mieście. Posiadał najlepszy chór. Członkowie kongregacyi rekrutowali się z najlepszych ludzi, przedstawicieli bogactwa, towarzystwa, oraz inteligencyi Raymondu. W lecie jechał sobie zagranicę na trzymiesięczne wakacye, a stosunki jego probostwa, jego wpływ i stanowisko jako proboszcza Pierwszego kościoła w mieście...

Nie jest rzeczą pewną, w jaki sposób wiel. Henryk Maxwell mógł żywić te wszystkie myśli w związku ze swem kazaniem, ale w miarę zbliżania się ku końcowi czuł, że przecież w którymś momencie swego kazania doznał tych wszystkich uczuć. Stały się one częścią składową jego myśli i mogły zająć mu ledwie kilka sekund czasu; ale świadomy był takiego definiowania swego stanowiska i swych wrażeń, jak gdyby rozmawiał sam ze sobą, a wygłoszenie kazania odbiło w sobie dreszcz głębokiego osobistego zadowolenia.

Kazanie było zajmujące i pełne uderzających zdań. Zwróciłyby one na siebie uwagę nawet wydrukowane. Wygłoszone z dramatycznem uczuciem, którego nie zepsuł nigdy pozorami deklamacyi lub bombastu były bardzo efektowne. Jeżeli wiel. Menryk Maxwell czuł tego ranka zadowolenie ze stosunków swego probostwa, to parafia Pierwszego kościoła doznawała tegoż samego uczucia, winszując sobie okoliczności, że z pulpitu spogląda na nią rozumna, delikatna, nieco uderzająca twarz i postać, każąca z takim zapałem i zupełnym brakiem wulgarnej, głośnej, lub niemiłej maniery.

Nagle wśród tej doskonałej zgody pomiędzy kaznodzieją a słuchaczami zaszło dziwaczne intermezzo.

Trudno przyszłoby określić rozmiar wstrząśnienia, wywołanego tem intermezzo. Było ono tak nieoczekiwane, tak sprzeczne jakiejkolwiek myśli kogokolwiek z obecnych, że nie zostawiało miejsca na argumentacyę, albo też na opór w danej chwili.

Kazanie skończyło się. Wiel. Henryk Maxwell zamknął połowę wielkiej Biblii na swym manuskrypcie i już miał siąść, kiedy kwartet zabierał się do powstania i odśpiewania ostatniej strofy:

Wszystko dla Chrystusa, wszystko dla Chrystusa,
Wszystkie okupione władze mej istoty,

gdy całą kongregacyę uderzył dźwięk męskiego głosu. Wychodził on z tyłu kościoła z jakiegoś siedzenia pod galeryą. W następnej chwili postać mężczyzny wysunęła się z cieniu i przeszła przez środkową nawę.

Nim zdumiona kongregacya spostrzegła co się dzieje, mężczyzna doszedł do wolnego miejsca przed pulpitem i zwrócił się twarzą ku zgromadzonym.

—Od chwili, jak tu wszedłem, zastanawiałem się—oto były słowa, jakie wygłosił pod galeryą, a które teraz powtórzył—czy byłoby rzeczą właściwą powiedzieć kilka słów po skończonej służbie Bożej. Nie jestem ani pijany ani obłąkany, przytem absolutnie nieszkodliwy; ale jeżeli umrę, co niewątpliwie nastąpi w ciągu kilku dni, to chcę mieć zadowolenie, że powiedziałem swoje w takiem jak tu miejscu i to mianowicie przed takim gatunkiem tłumu.

Henryk Maxwell nie zajął swego siedzenia, a teraz ciągle stał, oparty o pulpit i patrzył w dół na obcego przybysza. Był to ten sam mężczyzna, który przy

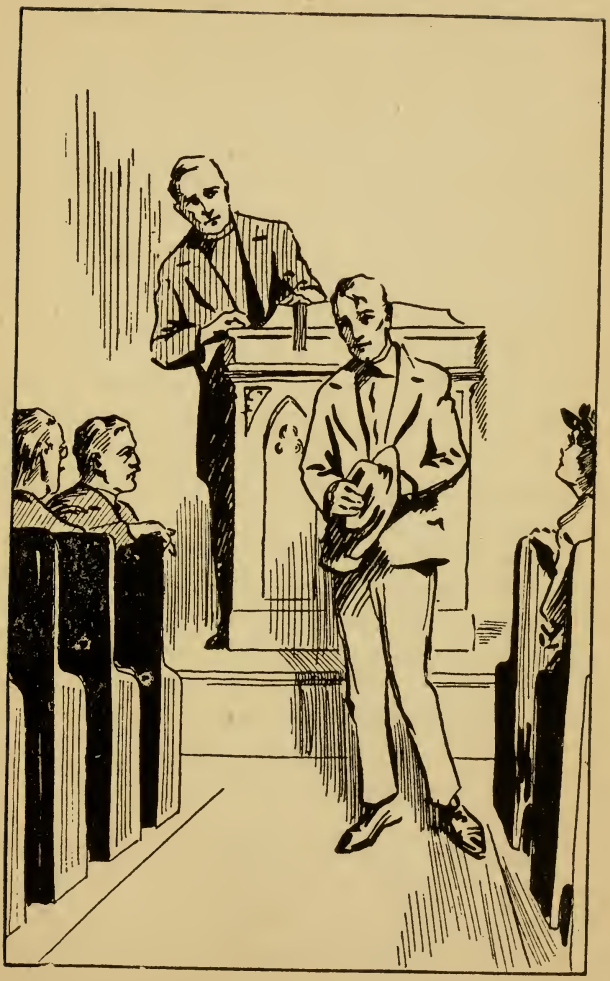

szedł do niego w piątek rano, ten sam zapylony, obdarty, nędznie wyglądający człowiek. Spłowiały kapelusz trzymał w ręku. Była to zdaje się jego ulubiona pozycya. Nie był on ogolony, a włosy jego były zmierzwione. Wątpić należy, czy kiedykolwiek taki człowiek stanął przed kongregacyą Pierwszego kościoła w jego sanktuaryum. Znała ona tego rodzaju ludzi na ulicy, wokoło warsztatów kolejowych, chodzących po avenue, ale nie śniło się jej nigdy o ujrzeniu kogoś podobnego tak blizko siebie.

W zachowaniu się i głosie mężczyzny nie było nic obrażającego. Nie był on podniecony, mówił zaś nizkim, ale wyraźnym głosem. Henryk Maxwell stając w niemym podziwie z powodu tego zdarzenia; posiadał jednakże pełną świadomość, że zachowanie się tego mężczyzny przypominało mu kogoś, widzianego kiedyś w jednym z jego snów.

Nikt w kościele nie poruszył się dla powstrzymania obcego, lub przerwania mu. Być może, iż pierwsze wstrząśnienie tego nagłego zjawiska pogłębiło się w rzetelne zakłopotanie co do tego, jak należało sobie postąpić. Cokolwiekbądź, obcy ciągnął dalej, jak gdyby możliwość przerwania przez myśl mu nie przeszła, ani też idea o niezwykłym pierwiastku, wprowadzonym do dekorum służby Bożej Pierwszego kościoła.

Podczas jego całego przemówienia Henryk Maxwell stał przechylony przez pulpit z twarzą coraz bardziej blednącą i przybierającą smutny wyraz. Ale nie poruszył się dla powstrzymania go, ludzie zaś siedzieli w głuchem milczeniu. Inna jeszcze twarz, blada twarz Racheli Winslow, wpatrywała się uporczywie

w nędzną postać z wypłowiałym kapeluszem. Twarz jej była zawsze uderzającą. Pod wrażeniem obecnego niesłychanego zdarzenia, pałała jakby ogniem.

—Nie jestem zwyczajnym włóczęgą, chociaż nie znam żadnej nauki Chrystusa, któraby mówiła, że jeden rodzaj włóczęgi zasługuje w mniejszym stopniu na zbawienie, niż drugi. A wy znacie? Postawił on to pytanie w tak naturalny sposób, jak gdyby całe zgromadzenie było na lekcyi czytania Biblii. Spauzował chwilę i zakaszlał boleśnie. Potem ciągnął dalej:

—Straciłem zajęcie dziesięć miesięcy temu, a jestem drukarzem z zawodu. Nowe maszyny drukarskie są pięknymi okazami pomysłowości, ale znam sześciu ludzi, którzy odebrali sobie życie w ciągu roku, właśnie z powodu tych maszyn. Nie ganię oczywiście gazet za nabywanie tych maszyn. Ale tymczasem cóż człowiek ma czynić? Nigdy nic uczyłem się więcej nad jedno rzemiosło i oto cała moja umiejętność. Przeszedłem pieszo cały kraj, próbując znaleźć cokolwiek. Jest wielu takich samych jak ja. Ale ja się nie skarżę, czyż nie tak? Konstatuję jeno fakty. Ale siedząc tam pod galeryą zastanawiałem się nad tem, czyto co wy nazywacie naśladowaniem Chrystusa, jest tem samem, co On nauczał. Co On myślał wtedy, kiedy mówił: "Idź za mną." Duchowny powiedział:—Tu mężczyzna zwrócił się i spojrzał na pulpit—"że jest rzeczą konieczną ucznia Chrystusa iść w Jego ślady, a śladami tymi, są według Jego słów: posłuszeństwo, wiara, miłość i naśladowanie. Ale nie słyszałem, żeby powiedział, co on przez to rozumie, a mianowicie przez to ostatnie. Co chrześcijanie rozumieją przez chodzenie w ślady Chrystusa? Włóczyłem się po mieście przez

trzy dni w pogoni za pracą, a w ciągu tego całego czasu nie usłyszałem ani słowa współczucia lub pociechy, z wyjątkiem z ust waszego tu duchownego, który powiedział, że mnie żałuje i że ufa iż znajdę pracę gdziekolwiek. Przypuszczam, że zawodowe włóczęgi tak was wyzyskują, iż nie zajmujecie się temi niezawodowymi. Wszakże ja nie ganię nikogo, czyż nie tak? Konstatuję tylko fakty. Rozumiem oczywiście, że nie możecie wszyscy zająć się wyszukiwaniem pracy dla takich, jak ja ludzi. Nie proszę was oto wcale, ale co mnie zdumiewa, to znaczenie naśladowania Chrystusa? Czy chcecie przez to powiedzieć że cierpicie i zapieracie się siebie samych i staracie się ocalić straconą cierpiącą ludzkość tak jak to, o ile rozumiem, czynił Chrystus? Co rozumiecie przez to? Patrzę ja dosyć na ciemne strony spraw ludzkich. O ile wiem, jest w naszem mieście pięciuset takich jak ja ludzi. Większość z nich posiada rodziny. Żona moja umarła cztery miesiące temu. Cieszy mnie, że nie ma już tych strapień. Mała moja córeczka jest u jednego z drukarzy, póki nie znajdę zajęcia. Nie mieści mi się jakoś w głowie, gdy widzę tylu chrześcijan, żyjących w zbytkach i śpiewających: "Chryste, wziąłem Twój krzyż, aby wszystko rzucić, a iść za Tobą" i pamiętam równocześnie, jak żona moja zmarła w Nowym Yorku w norze, chwytając powietrze i prosząc, żeby Bóg zabrał też jej małą córeczkę. Rozumiem oczywiście, że wy nie możecie każdemu oszczędzić śmierci głodowej, braku właściwego pokarmu i złego powietrza, ale cóż w takim razie znaczy naśladowanie Chrystusa? Wiem, że chrześcijanie właśnie posiadają wiele tenementów (duże domy w Ameryce, mieszczące znaczą ilość bied-

nych mieszkańców. Przyp. tłóm.). Członek kościoła był właścicielem tego tenementu, w którym zmarła moja żona, to też zastanawiałem się, czy i w jego wypadku można było mówić o naśladowaniu Chrystusa. Onegdaj wieczorem słyszałem, jak ludzie śpiewali w kościele podczas mityngu:

> Wszystko dla Jezusa,
> wszystkie okupione władze mej istoty;
> myśli, czyny, dni, godziny,

a siedząc na schodach, rozmyślałem, co oni przez te słowa rozumieli. Zdaje mi się że jest na świecie ogromna ilość zmartwienia, któreby zapewne nie istniało, gdyby ludzie, śpiewający takie pieśni, chcieli według nich żyć. Przypuszczam zresztą, że ja tego nie rozumiem. Ale jakby Chrystus postąpił? Czy wy to rozumiecie przez wstępowanie w Jego ślady? Czasami, zdaje mi się, jak gdyby ludzie w kościołach miejskich mieli dobre ubrania i piękne domy mieszkalne, i pieniądze do wydania na zbytki i żeby mogli wyjeżdżać na letnie wakacye i tak dalej, podczas gdy ludzie poza kościołami, mam na myśli tysiące takich ludzi, umierają w tenementach i włóczą się po ulicach za pracą, nie mając nigdy w domu fortepianu, lub obrazu, wzrastając w nędzy, pijaństwie i grzechu.—Mężczyzna zatoczył się w dziwny sposób ku opodal stojącemu stolikowi, na którym sparł się swą brudną dłonią, kapelusz upadł na dywan u jego stóp. Szmer przebiegł kongregacyą. Dr. West podniósł się na poły, ale milczenia nie przerwał żaden głos ani też ruch, o którymby warto mówić. Mężczyzna przeciągnął drugą dłonią po oczach, a potem bez żadnej zapowiedzi

upadł przed siebie na twarz wzdłuż nawy.

Henryk Maxwell odezwał się: "Uważam służbę Bożą za skończoną." Zbiegł po stopniach pulpitu i ukląkł przy rozciągniętym mężczyźnie nim ktokolwiek się ruszył. Audytoryum opuściło natychmiast siedzenia i nawa zaroiła się. Dr. West oświadczył, że mężczyzna żyje; zemdlał tylko. "Jakaś choroba sercowa," mruknął doktor, pomagając znieść go do gabinetu ks. proboszcza.

Henryk Maxwell i grupa członków jego kościoła pozostali przez czas jakiś w gabinecie. Mężczyzna leżał na kanapie, ciężko oddechając. Gdy powstało pytanie, co z nim zrobić, duchowny obstawał przy zabraniu go do swego domu. Mieszkał on bowiem niedaleko i miał zbywający pokój. Rachela Winslow odezwała się: "Matka nie ma w tej chwili gości. Jestem pewna, żebyśmy chętnie mogli dać u siebie schronienie." Zdawała się być dziwnie wzburzona, chociaż nikt nie zauważył tego. Wszyscy byli podnieceni przez dziwne zdarzenie, najosobliwsze, jakie członkowie Pierwszego kościoła mogli sobie przypomnieć. Ale duchowny obstawał przy roztoczeniu opieki nad mężczyzną i gdy nadjechał powóz, nieprzytomny lecz żywy chory został zawieziony do jego domu, a razem z wejściem tej istoty do małej izby proboszcza, zaczął się nowy rozdział w życiu Henryka Maxwella, a jednakże nikt, najmniej on sam, nie marzył nawet o szczególnej zmianie, jaką miał sprowadzić w całej swej późniejszej definicyi chrześcijańskiego uczennictwa.

Wypadek wywołał wielką senzacyę w parafii Pierwszego kościoła. Ludzie przez cały tydzień o ni-

czem innem nie mówili. Ogólnem wrażenie było takie, że ów mężczyzna wszedł do kościoła w stanie wzburzenia umysłowego, wywołanego kłopotami i że podczas całej przemowy znajdował się po prostu w napadzie gorączki, istotnie zaś nie miał całkiem świadomości swego otoczenia.

Trzeciego dnia po przeniesieniu do domu proboszcza nastąpiła wyraźna zmiana w stanie chorego. Doktor oświadczył to i nie żywił żadnej nadziei. W sobotę rano jeszcze żył, jakkolwiek zapadał nagle pod koniec tygodnia. W niedzielę rano przed samą pierwszą, ocknął się i zapytał, czy dziecko jego przybyło. Ksiądz posłał po nie natychmiast, jak skoro tylko zdołał upewnić się o adresie, znalezionym w listach, które były w kieszeniach chorego. Od chwili ataku, miał świadomość i mógł mówić do sensu, zaledwie przez kilka przelotnych chwil.

—Dziecko w drodze. Tylko co go nie widać—mówił Henryk Maxwell siedząc przy chorym, a twarz jego zdradzała ślady całotygodniowego czuwania. Obstawał bowiem przy tem, aby czuwać niemal co noc.

—Nie ujrzę jej nigdy na tym świecie—szepnął mężczyzna. Potem wykształcił z wielką trudnością słowa: "Byłeś pan dobrym dla mnie. Zdaje mi się jakoś, że tak byłby właśnie Chrystus postąpił." Po kilku chwilach zwrócił łagodnie głowę, a nim Henryk Maxwell mógł skonstatować fakt, doktór odezwał się: "Umarł."

Poranek niedzielny, który nas teraz obchodzi, był zupełnie podobny do poranka niedzielnego przed tygodniem. Henryk Maxwell wstąpił na pulpit, wobec jednej z najliczniejszych kongregacyi, jakie zebrały

się kiedykolwiek w Pierwszym kościele. Był on wychudły i tak wyglądał, jakby tylko co powstał z długiej choroby. Żona jego została w domu z małą dziewczynką, która przybyła rannym pociągiem w godzinę po śmierci ojca. Leżał on w tym małym pokoju, wolny już od trosk, a Henryk Maxwell widział jego twarz, otwierając Biblię i układając różne notatki na boku biurka, jak to miał zwyczaj czynić przez lat dziesięć.

Służba Boża wykazała tym razem nowy element. Nikt nie pamiętał, żeby ksiądz miał ranne kazanie bez rękopisu. Czynił to czasami na samym początku swojej karyery, ale oddawna już wypisywał troskliwie każde słowo swego rannego kazania, a prawie zawsze i swą wieczorną konferencyę także. Nie można powiedzieć, żeby kazanie tego ranka było bardzo uderzające lub czyniące wrażenie. Mówił ze znaczną niepewnością siebie. Wyraźnie jakaś wielka myśl walczyła w jego głowie o wypowiedzenie się, lecz nie wyrażała się ona w temacie, wziętym za punkt wyjścia dla kazania. Dopiero pod koniec kazania, zaczął skupiać swe siły, których w bolesny sposób brakowało mu na wstępie. Zamknął Biblię i stając na boku pulpitu spojrzał na swych ludzi i zaczął mówić do nich o zdumiewającym wypadku ubiegłego tygodnia.

"Brat nasz," jakoś dziwnie brzmiały te słowa w ustach Henryka Maxwella, "skonał dziś rano. Nie miałem jeszcze czasu poznać jego całych dziejów. Ma on siostrę, mieszkającą w Chicago. Pisałem do niej, ale nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi. Mała jego córeczka jest u nas i pozostanie jeszcze czas jakiś."

Urwał i powiódł wzrokiem po zgromadzeniu. Zda-

wało mu się, że nigdy jeszcze nie widział tyle poważnych twarzy podczas swego całego probostwa. Nie był on jeszcze wstanie objawić ludziom swych doświadczeń, oraz kryzysu, przez jaki nawet w tej chwili przechodził. Ale nieco z jego uczucia udzieliło się słuchaczom i nie zdawało się mu, że działa pod słabą podnietą, mając zamiar tego właśnie poranka otworzyć przed niemi swe serce. To też mówił dalej:

"Zjawienie się i słowa obcego w kościele zeszłej niedzieli uczyniły na mnie bardzo potężne wyrażenie. Nie jestem w stanie ukryć przed wami, lub przed sobą samym faktu, że to, co on powiedział, potwierdzone jego śmiercią w moim domu, zniewoliło mnie do zapytania tak, jak nigdy przedtem nie pytałem: Co znaczy naśladowanie Chrystusa? Nie jestem jeszcze w stanie wygłosić żadnego potępienia tych ludzi, albo do pewnego stopnia i siebie samego, za nasz chrześcijański stosunek do tego człowieka, albo tych wszystkich, których on na świecie reprezentuje. Ale wszystko to nie powstrzymuje mnie od poczucia, że wiele z tego, co ów człowiek powiedział, jest tak istotnie prawdziwem, że musimy dotknąć się tego w chęci dania odpowiedzi, albo w innym razie musimy jako uczniowie Chrystusa zasłużyć na potępienie. Wiele słów powiedzianych tu ostatniej niedzieli nosiło charakter wyzwania chrześcijaństwa, reprezentowanego przez nasze kościoły. Z każdym dniem odczuwałem to coraz bardziej. I bodaj żadna pora nie nadaje mi się bardziej od obecnej do przedstawienia planu lub przedsięwzięcia, które powstawały w moim umyśle jako zadowalająca odpowiedź na wiele rzeczy, poruszonych tu zeszłej niedzieli."

Henryk Maxwell zatrzymał się znowu i spojrzał w twarze swych ludzi. Byli tam dzielni i poważni mężczyźni, były takież niewiasty wśród kongregacyi Pierwszego kościoła. Ksiądz proboszcz mógł dojrzeć Edwarda Normana, redaktora gazety Daily News ("Wiadomości codzienne." Przy. tłóm.) Był on członkiem Pierwszego kościoła przez ostatnich dziesięć lat. Nikt nie był w gminie tak szanowanym. Był tam Aleksander Powers, superintendent warsztatów kolejowych. Był też Ronald Marsh, prezydent Lincoln College, znajdującego się na przedmieściu Raymondu. Był tam i Milton Wright, jeden z wielkich kupców Raymondu, zatrudniający w swej służbie przynajmniej setkę ludzi. Niebrakło Dra Westa, który jakkolwiek względnie młody, był uważany za autoryt w specyalnych wypadkach chirurgicznych. Był tam młody Jasper Chase, pisarz, który napisał jednę, mającą powodzenie książkę, a pracował podobno nad nową powieścią. Była tam miss Virginia Page, dziedziczka, która wskutek niedawnej śmierci swego ojca odziedziczyła milion co najmniej i była obdarzona niezwykłymi przymiotami ciała i umysłu. Wreszcie choć wcale nie ostatnia Rachela Winslow promieniała ze swego siedzenia w chórze, szczególniejszą pięknością, ponieważ się mocno całą sprawą zainteresowała.

Wobec takiego zgromadzenia w Pierwszym kościele istniało zapewne niejakie usprawiedliwienie uczucia zadowolenia, z jakiem Henryk Maxwell spoglądał na swą parafię, jak to właśnie uczynił ubiegłej niedzieli. Miał on przed sobą sporą ilość silnych charakterów indywidualnych, które należały do członków jego kongregacyi. Ale patrząc na ich twarze tego rana Hen-

ryk Maxwell rozmyślał nad tem, ilu też z obecnych odpowie na dziwną propozycyę, którą miał im uczynić. Ciągnął swe przemówienie powoli, dobierając słowa starannie i czyniąc na słuchaczach wrażenie, jakiego nigdy przedtem nie doznawali, nawet kiedy był w najlepszej ze swych chwil i w najdramatyczniejszym nastroju: "To co zamierzam wam obecnie zaproponować, jest czemś, co nie powinno wydać się niezwykłem lub niemożliwem do wykonania. A jednak pewny jestem, iż rzecz tak będzie uważana przez znaczną zapewne ilość członków kościoła. Ale w celu gruntownego zrozumienia tego, co rozważamy, uczynię wam moją propozycyę bardzo jasno, być może ostro. Pragnę znaleźć w Pierwszym kościele ochotników, którzy zechcą ślubować poważnie i uczciwie nie czynić przez cały rok nic, bez poprzedniego postawienia pytania; "Jakby Chrystus postąpił?" A po postawieniu tego pytania, każdy zechce naśladować Chrystusa z możliwą ścisłością bez względu na możliwe skutki. Siebie włączę oczywiście do tego towarzystwa ochotników i przyjmę za rzecz pewną, że kościół mój nie będzie zdziwiony mojem przyszłem zachowaniem się, opartem na tej zasadzie postępowania i nie będzie się sprzeciwiał niczemu, coby jego zdaniem i Chrystus uczynił. Czy wyrażam się jasno? Po skończeniu służby Bożej, ci wszyscy członkowie kościoła, którzy są gotowi przyłączyć się do takiego towarzystwa, niech pozostaną, a pomówimy szczegóły mego planu. Naszem motto będzie pytanie: Jakby Chrystus postąpił? Celem naszym będzie postępować tak, jakby On postąpił, gdyby się znalazł na naszem stanowisku i to bez względu na bezpośrednie natępstwa. Innemi słowy, proponuję

naśladować Chrystusa tak ściśle i tak dosłownie, jak według naszego wierzenia On uczył swych zwolenników. A ci, którzy okażą gotowość czynienia tak, zrobią ślub na cały rok, zaczynając od dziś dnia."

Henryk Maxwell zatrzymał się znowu i powiódł wzrokiem po kościele. Nie łatwo opisać wrażenie, jakie tak prosta pozornie propozycya sprawiła. Ludzie spoglądali na siebie w zdumieniu. Takie określenie chrześcijańskiego uczennictwa nie wyglądało wcale na Henryka Maxwella. Propozycya jego wywołała wyraźne zamieszanie w myślach. Rozumiano ją dobrze, ale wyraźnie istniała wielka różnica zdań co do stosowania nauki i przykładu Chrystusa.

Henryk Maxwell zakończył spokojnie służbę Bożą krótką modlitwą. Organista zaczął swoje postludyum (przeciwieństwo do preludyum. Przyp. tłóm.) natychmiast po błogosławieństwie, a ludzie zaczęli wychodzić. Powstała ożywiona konwersacya. Małe grupki, stały rozsypane po kościele, omawiały propozycyę proboszcza, która wyraźnie wzbudziła wielką dyskusyę. Po upływie kilku minut Henryk Maxwell poprosił wszystkich, którzy mieli zamiar zostać, aby przeszli do sali odczytowej. On sam zatrzymał się na przedzie kościoła, rozprawiając z kilku osobami, a kiedy się wreszcie odwrócił, kościół był pusty. Podszedł do drzwi sali odczytowej i otworzył je. Zadziwił się niemal widokiem ludzi, których tam ujrzał. Nie wyrobił sobie opinii o żadnym ze swych członków, ale wprost nie oczekiwał, aby tylu było gotowych poddać się tak dosłownej próbie owego uczennictwa, jaka ich czekała. Obecnych było około pięćdziesięciu członków. Wśród nich były Rachela Winslow i Virginia Page,

Mr. Norman, prezydent Marsh, Aleksander Powers, superintendent kolejowy, Milton Wright, Dr. West i Jasper Chase.

Ksiądz proboszcz zamknął drzwi sali odczytowej i stanął przed małą grupą. Twarz jego była blada a usta drżały od wzruszenia. Był to dla niego prawdziwy kryzys w jego własnem życiu i w życiu jego parafii. Żaden człowiek nie wie, do czego jest zdolny, nim go Boski Duch nie wzruszy, nie wie, jak może zmienić bieg ustalonych zwyczajów myśli, mowy i uczynków. Henryk Maxwell, jak powiedzieliśmy, nie rozumiał jeszcze tego wszystkiego, przez co sam przechodził, ale miał świadomość wielkiego przewrotu w swym określeniu chrześcijańskiego uczennictwa, oraz niezmierzonej głębi uczucia, w chwili, gdy patrzył w twarz tym mężom i niewiastom.

Zdawało mu się, że najwłaściwszem słowem inauguracyjnem będzie modlitwa. Prosił więc wszystkich o pomodlenie się razem z nim. Niemal po pierwszej wymówionej przez niego zgłosce wszyscy odczuli wśród siebie obecność Ducha. W miarę postępu modlitwy obecność ta nabierała siły. Wszyscy to odczuwali. Izba wypełniła się nią tak wyraźnie, jakby ją można było widzieć. Gdy modlitwa się skończyła, nastała kilkuminutowa cisza. Wszystkie głowy były pochylone. Twarz Henryka Maxwella była od łez wilgotna. Gdyby wyraźny głos z nieba uświęcił ich ślub kroczenia w ślady Mistrza, nikt z obecnych nie mógłby się czuć pewniejszym Boskiego błogosławieństwa. W ten sposób zaczął się najpoważniejszy ruch, jaki kiedykolwiek powstał w Pierwszym kościele.

—Pojmujemy wszyscy—odezwał się Henryk Max-

well, mówiąc bardzo spokojnie—cośmy się podjęli robić. Ślubujemy czynić wszystko w naszych sprawach codziennych, stosownie do odpowiedzi na pytanie: Jakby Chrystus postąpił? bez względu na to, jakie to może pociągnąć następstwa dla nas. Kiedyś będę wstanie powiedzieć wam, jaka zdumiewająca zmiana zaszła w mojem życiu w ciągu jednego tygodnia. Teraz nie mogę tego uczynić. Ale doświadczenie, przez jakie przeszedłem od ostatniej niedzieli, uczyniło mnie tak niezadowolnionym z mej poprzedniej definicyi uczennictwa, że zostałem zniewolony do podjęcia tej akcyi. Nie śmiałem zaczynać sam. Wiem, że w tem wszystkiem kieruje mną dłoń Boskiej miłości. Ta sama Boska pobudka musiała pokierować i wami. Czy rozumiemy kompletnie swoje przedsięwzięcie?

—Pragnę postawić jedno pytanie—rzekła Rachela Winslow.

Wszyscy zwrócili się ku niej. Twarz jej jaśniała pięknością, której żaden wdzięk nie był wstanie stworzyć.

—Pozostaję nieco w wątpliwości co do źródła naszej wiedzy, odnoszącej się do tego, jakby Chrystus postąpił. Kto ma rozstrzygać dla mnie, jakby właśnie postąpił w moim wypadku? Całkiem to różny świat. Istnieje wiele zawiłych spraw w naszej cywilizacyi, z których nie ma wzmianki o nauce Chrystusa? Skądże więc mam wiedzieć, jakby On postąpił?

—Niema na to sposobu, o którym jabym wiedział —odparł Henry Maxwell—jak chyba studyowanie Chrystusa zapomocą Ducha św. Przypominacie sobie, co powiedział Chrystus, mówiąc do swych uczniów o Duchu św.:

"Jakkolwiekby nie było, gdy On, Duch Prawdy, przybędzie, poprowadzi was ku wszelkiej prawdzie: ponieważ nie będzie On przemawiał w Swem własnem imieniu; ale jakiekolwiek rzeczy usłyszy, takie też opowie i objawi On wam rzeczy, które mają dopiero przyjść. Będzie On sławił mnie: gdyż weźmie ode mnie i da wam. Wszystkie rzeczy, które Ojciec posiada, do mnie należą: dlatego też powiedziałem, że On weźmie ode mnie i da wam!

"Nie wiem o innej próbie. Wszyscy będziemy musieli z tego źródła zaczerpnąć wiedzy o tem, jakby Chrystus postąpił."

"A gdyby też inni powiedzieli o nas, że Chrystus nie byłby tak postąpił—spytał superintendent kolejowy.

Nie możemy zapobiedz temu. Ale musimy być sami absolutnie uczciwi. Zasada postępowania chrześcijańskiego nie może się bardzo różnić w największej ilości naszych postępków.

—A jednak co według jednego członka kościoła Chrystus uczyniłby, to drugi wzbrania się przyjąć jako możliwy przebieg swojej czynności. Co więc ma nadać naszemu postępowaniu jednostajny chrześcijański charakter? Czy będzie rzeczą możliwą osiągnąć zawsze te same wnioski we wszystkich przypadkach?—spytał prezydent Marsh.

Henryk Maxwell milczał czas jakiś, potem odparł:

—Nie. Nie sądzę, abyśmy się mogli tego spodziewać. Ale gdy dojdzie do rzetelnego, uczciwego, oświeconego kroczenia w ślady Chrystusa, nie mogę uwierzyć, aby powstało jakiekolwiek zamieszanie bądź to w naszych własnych zmysłach, bądź też w sądach in-

nych. Musimy być wolni od fanatyzmu z jednej, a od zbyt wielkiej ostrożności z drugiej strony. Jeżeli przykład Chrystusa jest przykładem dla całego świata, to niewątpliwie musi się nadawać do naśladowania. Ale winniśmy pamiętać o tym jednym wielkim fakcie. Po spytaniu Ducha, jakby Chrystus postąpił i po otrzymaniu odpowiedzi, mamy postąpić bez względu na wyniki dla nas samych. Czy to przyjęte?

Wszystkie twarze w izbie zwróciły się ku duchownemu w milczącej zgodzie. Nie było mowy o niezrozumieniu propozycyi. Twarz Henryka Maxwella zadrżała znowu, gdy spostrzegł prezydenta Towarzystwa chrześcijańskiego usiłowania, siedzącego z kilku członkami poza starszymi mężczyznami i kobietami.

Wszyscy zatrzymali się nieco dłużej, omawiając szczegóły i stawiając pytania, poczem zgodzili się zdawać sobie nawzajem co tygodnia na regularnym mityngu sprawę z wyników doświadczenia w naśladowaniu Chrystusa w taki sposób. Henryk Maxwell pomodlił się znowu i znowu, jak poprzednio, Duch objawił swą obecność. Wszystkie głowy zwisły na czas jakiś; rozeszli się w milczeniu, bo jakieś dziwne uczucie odjęło mowę. Henryk Maxwell uściskał za rękę każdego z osobna. Potem udał się do swego własnego gabinetu w tyle za pulpitem i ukląkł. Pozostał tak sam na sam blizko pół godziny. Przyszedłszy do domu wszedł do izby, w której spoczywało ciało zmarłego. Patrząc na twarz wołał w swem sercu raz jeszcze o siłę i rozum. Ale i teraz nawet nie uświadamiał sobie, że rozpoczął się właśnie ruch, który miał doprowadzić do seryi najosobliwszych wypadków, o jakich miasto Raymond kiedykolwiek słyszało.

ROZDZIAŁ II.

Ten, który rzekł, że przebywa w Nim, powinien sam kroczyć tak jak On kroczył.

Edward Norman, redaktor raymondzkiego pisma Daily News, siedział w swem biurze w poniedziałek rano z myślą o nowym kierunku swej działalności. Ślubował on w dobrej wierze czynić wszystko po postawieniu pytania: "Jakby Chrystus postąpił?" i jak przypuszczał, z całkowitem zrozumieniem wszystkich możliwych następstw. Ale kiedy regularny bieg pisma rozpoczął nowy tydzień swego ruchliwego życia, redaktor poczuł jakieś wahanie i coś podobnego do obawy. Przyszedł do biura bardzo wcześnie, i przez kilka minut był sam na sam. Siedział przy swem biurku w coraz większem zamyśleniu, które zamieniło się w końcu w pragnienie zarówno wielkie jak niezwykłe. Miał on nauczyć się jeszcze razem z innymi w tej małej kompanii, która ślubowała działać po chrześcijańsku, że duch życia władał nim tak potężnie jak jeszcze nigdy przedtem. Powstał i zamknął drzwi a potem uczynił to, czego nie robił już całe lata. Ukląkł przy swem biurku i błagał o Boską pomoc i mądrość, któraby nim pokierowała.

Podniósł się dla spełnienia swej dziennej pracy a jego obietnica zarysowała mu się w umyśle jasno i

wyraźnie. "Teraz do czynu," zdawał się mówić sam do siebie. Ale wypadki następowały szybciej, niż mógł przypuszczać.

Otworzył drzwi i rozpoczął zwyczajną pracę rutyniczną. Właśnie tylko co przyszedł kierujący redaktor i siadł przy swem biurku w sąsiednim pokoju. Jeden z reporterów wybijał tam coś na maszynie do pisania.

Edward Norman rozpoczął artykuł wstępny. The Daily News było pismem wieczornem a Norman kończył zwykle swój artykuł wstępny przed ósmą.

Pisał coś około piętnastu minut, gdy kierujący redaktor zawołał:

Oto sprawozdanie z wczorajszych zapasów atletycznych w Resort. Zajmie trzy i pół kolumny. Przypuszczam, że wszystko się pomieści?

Edward Norman był jednym z tych dziennikarzy, którzy baczą na każdy szczegół pisma. Kierujący redaktor radził się zawsze swego przełożonego, tak dobrze w rzeczach drobnych, jak i ważnych. Czasami, jak i w tym wypadku było to tylko formalne pytanie.

—Tak.—Nie.—Pokaż pan.

Wziął w ręce artykuł tak właśnie, jak go przesłał redaktor telegrafista i przebiegł oczami starannie. Potem złożył arkusze na biurku i namyślał się poważnie.

—Nie wydrukujemy tego dzisiaj—powiedział w końcu.

Kierujący redaktor stał we drzwiach pomiędzy obiema izbami. Zdumiał się uwagą redaktora i myślał, że go chyba nie zrozumiał.

—Coś pan powiedział?

—Wypuść pan to. Nie użyjemy tego.

—Ależ...

Kierujący redaktor po prostu oniemiał. Wpatrywał się w Normana, jakgdyby tenże zmysły postradał.

—Sadzę, panie Clark, że to nie powinno być wydrukowane i na tem koniec—rzekł Edward Norman, patrząc na kolegę.

Clark rzadko mówił dużo ze swym przełożonym. Słowo Normana było zawsze w biurze obowiązujące, bo nie często zmieniał swoje zdanie. Ale obecnie okoliczności jednakże zdawały się być tak niezwykłe, że Clark nie mógł się powtrzymać od uwagi.

—Chcesz pan powiedzieć, że pismo ma pójść do druku bez słowa wzmianki o zapasach siłaczy?

—Tak, właśnie to miałem na myśli.

—Ależ to rzecz niesłychana. Wszystkie inne pisma pomieszczą sprawozdania. Cóż powiedzą nasi abonenci? Jestto po prostu...

Clark urwał, nie mogąc znaleźć słów na wyrażenie swej myśli.

Edward Norman spojrzał uważnie na Clarka. Kierujący redaktor był członkiem kościoła innego, niż Norman wyznania.

Obaj redaktorowie nigdy nie mówili o sprawach religijnych, jakkolwiek pracowali w jednem piśmie przez kilka lat.

Wejdź do mnie, Clark, na kilka minut i zamknij drzwi za sobą—rzekł Norman.

Clark wszedł i dwaj redaktorowie znaleźli się sam na sam. Norman milczał przez chwilkę. Potem odezwał się nagle:

—Powiedz mi Clark uczciwie, czy myślisz że gdyby Chrystus redagował dziennik, toby pomieścił trzy i

pół kolumnowe sprawozdanie o zapasach siłaczy?

Clark roztworzył usta ze zdziwienia, wreszcie odparł:

—Nie, nie przypuszczam, żeby tak postąpił.

—Otóż to jest jedyny powód, dla którego wykluczam to sprawozdanie z pisma. Postanowiłem przez rok nie czynić w prowadzeniu pisma nic takiego, czegoby mojem zdaniem i Chrystus nie uczynił.

Clark nie mógłby zdradzać większego zdziwienia, nawet gdyby jego przełożony dostał nagle pomieszania zmysłów. W istocie, myślał, że gdzieś coś się popsuło, jakkolwiek jego zdaniem Norman był ostatnim na świecie człowiekiem do tracenia zmysłów.

—Jakiż wpływ wywrze to na pismo?—spytał nareszcie słabym głosem.

—Co pan o tem myśli—spytał Edward Norman, patrząc mu bystro w oczy.

—Mojem zdaniem to zrujnuje wprost nasze pismo —odparł Clark żywo i ochłonąwszy z wrażenia, próbował perswadować: niepodobieństwem jest wprost prowadzić dzisiaj pismo na takiej podstawie. Jest ona bowiem za idealna. Świat jeszcze nie przygotowany na to. Rzecz się nie opłaci. Wyrzuciwszy to sprawozdanie, stracimy na pewne setki abonentów. Nie trzeba być prorokiem, żeby to przepowiedzieć. Najprzyzwoitsi ludzie w mieście czytają to chciwie. Wiedzą, iż rzecz się odbyła, to też będą oczekiwali dzisiaj w gazecie przynajmniej pół stronnicy o tem. Nie podobna przecie lekceważyć życzenia publiczności do tego stopnia. Mojem zdaniem byłby to bardzo fałszywy krok.

Edward Norman milczał przez chwilę. Potem przemówił łagodnie ale z mocą:

—Słuchaj Clark, jaka jest według twego uczciwego zdania słuszna zasada kierowania swem postępowaniem? Czyż nie jest nią dla każdego prawdopodobne zachowanie się Chrystusa? Czyżbyś nie twierdził, że najwyższem, najlepszem prawem dla człowieka jest stawianie pytania: Jakby Chrystus postąpił? a potem postąpienie tak bez względu na rezultaty? Innemi słowy, czy sądzisz, że ludzie wszędzie powinni naśladować przykład Chrystusa w codziennem życiu, o ile możności jak najściślej?

Clark zaczerwienił się i poruszył się niespokojnie na swem krześle, nim odpowiedział na ten szereg zapytań.

—Zapewne, że tak. Jeżeli zapytamy, jak ludzie czynić powinni, to zapewne, że nie ma innej podstawy. Ale pytanie zachodzi, co jest rzeczą wykonalną? Czy się rzecz opłaci? Aby mieć powodzenie w dziennikarstwie, musimy zastosować się do zwyczajów i uznanych metod społeczeństwa. Nie możemy postępować tak, jakbyśmy postępowali w idealnym świecie.

—Chcesz przez to powiedzieć, że niepodobna wydawać pisma na zasadach chrześcijańskich i mieć powodzenie?

—Tak, to jest moje zdanie. Tego osiągnąć niepodobna. Zbankrutujemy w miesiąc.

Edward Norman nie zaraz dał odpowiedź. Ogromnie się namyślał.

—Będziemy mieli sposobność pomówić o tem znowu, panie Clark. Tymczasem, sądzę, że powinniśmy się otwarcie porozumieć. Ślubowałem prowadzić przez

rok pismo, stawiając sobie zawsze pytanie: "Jakby Chrystus postąpił?" Otóż spróbuję tak czynić w przekonaniu, że nietylko możemy mieć powodzenie, lecz że możemy mieć jeszcze lepsze powodzenie, niż mieliśmy kiedykolwiek do tej pory.

Clark powstał.

—Zatem sprawozdanie nie pójdzie dzisiaj.

—Nie. Mamy dosyć dobrego materyału na to miejsce, o czem pan dobrze wiesz.

Clark zawahał się.

—Czy usprawiedliwisz pan nie umieszczenie sprawozdania?

Nie, niechaj pismo idzie do druku, tak, jakby wczoraj zapasy wcale się nie odbyły.

Clark wyszedł z pokoju do swego własnego biurka z takiem uczuciem, jakby mu się ziemia z pod nóg usuwała. Był zdumiony, oszołomiony, wzburzony, a nawet dosyć podrażniony. Jego wielkie poważanie dla Normana poskramiało rosnące oburzenie a nawet niechęć, ale z tem wszystkiem mieszało się uczucie rosnącego podziwu, wywołanego nagłą zmianą pobudki, jaka zaszła w biurze pisma The Daily News, grożąc według jego przekonania ruiną.

Przed południem każdy reporter, drukarz i urzędnik w The Daily News wiedział o zdumiewającym fakcie, mianowicie, że gazeta szła do druku bez słowa o sławnych zapasach niedzielnych. Reporterzy byli po prostu niesłychanie zdumieni ogłoszeniem tego faktu. Każdy robotnik w stereotypii i zecerni miał coś do powiedzenia o tej zdumiewającej reformie. Dwa czy trzy razy w ciągu dnia, gdy mr. Norman miał sposobność odwiedzić zecernię, robotnicy zaprze-

stawali pracy i spoglądali na niego ciekawie z poza swoich szafek. Czuł on, że obserwują go w dziwny sposób, ale nic nie mówił i udawał, że tego nie widzi.

W piśmie nastąpiło kilka zmian, podsuniętych przez redaktora, ale nie uderzających. Czekał on i rozmyślał głęboko. Czuł, że potrzebuje czasu i sposobności dla użycia swego najlepszego sądu w kilku sprawach, zanim zdoła odpowiedzieć na swe pytanie w sposób właściwy. Nie dlatego nie działał natychmiast, żeby w piśmie nie było nic przeciwnego duchowi Chrystusa, jeno, że miał jeszcze ogromne wątpliwości na punkcie drogi, jakąby Chrystus obrał.

Gdy The Daily News pojawiły się tego wieczora, wywołały wśród swych abonentów wyraźną senzacyę. Zamieszczenie sprawozdania z zapasów nie mogło wywołać nawet w części takiego wrażenia, jak jego opuszczenie. Setki ludzi w hotelach i sklepach, zarówno jak i stali abonenci roztwierali pilnie pismo, szukając opisu zapasów. Nie znalazłszy, pobiegli do kiosków kupić inne pisma. Nawet nie wszyscy chłopcy pojęli dokładnie fakt wypuszczenia sprawozdania. Jeden z nich wołał:

—Daily News! Pełny opis wielkich zapasów w Resort. News panie?

Jakiś pan na rogu Avenue, tuż obok biura gazety kupił numer, przeleciał oczami przez frontową stronnicę, poczem przywołał chłopca gniewnie z powrotem:

—Hej, chłopcze! Cóż to znaczy? Niema opisu zapasów! Czemu sprzedajesz stare gazety?

—Nie sprzedaję starych gazet!—odparł chłopiec z oburzeniem.—To dzisiejsza gazeta. Cóż się panu przywidziało?

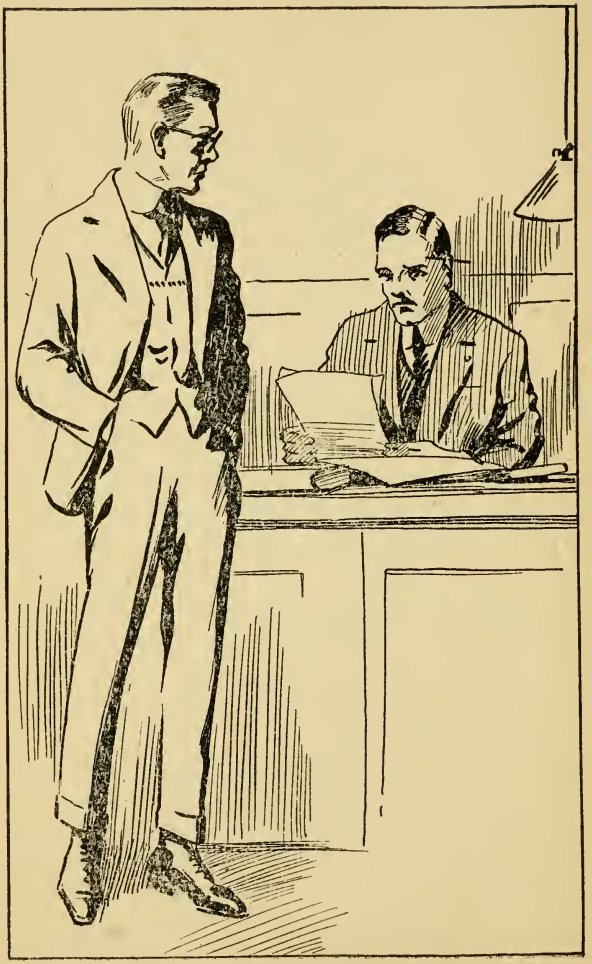

—Być może, tylko, że niema opisu zapasów. Spojrzyj sam.

Mężczyzna zwrócił gazetę, a chłopiec przejrzał ją pospiesznie. Gwiznął, a wyraz zdumienia rozlał się po jego obliczu. Widząc, że inny chłopiec przebiega z paczką gazet pod pachą, zawołał:

Hej, tam, pożycz mi na chwilę jednego egzemplarza.

Szybkie zbadanie odkryło zdumiewający fakt, że wszystkie egzemplarze gazety milczały o zapasach.

—Daj mi inną gazetę z opisem zapasów—zawołał kupujący.

Otrzymawszy ją odszedł, a obaj chłopcy stanęli dla porównania zapisków, zdumieni zdarzeniem.

—Coś niezwykłego stało się w redakcyi—zawołał pierwszy chłopiec i pobiegł do gazety, żeby się dowiedzieć szczegółów.

W pokoju, gdzie wydawano pismo, było już kilku innych chłopców, zarówno wzburzonych i gniewnych. Ekspedytor musiał się nasłuchać tylu wyrzutów, że kto inny byłby stracił moc panowania nad sobą. Był on atoli już przyzwyczajony do podobnych scen, więc nie był na nie tak wrażliwym.

Mr. Norman właśnie schodził na dół, aby pójść do domu, lecz zatrzymał się przy drzwiach eksepedycyi i zajrzał do środka.

—O co to chodzi, Jerzy?—spytał subjekta, zauważywszy niezwykłe zamieszanie.

—Chłopcy powiadają, że nie mogą sprzedać ani jednego egzemplarza pisma, ponieważ niema opisu zapasów—odparł Jerzy, patrząc ciekawie na redaktora,

tak samo, jak to czyniło wielu innych w ciągu całego dnia.

Mr. Norman zawahał się chwilę, potem wszedł do izby i znalazł się wobec chłopców.

Ileż macie egzemplarzy, chłopcy? Policzcie, a ja wszystkie kupię tym razem.

Chłopcy odpowiedzieli na to wytrzeszczeniem oczu i pospiesznem liczeniem gazet.

—Daj im należne pieniądze, Jerzy, a gdyby inni chłopcy przyszli z tą samą skargą, nabądź niesprzedane egzemplarze.

—Czy to jest w porządku—spytał chłopców, pogrążonych w niezwykłem milczeniu wskutek bezprzykładnego postępowania ze strony redaktora.

—Czy w porządku? Ba, zapewne. Ale czy pan będzie robił tak zawsze? Czy będzie pan przedłużał to przedstawienie na korzyść bractwa?

Mr. Norman uśmiechnął się lekko, ale nie uważał za stosowne odpowiedzieć na pytanie. Opuścił biuro i udał się do domu. Po drodze nie mógł się uwolnić od prześladującego go nieustannie pytania: "Czy Chrystus byłby sobie tak postąpił?" Nie tyle odnosiło się to pytanie do tej ostatniej transakcyi, ile do całej pobudki, która kierowała nim od czasu uczynienia ślubu. Chłopcy, sprzedający gazety, cierpieli oczywiście z powodu jego postępowania. Dlaczego oni mieli tracić wskutek tego materyalnie? Wszak oni niczem nie zawinili. On był bogatym człowiekiem i był wstanie rozjaśnić nieco ich życia, gdyby mu się tak podobało. W drodze do domu sądził, że Chrystus byłby albo tak samo postąpił, jak on, albo w jakiś podobny sposób, aby uwolnić się od wszelkiego uczucia niesprawiedli-

wości. Nie rozstrzygał on tych kwestyi dla kogokolwiek innego, lecz dla siebie samego. Nie czuł się skłonnym do dogmatyzowania i czuł, że może odpowiedzieć jedynie własnym sądem i sumieniem, odnośnie do interpretacyi prawdopodobnego sposobu postępowania ze strony Chrystusa. Spadek w sprzedaży pisma przewidział w pewnej mierze. Ale niebawem miał poznać cały rozmiar straty w razie, gdyby chciał kierować się nadal tą samą polityką.

W ciągu całego tygodnia otrzymywał liczne listy, omawiające opuszczenie opisu zapasów. Dwa lub trzy mogą budzić szerszy interes:

Redaktor pisma The News.

Kochany Panie!

Zamierzam już od jakiegoś czasu zmienić pismo. Pragnę dziennika, odpowiadającego nowoczesnym wymaganiom, postępowego i rzutkiego, zaspokajającego potrzeby publiczności we wszystkich kierunkach. Ostatni kaprys Pańskiego organu, wzbraniającego się pomieszczenia opisu słynnych zapasów w Resort skłonił mnie ostatecznie do zmiany pisma. Proszę mnie wykreślić z listy.

Z poważaniem

....

(Tu następuje nazwisko byznessmana, który był wieloletnim abonentem.)

Edward Norman,

redaktor pisma The Daily News, Raymond.

Kochany Edziu!

Cóż znaczy sensacya, sprawiona mieszkańcom Twego miasta? Ufam, że nie pragniesz próbować "reformowania" zapomocą prasy. Niebezpiecznie jest ek-

sperymentować bardzo na tej drodze. Posłuchaj mnie i trzymaj się rzutkich metod nowoczesnych, którym pismo zawdzięcza powodzenie. Publiczność łaknie zapasów atletycznych i podobnych rzeczy. Daj jej czego pożąda, a reformy zostaw innym.

Twój

....

(Tu następuje nazwisko jednego z dawnych przyjaciół Normana, redaktora pisma codziennego w sąsiedniem mieście.)

Mój kochany Mr. Norman!

Spieszę z paru słowami uznania za widoczne spełnianie uczynionego przyrzeczenia. Początek jest pyszny i nikt nie czuje jego wartości tak, jak ja. Wiem trochę o tem, co to Pana będzie kosztować, ale nie będzie kosztować wszystkiego.

Ks. Henryk Maxwell.

Jeden list, który otworzył bezpośrednio po odczytaniu pisma Maxwella, odsłonił mu rąbek straty, jakie interes jego prawdopodobnie czekały.

Mr. Edward Norman,
redaktor pisma The Daily News.

Szanowny Panie!

Po upływie mego kontraktu ogłoszeniowego, zechciej Pan zaniechać inserowania mnie. Załączam czek na całkowite pokrycie i uważam swój rachunek z Pańskiem pismem odtąd za zamknięty.

Z poważaniem

....

(Tu następuje nazwisko jednego z największych kupców tytoniu w mieście. Miał on zwyczaj ogłasza-

nia całej kolumny bardzo uderzającej i płacił za to znaczną sumę.)

Edward Norman położył ten list na stole z wielkim namysłem, a po chwili wziął do ręki egzemplarz swego pisma i przejrzał inseraty. List kupca tabacznego nie zaznaczał związku z wypuszczeniem opisu zapasów a zaprzestaniem ogłaszania się. Ale nie mógł on nie zestawić ze sobą tych dwóch rzeczy. W istocie dowiedział się po jakimś czasie, że kupiec tytoniu wycofał swe ogłoszenie, ponieważ usłyszał, że redaktor pisma The News zamierzał wejść na drogę jakiejś dziwacznej reformy, która zapewne wpłynie na zmiejszenie ilości czytelników.

List ten zwrócił uwagę Normana na inseratowy dział jego pisma, którego dotąd nie wziął pod rozwagę. Przebiegając szpalty oczami, nie mógł uwolnić się od przekonania, że Chrystus nie dopuściłby niektórych w swojem piśmie. Coby Chrystus uczynił z tem innem długiem ogłoszeniem o trunkach? Raymond posiadał system łatwych koncesyi, to też knajpa, sala bilardowa i bawarya stanowiły części chrześcijańskiej cywilizacyi miasta. Robił on to tylko, co każdy inny byznessman w Raymond. A było to jedno z najlepszych źródeł dochodu. Coby się stało z pismem, gdyby to źródło wyschło? Czy mogłoby egzystować? Oto było pytanie. Ale, czyż to było istotnie pytanie. "Jakby Chrystus postąpił?" Oto było pytanie, na które szukał odpowiedzi, lub starać się przynajmiej znaleźć w ciągu ostatniego tygodnia. Czy Chrystus ogłaszałby w swem piśmie tytoń i wódkę?

Edward Norman postawił sobie uczciwie to pyta-

nie, a po modlitwie o pomoc i rozum poprosił do siebie Clarka.

Clark wszedł ze świadomością kryzysu, przez jakie pismo przechodzi, przygotowany na wszystko po rozmowie w poniedziałek rano. Obecnie był to już czwartek.

—Panie Clark—rzekł Norman wolno i starannie—przejrzałem właśnie nasz dział inseratowy i postanowiłem wyrzec się niektórych, jak skoro tylko pokończą się kontrakty. Pragnę, abyś pan uwiadomił agenta od ogłoszeń, aby nie ubiegał się i nie odnawiał ogłoszeń, które tu zaznaczyłem.

Podał Clarkowi gazetę z oznaczonemi miejscami, a Clark przebiegł oczami szpalty z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

To oznacza wielką stratę dla pisma. Jak długo będziesz pan wstanie wytrzymać taką gospodarkę? Clark był zdumiony postępowaniem redaktora, którego nie mógł rozumieć.

—Panie Clark, czy sądzisz pan, że gdyby Chrystus był redaktorem i właścicielem dziennika w Raymond, to drukowałby ogłoszenia o wódce i tytoniu?

Clark patrzył na swego przełożonego tym samym wzrokiem zdziwienia, jak i poprzednio.

—Zapewne, nie zdaje mi się, żeby drukował. Ale cóż to ma do czynienia z nami? Nie możemy tak postępować, jakby On postąpił. Nie podobna redagować pisma na takiej zasadzie.

—Dlaczego nie?—spytał Edward Norman spokojnie.

—Dlaczego nie? Ponieważ stracimy przez to więcej pieniędzy, niż zarobimy.—Clark mówił z podrażnie-

niem, które istotnie czuł—Napewne doprowadzimy pismo do bankructwa przy takiej polityce.

—Sądzisz pan tak?

Norman postawił pytanie nie jakby czekał odpowiedzi, lecz poprostu, jakby mówiąc sam do siebie. Po chwili dodał:

—Każ pan postąpić Marksowi tak, jak panu powiedziałem. Mojem zdaniem Chrystus tezby tak postąpił; a to jest właśnie panie Clark, co przyrzekłem czynić przez rok, bez względu na rezultaty takiego postępowania dla mnie. Nie wierzę, abyśmy jakąkolwiek drogą rozumowania doszli do wniosku, usprawiedliwiającego Chrystusa w ogłaszaniu w naszych czasach wódki i tytoniu w piśmie. Są jeszcze inne ogłoszenia wątpliwej wartości, w które bliżej wejrzę. Tymczasem co się tyczy tych, to żywię przekonanie niczem nie dające się pokonać.

Clark wrócił do swego biurka z uczuciem, że znajdował się wobec bardzo dziwacznej osobistości. Nie mógł pojąć, co to wszystko ma znaczyć. Był gniewny i zaniepokojony. Pewnym był, że taka metoda zrujnuje dziennik jak skoro tylko stanie się rzeczą wiadomą, że redaktor postanowił oprzeć wszystkie swoje czyny na tak niedorzecznej podstawie etycznej. Coby się stało z interesami, gdyby wszędzie przyjęto tę zasądę? Obaliłaby ona wszystkie zwyczaje i wprowadziła nieskończone zamieszanie. Była to po prostu głupota, ba nawet idyotyzm. Tak mówił Clark sam do siebie, a kiedy Marks został uwiadomiony o rzeczy, sekundował kierującemu redaktorowi bardzo energicznymi wykrzyknikami. Cóż się to stało z pryncypałem? Czy dostał pomieszania? Czy chciał dopro-

wadzić cały interes do bankructwa?

Ale Edward Norman nie stał jeszcze wobec swego najtrudniejszego zagadnienia.

Gdy przyszedł do biura w piątek rano przedłożono mu zwyczajny program niedzielnego wydania rannego. The News było jednem z niewielu wieczornych pism, wydających dodatek niedzielny, który materyalnie przedstawiał ogromny zysk. Średnio biorąc, wypadała jedna strona rzeczy literackich lub religijnych na trzydzieści do czterdziestu stron sportu, teatru, plotek, mód, spraw towarzyskich i politycznych. Wszystko to stanowiło bardzo interesujące wydawnictwo, które wszyscy abonenci, nie wyłączając członków kościoła, uważali za niezbędny pokarm niedzielny.

Edward Norman stał obecnie wobec tego faktu i postawił sobie pytanie: "Jakby Chrystus postąpił?" Gdyby był redaktorem pisma, czyby posyłał rozmyślnie do wszystkich ognisk domowych mieszkańców Raymondu taką kollekcyę artykułów do czytania tego właśnie jednego dnia w tygodniu, który powinien być poświęcony czemuś lepszemu i świętszemu? Znał on oczywiście zwyczajny argument, przemawiający za dodatkiem niedzielnym, mianowicie, że czytelnicy pożądają czegoś podobnego, a że robotnik specyalnie, który i tak do kościoła nie pójdzie, powinien mieć coś zajmującego i pouczającego w niedzielę, w tym jedynym dniu spoczynku. Ale przypuśćmy, że niedzielny ranny dodatek nie opłacałby się? O ileż redaktor lub właściciel starałby się wtedy zaspokoić tę krzyczącą potrzebę robotnika? Edward Norman rozmyślał nad przedmiotem uczciwie. Czy wziąwszy wszystko pod

uwagę Chrystus, wydawałby niedzielną gazetę ranną? Mniejsza o to, czyby dawała zyski. To nie ulegało kwestyi. Faktycznie The Sunday News opłacały się tak wybornie, że zawieszenie dodatku pociągnęłoby za sobą stratę tysięcy dollarów. Zresztą obonenci zapłacili za siedm dni. Czyż więc miałby racyę dać im obecnie mniej, niż to za co zapłacili?

Kwestya niepokoiła go rzetelnie. Zawieszenie wydania niedzielnego pociągało za sobą tyle, że po raz pierwszy o mało nie zaniechał oprzeć się na prawdopodobnej zasadzie działalności Chrystusa. Był on jedynym właścicielem pisma. Jego rzeczą było postąpić tak, jak uważał za stosowne. Nie miał nad sobą żadnych dyrektorów, którychby mu się należało radzić. Ale gdy tak siedział obłożony zwyczajną porcyą materyału do wydania niedzielnego, doszedł do pewnych ostatecznych wniosków, a wśród nich było też zaproszenie wszystkich pracowników i otwarte przedstawienie zarówno swych motywów jak i celów.

Posłał po Clarka, oraz innych urzędników biurowych, licząc w to kilku chwilowo obecnych reporterów, formana, jakoteż zecerów, aby zaraz zjawili się w wydziale pocztowym. Była to wielka izba, wszyscy więc weszli zdumieni, usadawiając się dokoła na stołach i kasach. Było to bardzo niezwykłe postępowanie, ale wszyscy byli zgodnego zdania, że bądź co bądź pismo zaczyna być prowadzone na nowych podstawach, to też wszyscy ciekawie słuchali słów Normana.

—Wezwałem was tutaj, aby was obznajomić z mymi planami, odnośnie do przyszłości pisma. Zamierzam zaprowadzić pewne zmiany według mnie niezbę-

dnie potrzebne. Wiem, że to co już uczyniłem, ludzie uważają za bardzo osobliwe. Otóż pragnę obecnie uzasadnić to wszystko, co do tej pory uczyniłem.—Tu powtórzył to samo, co już powiedział Clarkowi, a oni tak samo wytrzeszczali oczy i tak samo mieli długie miny.

—Otóż postępując według takiej zasady, doszedłem do wniosku, który wywoła niewątpliwie pewne zdziwienie. Postanowiłem od przyszłego tygodnia zawiesić niedzielne wydanie pisma. W tem wydaniu podam swoje powody takiego postępowania. Aby zaś dostarczyć abonentom tę ilość druku, do jakiej mogą się uważać uprawnieni, wydamy podwójny numer w sobotę, jak to robi wiele pism wieczornych, nie kuszących się o wydanie niedzielne. Jestem przekonany, że z chrześcijańskiego punktu widzenia nasze niedzielne wydanie zrobiło więcej złego, niż dobrego. Nie sądzę, żeby Chrystus chciał być za nie odpowiedzialny, gdyby się znalazł tu dzisiaj na mojem miejscu. Ułożenie z inserentami i abonentami szczegółów, tą zmianą wywołanych, sprawi nam nieco kłopotu. Ale to już do mnie należy. O ile rzecz rozumiem, strata dotknie mnie wyłącznie. Ani reporterzy, ani drukarze nie potrzebują zaprowadzać żadnych zmian w swoich planach.

Edward Norman spojrzał wkoło izby, ale nikt się nie odezwał. Po raz pierwszy w życiu uderzył go fakt, że podczas całego ciągu jego karyery dziennikarskiej nigdy nie zebrał swych współpracowników razem w ten sposób. Czy Chrystus uszyniłby tak? To jest, czyby przypuszczalnie prowadził pismo na jakiejś miłej zasadzie rodzinnej, tak, żeby redaktorzy, reporte-

rzy, drukarze i wszyscy inni, schodzili się dla dyskutowania, obmyślania i planowania pisma?

Złapał się na odbieganiu od postanowień typograficznej unii, przepisów biurowych, przedsięwzięcia reporterskiego, wreszcie wszystkich zimnych, handlowych metod, potrzebnych do powodzenia wielkiego pisma codziennego. Mimo to niejasny obraz, który stanął przed nim w dziale pocztowym nie chciał rozwiać się nawet wtedy, gdy się udał do swego biura a ludzie wrócili do swych miejsc z wyrazem podziwu w spojrzeniach i pytaniami wszelkiego rodzaju na ustach, rozmawiając o zdumiewających postępkach redaktora.

Clark przyszedł na długą i poważną pogawędkę z przełożonym. Był on gruntownie wzburzony, a protest jego doszedł, niemal do punktu zrezygnowania ze stanowiska. Norman panował nad sobą usilnie. Każda chwila rozmowy była dla niego bolesna, ale czuł więcej niż kiedykolwiek przedtem konieczność chrześcijańskiego postępowania. Clark był dla niego człowiekiem bardzo cennym. Byłoby trudno zastąpić go. Ale nie był wstanie dać żadnej racyi dalszego prowadzenia wydania niedzielnego, któraby odpowiedziała na pytanie: "Jakby Chrystus postąpił?" gdyby On sam miał wydawać pismo.

—Rzecz więc na tem stoi — rzekł w końcu Clark. — Chcesz pan koniecznie zrujnować pismo w ciągu trzydziestu dni. Dziś już możemy być na to przygotowani.

—Nie sądzę, żeby tak się stało. Czy pozostaniesz pan na swem stanowisku, póki pismo nie zbankru-

tuje? — spytał Edward Norman z dziwnym uśmiechem.

—Mr. Norman, nie rozumiem pana. Nie jesteś pan tym samym człowiekiem, którego dawniej znałem.

— Ja sam siebie nie poznaję, panie Clark. Coś dziwnego pochwyciło mnie i uniosło ze sobą. Ale nigdy nie byłem bardziej przekonany o ostatecznem powodzeniu i wpływie pisma. Nie odpowiedziałeś pan na moje pytanie. Zostaniesz pan ze mną?

Clark wahał się przez chwilę, poczem rzekł:

— Tak.

Norman uścisnął go za rękę i zwrócił się do swego biurka. Clark powrócił do swego biurka, miotany mnóstwem sprzecznych uczuć. Nie doświadczył nigdy przedtem tak podniecającego i niepokojącego umysł tygodnia, to też czuł się obecnie jakby związany z przedsięwzięciem, które może każdej chwili zachwiać się, rujnując jego i resztę ludzi z pismem związaną.

Ranek niedzielny zajaśniał znowu dla miasta Raymond, a kościół Henryka Maxwella był znowu natłoczony. Zanim służba Boża się zaczęła, Edward Norman ściągał na siebie powszechną uwagę. Siedział on spokojnie na swem zwykłem miejscu w odległości trzech siedzeń od pulpitu. Niedzielne wydanie pisma, zawierające zapowiedź jego zaniechania, czytali niemal wszyscy w kościele obecni. Zawiadomienie zostało napisane tak dziwnym językiem, że każdy czytelnik był nim uderzony. Nigdy jeszcze taka serya wyraźnych sensacyi nie zaniepokoiła handlowych obyczajów Raymondu. Sprawy, odnoszące się do

pisma The News nie wyczerpywały listy. Ludzie rozprawiali pilnie o dziwnych rzeczach, dokonanych w ciągu tygodnia przez Aleksandra Powers w warsztatach kolejowych i przez Miltona Wright w jego sklepach na Avenue. Służba Boża odbywała się wobec podnieconego zgromadzenia. Henryk Maxwell traktował to wszystko ze spokojem, który dowodził siły i postanowienia silniejszego, niż zazwyczaj. Modlitwy jego były bardzo pomocne. Jakże duchowny był zdolny kazać przed swym ludem, gdyby zjawił się przed nim po całotygodniowem stawianiu sobie pytania: "Jakby Chrystus kazał? Coby On rzekł, według wszelkiego prawdopodobieństwa?"

Nie ulega wątpliwości, że Henryk Maxwell nie kazał już tak samo, jak to czynił przed dwiema niedzielami. Ostatniego wtorku stał nad grobem zmarłego nieznanego i rzekł te słowa: "Ziemia do ziemi, popiół do popiołu, pył do pyłu", a jeszcze był wzruszony głębszą pobudką, niż ją był wstanie zmierzyć, myśląc o swym ludzie i pragnąc wskazówki Chrystusa w chwili, kiedy się znowu znajdzie na swym pulpicie.

Otóż niedziela właśnie nadeszła a ludzie zebrali się dla wysłuchania tego, co im mistrz ma do powiedzenia. Przygotowanie się było dla niego prawdziwą męką, a jednak czuł że nie jest w stanie zastosować swych słów do swego ideału Chrystusa. Mimo to nikt w Pierwszym kościele nie przypominał sobie, aby słyszał kiedykolwiek podobne kazanie. Zawierało ono w sobie naganę grzechu, a zwłaszcza hypokryzyi. Nie brakło tam wyraźnego potępienia głodu bogactwa i samolubstwa mody, dwóch rzeczy, których Pierwszy kościół nigdy nie słuchał do tej pory w ten sposób

ganionych, w miarę zaś trwania kazania przebijała się w nim z coraz większą siłą miłość ludu. Kiedy się skończyło, nie brakło takich, którzy powiedzieli w głębi serca: "Duch kierował tem kazaniem". I mieli zaiste racyą.

Potem Rachela Winslow podniosła się do śpiewu. Tym razem na prośbę Henryka Maxwella dopiero po kazaniu. Tym razem śpiew Racheli nie prowokował poklasku. Jakieżto głębsze uczucie skłaniało serca słuchaczy do pełnego szacunku milczenia i szlachetności myśli? Rachela była piękna. Ale świadomość uderzającego wdzięku psuła zawsze jej śpiew w oczach tych, którzy odznaczali się najgłębszem uduchowieniem. Świadomość ta psuła nawet jej samej wykonanie pewnych rodzajów muzyki. Dzisiaj wszystko to gdzieś się podziało. Nie brakło siły w jej wspaniałym głosie. Natomiast ujawnił się pierwiastek pokory i czystości, który słuchacze odczuli i przed którym pochylili głowy.

Nim się służba Boża skończyła Henryk Maxwell poprosił tych, którzy zatrzymali się zeszłego tygodnia, aby zostali znowu na kilka chwil dla naradzenia się, jakoteż wszystkich innych, którzyby zechcieli przyłączyć się do ślubu wtedy ustanowionego. Skoro był już wolny wszedł do sali odczytowej, która ku jego zdziwieniu była niemal zapełniona. Tym razem przybyła znaczna ilość młodych. Ale wśród nich znalazło się kilku kupców i urzędników kościoła.

Jak poprzednio tak i teraz Henryk Maxwell poprosił, ich aby się z nim pomodlili. I jak poprzednio wyraźną odpowiedzią była obecność Ducha Bożego. Nikt z obecnych nie wątpił, że to, co zamierzali uczynić, było tak jawnie zgodne z wolą Boską, że

specyalne błogosławieństwo spoczęło na nich za to.

Wszyscy pozostali jakiś czas dla stawiania sobie nawzajem pytań i naradzania się. Wtedy zapanowało takie uczucie jedności, jakiego nigdy przedtem jako członkowie jednego kościoła nie doznawali. Wszyscy doskonale rozumieli postępowanie Edwarda Normana, który odpowiedział na kilka pytań.

— Jaki będzie prawdopodobny wynik zaniechania przez pana niedzielnego wydania? — spytał Aleksander Powers, który siedział tuż obok niego.

— Nie wiem jeszcze. Przypuszczam, że rezultatem będzie zmniejszenie się ilości abonentów, oraz inserentów. Na to jestem przygotowany.

—Czy posiadasz pan jakie wątpliwości na punkcie swego postępowania. To znaczy, czy żałujesz go, lub czy się obawiasz, iż to nie jest właśnie to, coby Chrystus uczynił?—spytał Henryk Maxwell.

—Bynajmniej. Ale pragnąłbym zapytać, tak dla własnego zadowolenia, czy ktokolwiek z obecnych przypuszcza, że Chrystus wydawałby ranny dodatek niedzielny?

Nikt się czas jakiś nie odzywał. Potem Jasper Chase rzekł:

—Zdaje mi się, że co do tego jesteśmy jednego zdania, ale zastanowiło mnie kilka razy w ciągu tygodnia, coby On istotnie uczynił. Nie zawsze jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie.

—I mnie to trapi—rzekła Virginia Page.

Siedziała przy Racheli Winslow. Każdy, kto znał Virginię Page, był ciekawy, jak ona dotrzyma ślubu.

—Zdaje mi się, że szczególniej trudno odpowiedzieć mi na to pytanie z powodu moich pieniędzy.

Chrystus nigdy nie posiadał żadnej własności, to też niema nic w Jego przykładzie, coby mnie kierowało w użyciu mojej. Rozmyślam i modlę się. Zdaje mi się, że widzę część tego, coby On uczynił, ale nie widzę wszystkiego. Coby Chrystus uczynił z milionem dolarów? takie jest moje pytanie. Wyznaję, że nie umiem jeszcze odpowiedzieć na nie zadowolniająco.

—Powiedziałabym ci, co zrobić z częścią pieniędzy —rzekła Rachela, zwracając się do Virginii.

—To mnie wcale nie obchodzi—odparła Virginia z lekkim uśmiechem.—Ja pragnę uświadomić sobie pierwiastek Chrystusa, któryby mi umożliwił jak największe zbliżenie się do jego postępowania, któreby wpłynęło na cały bieg mego życia, o ile chodzi o moje bogactwo i jego użycie.

—Na to trzeba czasu—rzekł Henryk Maxwell

Wszyscy obecni zastanawiali się poważnie nad tą samą sprawą. Miton Wright powiedział coś o swoich sprawach. Wypracował on stopniowo plan stosunków ze swymi podwładnymi, co otwierało nowy świat i przed nim i przed nimi. Kilku młodszych ludzi mówiło o specyalnych wysiłkach myśli dla odpowiedzenia na to pytanie. Ogólna niemal zgoda panowała co do faktu, że zastosowanie ducha i praktyki Chrystusa do życia powszedniego była rzeczą poważną. Wymagało to bowiem znajomości jego, jakoteż takiego wniknięcia w jego pobudki jakiem wiekszość jeszcze powchwalić się nie mogła.

Kiedy ostatecznie po cichej modlitwie, która z rosnącą potęgą zdradzała Boską obecność, zawiesili posiedzenie, wyszli roztrząsając poważnie swe trudności i szukając wyjaśnienia jeden u drugiego.

Rachela Winslow i Virginia Page wyszły razem.

Edward Norman i Milton Wright tak się zainteresowali swą wzajemną konferencyą że minęli dom Normana i wrócili razem. Jasper Chase i prezydent chrześcijańskiego towarzystwa stali w jednym z rogów izby, rozprawiając poważnie. Aleksander Powers i Henryk Maxwell pozostali wtedy jeszcze, kiedy już wszyscy inni powychodzili.

—Pragnę, abyś pan przyszedł jutro rano do warsztatów i obejrzał mą robotę i przemówił do ludzi. Zdaje mi się jakoś, że pan zdołasz zbliżyć się do nich więcej, niżby to potrafił ktokolwiek inny.

—Nie wiem, czy tak będzie, ale przyjść przyjdę —odparł Henryk Maxwell nieco smutnie. Czy był on zdolny stanąć przed dwustu czy trzystu robotnikami i przemówić do nich? Jednakże stawiając sobie to pytanie w chwili słabości, ganił za nie sam siebie. Jakby Chrystus postąpił? To położyło koniec dyskusyi.

Udał się następnego dnia na miejsce i znalazł Aleksandra Powersa w biurze. Brakowało kilku minut do dwunastej. Superintendent odezwał się:

—Chodź pan na górę, a pokażę panu, co starałem się uczynić.

Przeszli przez warsztaty maszyn, weszli na wysokie schody i znaleźli się w ogromniej pustej izbie, której ongi kompania używała na składy.

—Od czasu zrobienia ślubu, tydzień temu, miałem nad czem zastanawiać się—rzekł superintendent —a pomiędzy innemi jest i to: kompania daje mi używalność tego pokoju, a ja opatrzę go w stoły i maszynę do kawy w tym oto rogu, gdzie obecnie są te rury dla pary wodnej. Planem moim jest przygotować dobre miejsce, gdzieby robotnicy mogli zjeść

sobie drugie śniadanie południowe, oraz dać im dwa lub trzy razy na tydzień piętnastuminutową pogawędkę na jakiś temat, który udzieli im istotnej pomocy w ich życiu.

Maxwell patrzył zdziwiony i pytał:

—Czy robotnicy przybędą w takim celu?

—Oczywiście, że przybędą. Znam ja tych ludzi dosyć dobrze. Liczą się oni do najinteligentniejszych dzisiaj robotników w kraju. Ale na ogół są oni zupełnie odsunięci od wpływu kościoła. Spytałem się, jakby Chrystus postąpił? Obok innych rzeczy zdawało mi się, że zacząłby On działać w jakiśkolwiek sposób dla dodania życiu tych ludzi więcej fizycznego i duchowego komfortu. Izba ta jest małą, lecz działałem pod wpływem pierwszego impulsu i postanowiłem zrobić pierwszą rzecz, przemawiającą do mego poczucia dobra, to też chcę urzeczywistnić tę ideę. Pragnę, żebyś pan przemówił parę słów do robotników, gdy się tu zjawią w południe. Poprosiłem ich, aby przyszli obejrzeć miejsce, o którem chcę im nieco powiedzieć.

Henryk Maxwell wstydził się przyznać do tego, jakim niepokojem go napawało zaproszenie przemówienia kilku słów do robotników. Jakże mógł mówić bez notatek, albo też do takiego zgromadzenia? Był on naprawdę w stanie rzetelnej o sprawę obawy. Faktycznie bał się stanąć przed tymi ludźmi. Cofał się przed próbą jawienia się przed takiem zgromadzeniem, tak różnem od zebrań niedzielnych, do jakich przywykł.

Stało tam pół tuzina białych stołów i ławek, a kiedy wreszcie gwizdawka południowa odezwała się,

ludzie tłoczyli się na górę z izby maszyn i siadając za stołami zaczęli spożywać śniadanie. Było ich tam wszystkich około trzystu. Czytali oni uwiadomienie superintendenta, które poumieszczał w różnych miejscach i przybyli głównie przez ciekawość.

Izba uczyniła na nich miłe wrażenie. Pokój był duży i powietrzny, wolny od dymu i kurzu i dobrze parą ogrzany.

Na dwadzieścia minut przed pierwszą Aleksander Powers objaśnił ludzi o swych zamiarach. Przemawiał w prosty sposób, jak człowiek rozumiejący gruntownie charakter swych słuchaczy, a potem przedstawił Wiel. Henryka Maxwella, który przyrzekł krótko przemówić.

Henryk Maxwell nigdy nie zapomni uczuć, z jakiemi po raz pierwszy stanął przed audytoryum zasmolonych robotników. Jek setki innych duchownych, nie przemawiał do innego zebrania, jak tylko złożonego z ludzi własnej klasy, których ubiór, wykształcenie i obyczaje były mu znane. Ten zaś świat był nowym dla niego i nic prócz nowej zasady postępowania nie byłoby mu umożliwiło skutecznego przemówienia. Mówił on na temat zadowolenia z życia; co je powoduje, jakie są jego rzetelne źródła. Przy pierwszym występie miał dobry pomysł nie traktowania swych słuchaczy jako członków innej, niż on sam klasy społecznej. Nie użył wcale terminu "robotnicy" i nie rzekł ani słowa, któreby zaznaczyło różnice miedzy ich życiem a jego.

Słuchacze byli zadowoleni. Wielu uścisnęło go za rękę przed zejściem na dół do pracy, a Henryk Maxwell opowiadając o tem swej żonie po powrocie do domu, oświadczył, że nigdy w życiu nie doznawał

takiej rozkoszy, jaką mu sprawiły uściski dłoni robotniczych. Był to ważny dzień w jego życiu chrześcijańskiem, ważniejszy, niż mu się zdawało. Był to początek bliższego stosunku pomiędzy nim a światem robotniczym. Był to pierwszy pomost, położony dla nakrycia przepaści pomiędzy kościołem a pracą w Raymond.

Aleksander Powers wrócił do swego biurka tego popołudnia mocno zadowolony ze swego planu, w którym widział wiele korzyści dla swych ludzi. Wiedział, gdzie będzie mógł kupić nieco dobrych stołów z opuszczonej jadłodajni na jednej ze stacyi przydrożnych i jak urządzenie kawiarniane będzie stanowić ogromną atrakcyą. Robotnicy zachowali się sympatyczniej, niż on nawet przypuszczał, a całość nie mogła nie przynieść im wielkich korzyści.

Wziął się do swej codziennej pracy z uczuciem zadowolenia. Mówił sobie, że pragnie bądź co bądź tak postępować, jakby postępował Chrystus.

Była prawie czwarta godzina, gdy otworzył jednę z dużych kopert kompanijnych, która jak sądził zawierała polecenie nabycia zapasów. Przebiegł szybko pierwszą stronicę w swój zwykły kupiecki sposób, nim spostrzegł, że czyta coś, co nie było przeznaczone dla jego biura, lecz dla superintendenta oddziału przewozowego.

Mechanicznie przewrócił kartkę bez zamiaru czytania rzeczy nie dla niego przeznaczonej, lecz nim się spostrzegł, znalazł się w posiadaniu dokumentu, który wyraźnie dowodził, że kompania systematycznie gwałciła międzystanowe Prawa Handlowe Stanów Zjednoczonych. Było to tak wyraźnie i niedwuznaczne przekraczanie prawa, jak gdyby zwykły obywatel włamał

się do domu i grabił jego mieszkańców. Różnica wykazania w rabatach była zupełnemi kpinami ze statutu. Według zaś praw stanu było to także pogwałceniem pewnych przepisów świeżo przez legislaturę uchwalonych, w celu zapobieżenia trustom kolejowym. Nie ulegało wątpliwości, że znalazł się w posiadaniu dokumentu, wystarczającego do przekonania kompanii o złą wolę, o rozmyślne gwałcenie prawa stanowego.

Upuścił papiery na biurko, jakby zawierały truciznę i w tejże chwili przeleciało mu przez umysł pytanie: "Jakby Chrystus postąpił?" Starał się odpędzić od siebie to pytamie. Starał się przekonać samego siebie, że to wcale do niego nie należy. Przypuszczał on już w mniej lub więcej określony sposób, tak samo, jak wszyscy urzędnicy kompanii, że podobna historya działa się na wszystkich liniach. Dzięki swemu zajęciu w warsztatach nie był on w stanie udowodnić wprost cokolwiekbądź i traktował całą sprawę, jako rzecz wcale go nie obchodzącą. Ale teraz leżące przed nim papiery odkrywały całą aferę. Przez omyłkę w adresie wpadły w jego ręce. Cóż to jego obchodziło? Gdyby widział złodzieja, wchodzącego do domu sąsiada, czyż nie byłoby jego obowiązkiem zawiadomić odnośnie władze? Czyż kompania kolejowa była czemś tak różnem, czyż podlegała odmiennym prawidłom postępowania, tak, że mogła ograbiać publiczność i wyzywać prawo, a mimo to nie mieć przykrości jako olbrzymia organizacya? Jakby Chrystus postąpił? Ale on miał rodzinę. Oczywiście wiedział, że oskarżenie kompanii znaczyłoby dla niego utratę stanowiska. Żona jego i córki miały zawsze dobrobyt i zajmowały pozycyę w towarzystwie. Jeżeli wystąpi

przeciwko temu bezprawiu jako świadek, pociągnie go to przed sądy, motywy jego zostaną źle zrozumiane a cała sprawa skończy się pohańbieniem go i utratą posady. Niewątpliwie rzecz nie do niego należała. Mógł z łatwością zwrócić papiery departamentowi przewozowemu i na tem koniec. Niech się niesprawiedliwość popełnia dalej. Niech prawo będzie gwałcone. Cóż to jego obchodzi? On za to będzie przeprowadzał swój plan poprawy położenia w jego otoczeniu. Cóż innego mógł człowiek uczynić w tym interesie kolejowym, gdzie tyle różnych spraw i tak nie pozwalało żyć na chrześcijańskich zasadach? Ale jakby Chrystus postąpił, gdyby znał stan rzeczy? Oto pytanie, które nieustannie brzmiało w uszach Aleksandra Powers.

Zapalono światło w biurze. Zgrzyt maszyn trwał aż do godziny szóstej.

Potem odezwała się świstawka, maszyny zwolniły biegu, robotnicy porzucili swe narzędzia i pobiegli do blokhauzu.

Aleksander Powers słyszał wychodzących z zakładu robotników.

—Ja jeszcze nie wyjdę, bo mam coś do zrobienia —powiedział swym urzędnikom.

Czekał póki nie usłyszał, że ostatni urzędnik zakład opuścił.

Ktoby zajrzał o siódmej godzinie tego wieczora do biura superintendenta, byłby ujrzał rzecz niezwykłą. Klęczał on z twarzą pogrążoną w dłoniach i spartą o dokumenty, leżące przed nim na biurku.

ROZDZIAŁ III.

Jeżeli ktokolwiek przyjdzie do mnie bez znienawidzenia własnego ojca, matki, żony, dzieci, braci i sióstr ba nawet swego własnego życia, ten nie może być moim uczniem.....Ktokolwiek nie opuści wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem.

Gdy Rachela Winslow i Virginia Page rozeszły się po mityngu niedzielnym w Pierwszym kościele, postanowiły kontynuować swą konwersacyę następnego dnia. Virginia prosiła Rachelę, aby przyszła zjeść z nią południowe śniadanie, to też Rachela istotnie zjawiła się w rezydencyi Virginii Page około wpół do dwunastej. Sama Virginia wyszła na jej spotkanie, poczem zaczęły niebawem swą poważną dyskusyę.

—Faktem jest—rzekła Rachela, gdy już kilka minut ze sobą rozmawiały—że nie mogę tego pogodzić z mojem zdaniem a tem, jakby On postąpił. Nie mogę poradzić komuś innemu, co ma zrobić, ale sama czuję, że nie powinnam przyjąć tej propozycyi.

—A więc cóż uczynisz?—spytała Virginia z wielką ciekawością.

—Nie wiem jeszcze. Ale postanowiłam odrzucić tę ofertę.

Rachela wzięła list, leżący na jej podołku, i przeczytała go powtórnie. Był to list od dyrektora opery komicznej, ofiarujący jej posadę w dużej trupie wędrownej na nadchodzący sezon. Pensya wynosiła

ogromną kwotę, a widoki przez dyrektora przedstawione były bardzo ponętne. Słyszał on śpiew Racheli tej niedzieli rano, kiedy obcy przybysz przerwał służbę Bożą. Głos zrobił na niego wielkie wrażenie. Był w nim niewątpliwie pieniądz, to też według listu głos powinien był zostać użytym w komicznej operze, a dyrektor oczekiwał o ile możności najszybszej odpowiedzi.

—Nie ma cnoty w odrzuceniu tej oferty, kiedy mam drugą—ciągnęła Rachela z namysłem.—Tu trudniej powziąć postanowienie. Ale ja się już zdecydowałam. Mówiąc prawdę, Virginio, to jestem zupełnie przekonana, że Chrystus nigdyby nie użył dobrego głosu na to, żeby zarabiać pieniądze. Ale weźmy teraz tę ofertę koncertową. Oto kompania, mająca dobre imię, wybiera się w podróż z wiolinistą i męskim kwartetem. Wszystko ludzie z dobrą reputacyą. Proszą mnie, żebym się do nich przyłączyła jako pierwszy sopran. Wynagrodzenie—kwotę wymieniłam ci już—wynosi pewnych dwieście dollarów miesięcznie, podczas sezonu. Ale nie zdaje mi się, żeby Chrystus tak postąpił. Jakie twoje zdanie?

—Nie żądaj ode mnie decydowania za ciebie—odparła Virginia ze smutnym uśmiechem.—Mr. Maxwell miał bodaj racyę mówiąc, że każde z nas musi rozstrzygać stosowanie do swego zdania o chrześcijańskiem postępowaniu. Ja jestem w trudniejszem położeniu, niż ty, moja droga.

—Czy tak?—spytała Rachela.

Powstała, podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Virginia uczyniła to samo i stanęła obok niej. Ulica była natłoczona, a dwie młode dziewczyny patrzyły na to życie przez chwilę w milczeniu.

—Co ta cała różnica warunków znaczy dla ciebie, Rachelo, gdy stawiasz pytanie: "Jakby Chrystus postąpił?" Gniew mnie ogarnia na myśl, że towarzystwo, wśród którego zostałem wychowana, do którego obie mamy należeć, żyje z roku na rok, ubierając się, jedząc i bawiąc się wydając i chodząc na przyjęcia, używając pieniędzy na domy i zbytki, a czasami tylko dla zaspokojenia swego sumienia, dając bez osobistego uszczerbku nieco pieniędzy na cele dobroczynne. Zostałam tak samo jak ty wychowana w jednej z najkosztowniejszych szkół w Ameryce. W towarzystwo weszłam jako dziedziczka. Ogólnie ludzie zazdroszczą mi mojego stanowiska. Jestem zupełnie zdrowa, mogę podróżować lub pilnować domu. Mogę robić, co mi się podoba. Jestem w stanie zaspokoić każdą potrzebę lub pragnienie, a jednak, gdy całkiem uczciwie usiłuję wyobrazić sobie Chrystusa żyjącego w taki sam jak ja sposób i czyniącego przez całą resztę życia to, co tysiące innych bogatych ludzi czyni, to potępiam się jako jedno z najniegodziwszych, najsamolubniejszych i najnieużyteczniejszych stworzeń na świecie. Nie mogłam przez całe tygodnie wyzierać przez to okno bez uczucia przerażenia z powodu siebie samej, patrzącej na mijających ten dom ludzi.

Virginia odwróciła się i zaczęła chodzić po pokoju. Rachela patrzyła na nią i nie mogła przytłumić wzbierającej fali jej własnego określenia uczennictwa. Jakąż chrześcijańską służbę spełniał jej własny talent śpiewu?

Czy najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić, to sprzedać swój talent za tyle to a tyle miesięcznie, wziąć udział w podróży artystycznej, ubierać się ładnie, doznawać podniety od poklasku słuchaczy i zyskać sobie

reputacyę wielkiej śpiewaczki? Czyż tak byłby Chrystus postąpił?

Nie była ona wcale chorowita, przeciwnie cieszyła się wybornem zdrowiem, miała świadomość swej wartości, jako śpiewaczki i wiedziała, że gdyby wzięła udział w życiu publicznem, toby zarobiła dużo pieniędzy i zyskała rozgłos. Jest rzeczą wątpliwą, czy przeceniała swe zdolności do dokanania tego wszystkiego, do czego czuła się na siłach. A Virginia—co ta powiedziała, podziałało na Rachelę bardzo silnie z powodu podobnego położenia, w jakim się obie przyjaciółki znalazły.

Poproszono je do śniadania, więc wyszły i znalazły się w towarzystwie babki Virginii, madame Page, przystojnej, postawnej kobiety, lat sześćdziesięciu pięciu, oraz brata Virginii, Rollina, młodego człowieka, który spędzał cały prawie czas w jednym z klubów i nie odznaczał się szczególniejszą ambicyą w żadnym kierunku, z wyjątkiem rosnącej admiracyi dla Racheli Winslow, to też ile razy ona jadła śniadanie lub obiad w rezydencyi Page'ów, tyle razy, o ile był uwiadomiony o tem, pozostawał w domu.

Trójka ta stanowiła rodzinę. Ojciec Virginii był bankierem i spekulantem zbożowym. Matka jej umarła przed dziesięciu laty. Babka, urodzona i wychowana na południu, żywiła wszystkie tradycye i czucia, towarzyszące posiadaniu bogactwa i stanowiska towarzyskiego, niczem nie zmąconego. Była to sprytna, obrotna kobieta, więcej niż średnich zdolności. Majątek i bogactwo rodzinne były w znacznym stopniu pod jej osobistym nadzorem. Część Virginii należała do niej bez żadnych zastrzeżeń. Ojciec wychował ją tak, żeby rozumiała sprawy świata handlowego, a na-

wet babka zniedolona była uznać zdolność panny do zajmowania się własnym majątkiem.

Zapewne trudnoby przyszło znaleźć dwoje ludzi, mniej zdolnych do zrozumienia dziewczyny w rodzaju Virginii, niż madame Page i Rollin. Rachela, która znała całą rodzinę od czasu jak się poznały z Virginią małemi dziewczynkami, nie mogła uwolnić się od myśli o tem, co czekało Virginię w jej własnym domu z chwilą, w którejby postanowiła przystąpić do naśladowania Chrystusa. Dziś przy śniadaniu przypomniawszy sobie wybuch Virginii we frontowym pokoju, starała się wyobrazić sobie scenę, która będzie musiała kiedyś odegrać się między madame Page a jej wnuczką.

—Słyszałem, że wstępujesz pani na scenę, miss Winslow. Będzie nam wszystkim niezmiernie przyjemnie, jestem tego pewny—rzekł Rollin, podczas jednej z przerw w konwersacyi, która nie była ożywioną.

Rachella zarumieniła się i doznała przykrego uczucia.

—Kto to panu powiedział?—spytała, podczas gdy Virginia, która była małomówna, ocknęła się nagle i okazywała gotowość wzięcia udziału w rozmowie.

—Ot! wszakże różne rzeczy słyszy się na mieście. Zresztą widzieliśmy Craudalla, dyrektora trupy, dwa tygodnie temu w kościele. Nie chodzi on do kościoła słuchać kazania. W istocie znam innych, także, którzy tego nie czynią, zwłaszcza jeżeli mogą usłyszeć coś lepszego.

Rachela nie zarumieniła się tym razem, tylko odparła spokojnie:

—Jesteś pan w błędzie. Nie zamierzam wcale wstąpić na scenę.

—Wielka szkoda. Miałabyś pani powodzenie. Każdy mówi tylko o pani śpiewie.

Tym razem Rachela zapałała prawdziwym gniewem.

Nim się mogła zdobyć na słowo, Virginia zawołała:

—Kogo rozumiesz przez każdego?

—Kogo? Rozumiem wszystkich, którzy słuchają miss Winslow co niedziela. Kiedyż ją zresztą słyszeć można? Powtarzam, że to wielka szkoda, iż publiczność poza Raymondem nie usłyszy jej głosu.

—Mówmy o czem innem—rzekła Rachela nieco ostro.

Madame Page spojrzała na nią i odezwała się bardzo uprzejmie:

—Moja droga, Rollin nie powiedziałby ci pustego komplementu. Pod tym względem podobny jest do swego ojca. Ale my wszyscy pragniemy dowiedzieć się czegoś o twoich planach. Rościmy sobie do tego prawo po starej znajomości, uważasz. A Virginia powiedziała nam już o propozycyi ze strony kompanii koncertowej.

—Sądziłam oczywiście, że jest to publiczną tajemnicą—rzekła Virginia z uśmiechem.—Wiadomość pojawiła się wczoraj The News.

—Tak, tak—odparła Rachela pospiesznie.—Rozumiem to dobrze, madame Page. Otóż Virginia i ja mówiłyśmy o tem. Postanowiłem nie przyjąć oferty i oto wszystko, co dotąd mogę o tem powiedzieć.

Rachela posiadała świadomość faktu, że rozmowa do tego punktu zmniejszała jej wahanie się odnośnie

do oferty koncertowej i skłaniała do postanowienia, któreby bezwarunkowo zadowoliło jej własny sąd co do prawdopodobnego postępowania Chrystusa. Nie życzyła sobie atoli wcale, aby postanowienie jej miało się stać własnością publiczną. To co Rollin Page powiedział i sposób, w jaki to powiedział, przyspieszyło jej zdecydowanie się.

—Czy nie zechciałabyś, Rachela, dać nam powodów odrzucenia oferty? Wszakże to bardzo dobra sposobność dla takiej młodej jak ty dziewczyny. Czy nie sądzisz, że szeroka publiczność powinnaby cię usłyszeć? Jestem w tym razie zdania Rollina. Taki głos jak twój należy się liczniejszemu audytoryum, niż Raymond i Pierwszy kościół.

Rachela Winslow była powściągliwa z natury. Wzdrygała się przed publicznem ogłaszaniem swych planów lub swych myśli. Ale przy całej powściągliwości trafiały się u niej czasami nagłe wybuchy, które nie były niczem innem, jak impulsywnym, szczerym, rzetelnym wyrazem jej najskrytszych uczuć osobistych. Mówiła teraz w odpowiedzi na pytanie madame Page pod wpływem jednej z tych rzadkich chwil otwartości, która zwiększała ponętę jej całego charakteru.

—Nie mam innego powodu nad przekonanie, że Chrystus postąpiłby tak samo—powiedziała, patrząc w oczy madame Page jasnem i poważnem spojrzeniem.

Madame Page zarumieniła się a Rollin wytrzeszczył oczy. Nim babka mogła słowo powiedzieć, odezwała się Virginia. Rosnące zarumienienie dowodziło jasno, do jakiego stopnia była wzburzona. Biała, jasna płeć Virginii była zdrowa, ale stanowiła wybitne przeciwieństwo do południowego typu urody Racheli.

—Wiesz przecie, babko, żeśmy przyrzekły oprzeć na tej zasadzie swoje postępowanie przez rok. Propozycya Maxwella była jasna dla wszystkich, którzy ją słyszeli. Nie byłyśmy w stanie dojść do naszych postanowień dosyć szybko. Trudność poznania, jakby Chrystus postąpił zakłopotała w wysokim stopniu i Rachelę i mnie.

Madame Page spojrzała ostro na Virginię zanim się odezwała.

—Rozumiem oczywiście twierdzenie Maxwella. Jest ono wprost niemożliwe do przeprowadzenia w praktyce. Byłam przekonana swego czasu, że ci, którzy uczynili ślub, przekonają się o tem bardzo prędko i zaniechają go jako chimerycznego i niedorzecznego. Nie mam nic do powiedzenia o sprawach miss Winslow, lecz—zatrzymała się chwilę, a potem mówiła z naciskiem, który był czemś nowem dla Racheli—ufam, że ty Virginio nie masz głupich pojęć w tym kierunku.

—Mam bardzo wiele pojęć—odparła Virginia spokojnie.—Czy one są głupie lub nie, zależy od mego właściwego zrozumienia tego, coby On uczynił. Jak skoro tylko pojmę to, postąpię tak samo.

—Przepraszam panie—rzekł Rollin, wstając od stołu.—Konwersacya zaczyna przekraczać moją zdolność pojmowania, więc udam się do biblioteki na cygaro.

Wyszedł z jadalni, poczem zapanowała chwila milczenia. Madame Page czekała aż służąca przyniesie jakiś drobiazg a potem poprosiła ją, żeby sobie wyszła. Była rozgniewana, a gniew jej był straszny, jakkolwiek hamowany nieco obecnością Racheli.

—Jestem, moje młode panny, starsza od was o kilka lat—rzekła, a jej tradycyjny sposób trzymania

się rósł w oczach Racheli do wielkości olbrzymiej zapory pomiędzy nią a pojęciem Chrystusa jako ofiary. —Coście ślubowały w duchu fałszywego uczucia, to według mnie jest niemożliwe do wykonania.

—Czy sądzisz, babko, że nie zdołamy w żaden sposób postępować na wzór Chrystusa, lub czy sądzisz, że gdy spróbujemy, to obrazimy zwyczaje i przesądy towarzyskie—spytała Virginia.

—Nie jest rzeczą wymaganą! Nie jest wcale potrzebną! Zresztą, jakże ty możesz działać.—Madame Page urwała i zwróciła się do Racheli.

—Cóż matka powie na pani postanowienie? Moja kochana, czyż to nie głupota? Cóż więc masz zamiar uczynić ze swym głosem?

—Nie wiem, co matka powie—odparła Rachela, nie próbując nawet odgadnąć prawdopodobnej odpowiedzi matki.—Jeżeli w Raymondzie była kobieta, żywiąca wielkie nadzieje na punkcie powodzenia swej córki jako śpiewaczki, to była nią właśnie miss Winslow.

—Ujrzysz to w zupełnie innem świetle po rozumnem rozważeniu rzeczy. Moja droga—ciągnęła madame Page, wstając od stołu—pożałujesz odrzucenia oferty trupy koncertowej, czy czegoś w tym rodzaju.

Rachela powiedziała jeszcze coś, co świadczyło o walce, jaką przechodziła. Po chwili odeszła z uczuciem, że po jej wyjściu nastąpi przykra rozmowa między Virginią a jej babką. Potem dowiedziała się, że Virginia przeszła podczas tej sceny ze swą babką przez kryzys uczucia, który przyspieszył jego ostateczną decyzyę, odnośnie do użycia swych pieniędzy i swej pozycyi socyalnej.

Racheli miło było wyjść i znaleźć się już samej.

W umyśle jej formował się powoli plan, który chciała zwolna w samotności opracować! Lecz nim uszła kilka kroków, spostrzegła, że Rollin Page znalazł się obok niej.

—Przykro mi przerywać myśli pani, miss Winslow, ale właśnie idę przypadkiem w tę samą co pani drogę i przypuszczałem, że pani nie będzie miała nic przeciwko temu. Istotnie też szedłem już czas jakiś a pani nie oponowała!

—Nie spostrzegłam pana—rzekła Rachela.

—Niebym sobie z tego nie robił, gdybyś pani o mnie choć czasami pomyślała—rzekł Rollin nagle. Pociągnął nerwowo cygara, cisnął je na ulicę i szedł z bladą twarzą.

Rachela była zaskoczona, ale nie zaniepokojona. Znała Rollina od chłopca, a kiedyś nazywali się nawet nawzajem po imieniu. W ostatnich czasach atoli coś w sposobie wzięcia się Racheli położyło temu koniec. Przywykła do jego komplementów, które ją bawiły czasami. Dzisiaj jednak pragnęła rzetelnie, żeby się stracił.

—Czy myślisz pani kiedykolwiek o mnie, miss Winslow?—spytał Rollin po chwili.

—O, tak, nawet często—odparła Rachela z uśmiechem.

—Myślisz pani o mnie obecnie?

—Tak, to jest—tak, myślę.

—Co?

—Chcesz pan, żebym była bezwzględnie szczera.

—Oczywiście.

—Zatem myślałam że chciałabym, żeby pan był w tej chwili gdzieindziej, nie tu.

Rollin przygryzł wargi i miał ponury wyraz twarzy.

—Słuchaj, Rachelo. Oh, wiem, że mi tak mówić nie wolno—ale muszę tak mówić czasami; znasz moje uczucia. Dlaczego traktujesz mnie tak surowo? Dawniej lubiłaś mnie nieco, wszak prawda?

—Czy tak? Oczywiście bawiliśmy się doskonale jako chłopiec i dziewczyna. Ale teraz jesteśmy już starsi.

Rachela ciągle jeszcze mówiła w lekki, łatwy sposób, w jaki zwykła była mówić. Ciągle jeszcze była nieco zajęta swym planem, który zamąciło zjawienie się Rollina.

Czas jakiś szli obok siebie w milczeniu. Avenue było pełne ludzi. Wśród przechodniów znalazł się i Jasper Chase. Ujrzał Rachelę i Rollina i pokłonił się im przechodząc. Rollin śledził Rachelę pilnie.

—Pragnąłbym być Jasperem Chase; możebym był wtedy inaczej traktowany—rzekł kapryśnie.

Rachela zarumieniła się pomimo woli. Nie powiedziała ani słowa i przyspieszyła nieco kroku. Rollin zdawał się być zdeterminowanym powiedzieć coś, a Rachela widocznie nie czuła się na siłach przeszkodzić temu. Zresztą, pomyślała, teraz tak samo może się dowiedzieć prawdy, jak i innym razem.

—Wiesz dobrze, Rachelo, jakie względem ciebie żywię uczucie. Czy mogę mieć jaką nadzieję? Mógłbym cię uczynić szczęśliwą. Kocham cię już tyle lat.

—Ba, ileż ja według pana mam lat?—przerwała Rachela nerwowym śmiechem, bo wyszła ze swej zwykłej równowagi.

—Wiesz pani, co myślę—ciągnął Rollin uporczy-

wie.—Nie miałaś pani racyi śmiać się ze mnie dlatego, że pragnę się z panią ożenić.

—Ja się też nie śmieję! Ale na nic się panu nie zda mówić, Rollinie—rzekła Rachela po chwili wahania, wymawiając jego imię w tak swobodny i prosty sposób, że nie mógł do tego przywięzywać żadnego innego znaczenia, niż poufałości na podstawie starej przyjaźni—To jest niemożliwe.

Ustawicznie jeszcze była nieco wzburzona faktami oświadczyn na ulicy. Ale hałas uliczny czynił rozmowę tak poufną, jak gdyby się znajdowali w zamkniętym pokoju.

—Czybyś jednak, to jest, czy sądzisz, że gdybyś mi dała czas, to jabym. . .

—Nie—rzekła Rachela, a mówiła z mocą; potem pomyślała, że choć mimo woli, odezwała się nieco ostro.

Przez czas jakiś szli w milczeniu. Zbliżał się do mieszkania Racheli, która pragnęła zakończyć tę rozmowę.

Gdy skręcili z Avenue na jednę spokojnych ulic, Rollin przemówił nagle i z wielką męskością różną od tej, jaką do tej pory okazywał. Głos jego zdradzał wyraźnie poczucie godności, całkiem nowe dla Racheli.

—Miss Winslow, proszę panią o zostanie moją żoną. Czyż mogę mieć nadzieję, że się pani kiedyś zgodzisz?

—Nawet najmniejszej.—Rachela mówiła stanowczo.

—Zechcesz mi pani powiedzieć dlaczego?—stawiał pytanie tak, jak gdyby miał prawo do rzetelnej odpowiedzi.

—Nie żywię względem pana takiego uczucia, jakie powinna żywić kobieta względem mężczyzny, którego pragnie poślubić.

—Innemi słowy, nie kochasz mnie pani?

—Nie kocham i nie mogę.

—Dlaczego?

Było to drugie pytanie, którego postawienie zdziwiło Rachelę.

—Ponieważ...—zawahała się z obawy aby nie powiedzieć za wiele w chęci powiedzenia ścisłej prawdy.

—Powiedz mi tylko dlaczego. Nie możesz mi pani zrobić większej przykrości, niż uczyniłaś.

—Otóż nie kocham pana i kochać nie mogę, ponieważ nie masz pan celu w życiu. Co pan robisz kiedykolwiek dla poprawienia świata? Czas swój trwonisz pan w klubach na rozrywkach, w podróżach, w zbytku. Cóż w takiem życiu ma pociągać kobietę?

—Zapewne, że nie wiele—rzekł Rollin z lekkim uśmiechem.—Mimo to, nie zdaje mi się, abym był wiele gorszym od reszty otaczających mnie mężczyzn. A nie jestem jeszcze tak zły, jak niektórzy z nich. Cieszy mnie, że znam pani powód.

Stanął nagle, zdjął kapelusz, ukłonił się poważnie i zawrócił. Rachela szła dalej do domu i wpadła do swego pokoju, wzburzona wypadkim, który narzucił się jej uwadze tak niespodziewanie.

Gdy miała czas zastanowić się nad tem wszystkiem, ujrzała, że wyrok, wydany przez nią na Rollina Page, potępia i ją samą. Jakiż ona miała cel w życiu? Była zagranicą, gdzie studyowała u jednego ze słynnych nauczycieli europejskich. Wróciła do Raymondu i śpiewała w chórze Pierwszego kościoła przez cały rok. Płacono jej za to dobrze. Aż do owej niedzieli

przed dwoma tygodniami była z siebie całkiem zadowolona, jakoteż i ze swego stanowiska. Podzielała ambicyą swej matki i przewidywała tryumfy w świecie muzycznym. Jakaż inna karyera mogła ją czekać, niż zwyczajna karyera każdej śpiewaczki?

Postawiła sobie pytanie powtórnie, a w świetle odpowiedzi, danej Rollinowi, spytała po raz drugi, czy posiadała sama wielki cel w życiu? Jakby Chrystus postąpił? W głosie jej był majątek. Wiedziała ona o tem, niekoniecznie przez osobistą pychę lub zawodowy egotyzm, ale poprostu wiedziała jako o fakcie. Nie mogła zaprzeczyć, że przed dwoma tygodniami jeszcze, miała zamiar użyć swego głosu dla robienia pieniędzy i zyskania poklasku, oraz uwielbienia. Byłże to o wiele wyższy cel od tego, dla jakiego żył Rollin Page?

Siedziała w swym pokoju długi czas, w końcu zeszła na dół z postanowieniem otwartego pomówienia z matką o ofercie towarzystwa koncertowego i swym nowym planie, który zwolna w jej umyśle dojrzewał. Raz już mówiła ze swą matką, która spodziewała się, że Rachela zgodzi się na propozycyą i rozpocznie karyerę cieszącej się powodzeniem śpiewaczki.

—Matko—rzekła Rachela, przystępując wprost do rzeczy, jakkolwiek obawiała się rozmowy.—Postanowiłam nie przyłączyć się do towarzystwa. Mam słuszny powód do tego.

Miss Winslow była okazałą, przystojną kobietą, lubiącą liczne towarzystwo, pragnącą wybitnego miejsca w społeczeństwie i oddaną, według zwykłych pojęć o powodzeniu, powodzeniu swych dzieci. Najmłodszy jej syn, Lewis, o dziesięć lat młodszy od Racheli, był już gotów do ukończenia w lecie akademii

wojskowej. Tymczasem, ona i Rachela pozostawały razem w domu. Ojciec Racheli, podobnie jak ojciec Virginii, umarł podczas pobytu rodziny zagranicą. Podobnie jak Virginia znalazła się ona przy swej obecnej zasadzie postępowania w zupełnym antagonizmie z bezpośderniem otoczeniem domowem.

Miss Winslow czekała na dalszy ciąg.

—Znasz matko ślub, jaki uczyniłam dwa tygodnie temu? Ślub Maxwella?

—Nie, mój. Wiesz matko o co chodzi?

—Zdaje mi się, że wiem. Oczywiście wszyscy członkowie kościoła pragną naśladować Chrystusa, oraz wstępować w Jego ślady o ile to się zgadza z naszem obecnem otoczeniem. Ale w jakim to jest związku z twojem postanowieniem w sprawie towarzystwa koncertowego?

—W blizkim związku. Po zapytaniu się: jakby Chrystus postąpił? i udaniu się do źródła powagi po rozum, jestem zniewolona uznać, jako nie wierzę, iżby On w mojem położeniu uczynił taki użytek ze swego głosu.

—Dlaczego? Czyż jest cokolwiek złego w takiej karyerze?

—Nie, przynajmniej nie zdaje mi się.

—Czy zamierzasz sądzić innych ludzi, którzy używają swego głosu w ten sposób? Czy chcesz twierdzić, że oni nie postępują tak, jakby Chrystus postąpił?

—Matko, pragnę, abyś mnie zrozumiała. Ja nie chcę sądzić innych. Nie potępiam innych śpiewaków zawodowych. Ja tylko wyznaczam swoją własną drogę postępowania. Jak ja na to patrzę, to przychodzę do przekonania, że Chrystus postąpiłby w inny sposób.

—Jaki inny sposób?

Miss Winslow nie straciła jeszcze panowania nad sobą. Nie rozumiała położenia, ani też Racheli wśród tego położenia, pragnęła jeno, żeby karyera jej córki była tak wspaniała, jak się jej wrodzony dar spodziewać dozwalał. Była ona pewna, że z chwilą, gdy obecny niezwykły zapał religijny w Pierwszym kościele minie, Rachela pokieruje swe życie publiczne zgodnie z życzeniami rodziny. Była ona całkiem nieprzygotowaną na nawstępną uwagę Racheli.

—W jaki? W sposób, przynoszący usługę ludzkości tam, gdzie ona najwięcej usługi śpiewu potrzebuje. Postanowiłam, matko, użyć mego głosu w jakiś taki sposób, któryby zadowolił moją własną duszę, że czynię coś lepszego nad podobanie się modnym słuchaczom lub nad robienie pieniędzy, a nawet nad zaspokojenie mego własnego zamiłowania do śpiewu. Zamierzam czynić coś takiego, co mnie zadowolni, gdy się zapytam: "Jakby Chrystus postąpił?" A nie jestem i nie mogę być zadowolona, gdy pomyślę o sobie jako o uczestniczce karyery zwykłej śpiewaczki koncertowej.

Rachela mówiła z siłą i powagą, które zdziwiły jej matkę. Miss Winslow wpadła obecnie w gniew. Nigdy zaś nie starała się ukrywać swych uczuć.

—To po prostu jest nonsensem! Rachelo jesteś fanatyczką. Cóż ty możesz takiego uczynić?

—Światu służyli mężczyzni i kobiety, którzy dali mu inne rzeczy, niż talenty. Dlaczego ja posiadająca dar naturalny mam zaraz obłożyć go ceną targową i kazać sobie zapłacić możliwie najwięcej? Wiesz matko, że uczyłaś mnie zawsze rozważać moją karyerę muzyczną w świetle finansowego i towarzyskiego powodzenia. Od chwili uczynienia mego ślubu nie zdol-

na jestem wyobrazić sobie, żeby Chrystus przyłączył się do kompanii koncertowej dla robienia tego, co jabym robiła i dla prowadzenia takiego życia, jakie jabym w danym razie prowadzić musiała.

Miss Winslow powstała, poczem znowu usiadła. Z wielkim wysiłkiem panowała nad sobą.

—Cóż więc zamierzasz czynić? Nie odpowiedziałaś jeszcze na moje pytanie.

—Tymczasem będę dalej śpiewać w kościele. Jestem zobowiązana śpiewać tam jeszcze całą wiosnę. W ciągu tygodnia zaś będę śpiewać na zebraniach w White Cross.

—Co! Rachela Winslow!... Czy ty wiesz, co ty mówisz? Czy ty wiesz, jaki gatunek ludzi spotkasz tam?

Rachela zadrżała niemal przed matką. Na chwilę zachwiała się i milczała.

—Wiem bardzo dobrze. To właśnie powód, dla którego tam się wybieram. Mr. i Miss Gray pracują tam już od kilku tygodni. Dowiedziałam się dopiero dziś rano, że potrzebują śpiewaków kościelnych do pomocy w mityngach. Używają oni namiotu. Jest to w części miasta, gdzie najwięcej potrzeba chrześcijańskiej pracy. Ofiaruję im swoją pomoc. Matko! —zawołała Rachela z uczuciem po raz pierwszy— pragnę robić cokolwiek, co będzie wymagało z mej strony ofiary. Wiem, że mnie nie pojmiesz, matko. Ale ja pragnę pocierpieć nieco. Cośmy czynili całe nasze życie dla cierpiących i grzeszących mieszkańców Raymondu? Ileśmy się zapierali, lub ileśmy poświęcili osobistej wygody czy przyjemności dla ubłogosławienia miejsca, w którem mieszkamy, lub dla naśladowania życia Zbawiciela świata? Czyż

ciągle mamy tak czynić, jak nam dyktuje samolubne społeczeństwo, poruszając się po swej wązkiej dróżynie przyjemności i rozrywek, bez zaznania cierpienia, które dopiero coś kosztuje?

—Czy masz dla mnie kazanie?—spytała miss Winslow zwolna.

Rachela rozumiała słowa matki.

—Nie, mam kazanie dla siebie samej—odparła łagodnie.

Przerwała na chwilę jakby oczekując, że matka powie jeszcze coś więcej, a potem wyszła z pokoju. Wszedłszy do własnego pokoju, poczuła, że o ile to się do jej matki odnosiło, to nie mogła spodziewać się ani współczucia ani nawet prostego zrozumienia siebie.

Uklękła. Śmiało można powiedzieć, że w ciągu dwóch tygodni od czasu kiedy kościół Henryka Maxwella ujrzał tę obdartą postać z wytartym kapeluszem, więcej członków jego parafii padało na kolana dla modlenia się, niż działo się podczas całego poprzedniego przebiegu jego probostwa.

Gdy się podniosła piękna jej twarz była wilgotną od łez. Usiadła w zamyśleniu na chwilę, a potem napisała list do Virginii Page. Posłała go do niej przez umyślnego posłańca, a potem zeszła znowu na dół, aby powiedzieć swej matce, że ona i Virginia wybierają się wieczorem do White Cross dla widzenia się z Mr. i Miss Gray, misyonarzami.

—Wuj Virginii, Dr. West, będzie nam towarzyszył, jeżeli i ona pójdzie. Prosiłam ją, żeby go wezwała telefonicznie i poszła z nami. Wiktor jest przyjacielem Grayów i brał udział w kilku zeszłorocznych mityngach.

Miss Winslow nie rzekła ani słowa. Sposób jej zachowania się dowodził zupełnego potępienia postępowania Racheli, która czuła jej nie ujawiającą się w słowach gorycz.

Około siódmej Wiktor i Virginia pojawili się, i wszystko troje udali się na mityng w White Cross.

Była to najbardziej osławiona dzielnica w całem Raymond. Znajdowała się ona w pobliżu warsztatów kolejowych i magazynów. Najgorsze elementy Raymondu gromadziły się w tej okolicy. Było tam puste pole, używane w lecie przez towarzystwo cyrkowe i wędrowne trupy. Zamykały je szeregi knajp, lub gry hazardowej, oraz tanich i brudnych hoteli.

Pierwszy kościół w Raymond nie tknął nigdy kwestyi tego placu. Była ona za brudna, za ordynarna, za występna, za straszna w bliższem zetknięciu się. Bądźmy sprawiedliwi. Próbowano oczyścić to straszne miejsce przez posłanie przygodnego komitetu śpiewaków, nauczycieli szkółek niedzielnych, oraz misyonarzy z różnych kościołów. Ale kościół w Raymond jako instytucya, w istocie nie uczynił nigdy nic dla pozbawienia placu charakteru stolicy czarta.

W tej więc występnej części Raymondu wędrowny misyonarz i jego dzielna mała żona rozbili spory namiot i zaczęli mityngi. Była to właśnie wiosna, a wieczory zaczynały być już przyjemne. Misyonarz prosił o pomoc lud chrześcijański i doznał więcej niż zwyczajnej zachęty. Czuł on atoli większej ilości lepszej muzyki. Podczas mityngów ubiegłej niedzieli rozchorował się organista. Ochotnicy z miasta byli nieliczni i głosy nie przedstawiały nic osobliwego.

—Będziemy mieć dzisiaj wieczorem mały mityng —rzekła jego żona, gdy weszli do namiotu nieco po

siódmej godzinie i zaczęli ustawiać krzesła, jakoteż zapalać światło.

—Tak i ja myślę.

Mr. Gray był małym energicznym człowieczkiem o miłym głosie i odwadze szlachetnego zapaśnika. Zdołał on zyskać już sobie przyjaciół w okolicy, a jeden z nawróconych przez niego, mężczyzna o ociężałym wyrazie twarzy, który tylko co wszedł, wziął się do pomagania w ustawianiu stołków.

Minęła już ósma godzina, kiedy Aleksander Powers roztworzył drzwi swego biura i miał udać się do domu. Zamierzał wsiąść do tramwaju na rogu placu dzielnicy White Cross. W miarę zbliżania się zaczął zwracać uwagę na śpiew dochodzący z namiotu.

Był to głos Racheli Winslow, który zwrócił na siebie jego uwagę, pomimo wewnętrznej walki nad swem pytaniem, na które poza sobą szukał odpowiedzi. Nie doszedł on jeszcze do żadnego wniosku. Jakaś niepewność dręczyła go. Cała jego poprzednia czynność jako kolejarza była najlichszem przygotowaniem do poniesienia ofiary. To też nie był jeszcze w stanie powiedzieć, co w tej sprawie uczyni.

Cóż to ona takiego śpiewa? Jakim porządkiem Rachela Winslow mogła znaleźć się tutaj? Kilka sąsiednich okien otworzyło się. Kilku mężczyzn, spierających się w knajpie, zatrzymało się słuchając. Inne postacie spieszyły w kierunku placu i namiotu.

Niewątpliwie Rachell Winslow nie czuła się nigdy szczęśliwsza w swem życiu. W taki sposób nie śpiewała nigdy w Pierwszym kościele. Był to cudowny głos. Cóż więc ona takiego śpiewała? Aleksander Powers, superintendent warsztatów kolejowych, znowu przystanął nasłuchując:

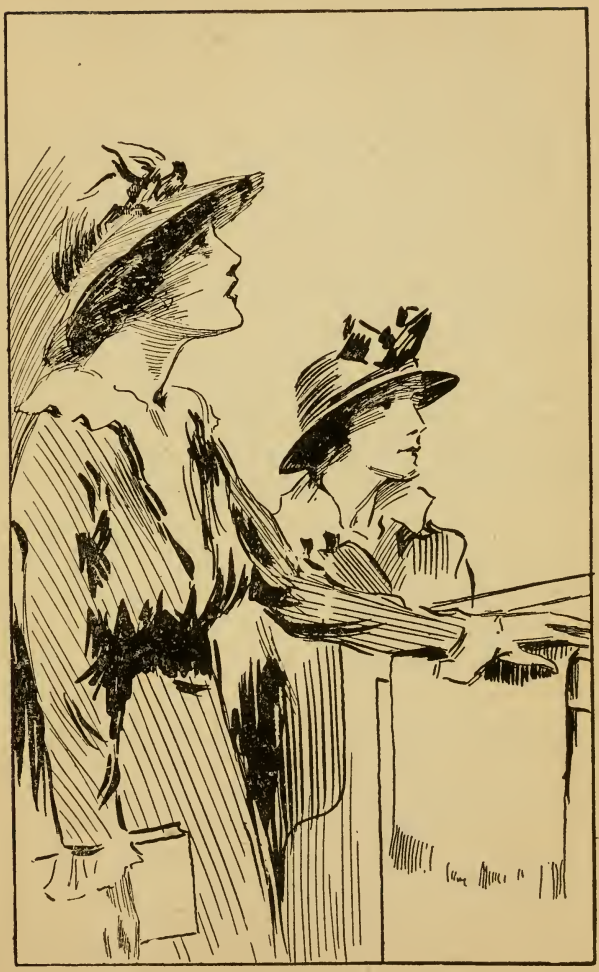

Dokąd On mnie zaprowadzi, tam pójdę,
Dokąd On mie poprowadzi, tam pójdę,
Dokąd On mie poprowadzi, tam pójdę,
Pójdę z Nim, z Nim,
Całą drogę.

Brutalne, głupie, ordynarne, nieczyste życie dzielnicy zaczęło przechodzić w nową fazę, gdy śpiew, o tyle czysty, o ile otoczenie było nieczyste, zaczął przenikać do knajp, nor i cuchnących mieszkań. Ktoś przesuwający się około Powersa, odrzekł na pytanie:

—Namiot zaczyna się dzisiaj przepełniać. Oto, co talent nazywa muzyką.

Superintendent skierował swe kroki ku namiotowi. Potem zatrzymał się. Po chwili wahania wsiadł do tramwaju na rogu i pojechał do domu. Ale zanim przestał słyszeć śpiew Racheli już dał sobie odpowiedź na pytanie, jakby Chrystus postąpił.

ROZDZIAŁ IV.

Gdyby ktokolwiek przybył do mnie, to niech się zaprze siebie, weźmie swój dzienny krzyż i postępuje za mną.

Henryk Maxwell chodził po swym gabinecie tam i sam. Była to środa, to też zaczął rozmyślać nad tematem do wieczornej służby Bożej, przypadającej właśnie tegoż wieczora.

Przez jedno z okien gabinetu mógł widzieć wysmukłe kominy warsztatów kolejowych.

Szczyt namiotu misyonarza wznosił się nieco ponad budynki czworoboku domostw.

Proboszcz Pierwszego kościoła wyzierał precz to okno, ile razy chodząc zbliżył się do niego. Po chwili usiadł przy biurku i podsunął sobie duży kawał papieru.

Po chwili namysłu napisał wielkiemi literami jak następuje:

Rzeczy, któreby Chrystus zapewne wykonał w tej parafii.

1) Żyłby w prosty, skromny sposób, bez niepotrzebnych zbytków z jednej, a nadmiernego ascetyzmu z drugiej strony.

2) Kazałby bez obawy przed hipokrytami w kościele bez względu na ich społeczne znaczenie lub na bogactwo.

3) Okazywałby w jakiśkolwiek praktyczny sposób współczucie i miłość dla prostego ludu, zarówno

jak i dla ludzi zamożnch, wykształconych i wyrafinowanych, stanowiących większość kościoła i parafii.

4) Stanąłby po stronie wielkich spraw ludzkości w taki jakiś osobisty sposób, któryby wymagał zaparcia się i cierpienia.

5) Kazałby przeciwko knajpom w Raymondzie.

6) Stałby się znanym przyjacielem i towarzyszem grzeszników w White Cross.

7) Zaniechał tego lata wycieczki do Europy. (Byłem tam dwa razy i nie mogę twierdzić, abym potrzebował koniecznie wypoczynku. Czuję się zdrowym i mógłbym się wyrzec tej przyjemności, używszy pieniędzy dla kogoś, kto potrzebuje wakacyi więcej, niż ja. Zapewne jest w mieście dosyć takich ludzi).

8) Cóżby Chrystus jeszcze zrobił na stanowisku Henryka Maxwella?

Posiadał on świadomość w pokorze, która mu była dawniej obca, że jego zarys prawdopodobnej działalności Chrystusa, odznaczał się ogromnym brakiem pogłębienia i siły, lecz szukał on konkretnych form, w które mógłby ubrać swe myśli o postępowaniu Chrystusa. Każdy punkt, który na papierze napisał, znaczył dla niego zupełny przewrót w zwyczajach, zachowywanych przez całe lata zawodu kapłańskiego. Pomimo to szedł jeszcze głębiej do źródeł ducha chrześcijańskiego. Nie próbował pisać więcej, lecz siadł przy biurku pogrążony w wysiłku coraz większego ducha Chrystusa w swem własnem życiu. Zapomniał o specyalnym temacie na mityng, na jaki rozpoczął swe ranne studya.

Tak był zaobsorbowany swemi myślami, że nie słyszał głosu dzwonka, dopiero, ocknął się, gdy służąca zaanonsowała odwiedziny.

Maxwell podszedł ku schodom, poprosił Graya na górę.—Tu możemy swobodniej rozmawiać.

Gray wszedł tedy na górę i objaśnił cel swego przyjścia. Chcę, żebyś mi pan pomógł. Mr. Maxwell. Słyszałeś pan oczywiście, jakieśmy mieli pyszne mityngi w poniedziałek i wczoraj wieczorem. Miss Winslów więcej osiągnęła swoim głosem, niżbym ja był w stanie, a namiot jest już zamały dla zebrań.

—Słyszałem o tem. Tamci ludzie słyszeli ją po raz pierwszy. Nic dziwnego, że zostali pociągnięci.

—Była to zadziwiająca rewelacya dla nas, i nadzwyczaj zachęcające zdarzenie w przebiegu naszej pracy. Przyszedłem prosić, żebyś pan zechciał powiedzieć nam dziś wieczorem kazanie. Cierpię na silny katar. Nie wolno mi narażać znowu swego głosu. Wiem, że wymagam wiele od tak mocno zajętego człowieka. Ale jeżeli nie możesz pan przyjść, powiedz pan otwarcie, a udam się do kogo innego.

—Przykro mi, bo mam dziś swój zwykły mityng —rzekł Henryk Maxwell. Potem zarumienił się i dodał:—ale postaram się rzecz tak ułożyć, aby przyjść koniecznie. Możesz pan liczyć na mnie.

Gray podziękował mu serdecznie i zabierał się do odejścia.

—Nie zostaniesz pan u mnie chwilę, panie Gray? Pomodlilibyśmy się razem.

—Owszem—odparł Gray poważnie.

Obaj mężczyzni uklękli w gabinecie. Mr. Maxwell modlił się jak dziecko. Gray był do łez wzruszony podczas klęczenia. Było coś budzącego litość w sposobie, w jaki ten człowiek, który pędził swój duchowny żywot w tak ciasnych granicach praktyki, błagał obecnie o rozum i siłę, potrzebne do przemówienia

przed ludnością czworoboku.

Gray powstał i wyciągnął rękę.

—Niech cię Bóg błogosławi, panie Maxwell. Jestem pewien, że duch udzieli panu siły dzisiaj wieczorem.

Henryk Maxwell nie odrzekł nic. Nie śmiał przyznać nawet przed sobą samym, że i on taką miał nadzieję. Ale pomyślał tylko o swym ślubie, co dało mu jakieś uspokojenie, działające ożywczo zarówno na serce jak i umysł.

Oto w jaki sposób stało się, że gdy słuchacze Pierwszego kościoła znaleźli się w sali odczytowej, spotkała ich niespodzianka.

Zebrała się niezwykle duża ilość słuchaczy. Od czasu owego osobliwego ranka niedzielnego mityngi dla modlitwy były tak liczne jak nigdy przedtem w historyi Pierwszego kościoła.

Henryk Maxwell przystąpił natychmiast do rzeczy. Oznajmił o pracy Graya i o jego próbie.

—Czuję się powołanym do udania się tamże dziś wieczorem, a już wam zostawiam postanowienie odbywania mityngu tutaj. Najlepszym według mnie planem byłoby, gdyby kilku ochotników poszło ze mną razem do czworoboku w celu udzielenia pomocy, reszta zaś niech zostani tu i prosi, aby duch był z nami.

Pół tuzina ochotników udało się z Henrykiem Maxwellem, reszta zaś pozostała w sali odczytowej. Maxwell nie mógł uwolnić się od myśli, że wśród wszystkich członków jego kościoła nie znalazłoby się nawet dwudziestu uczniów, zdolnych do pracy, prowadzącej z powodzeniem grzesznych ludzi ku poznaniu Chrystusa. Ale myśl ta nie zatrzymała się w jego

umyśle, aby go dręczyć, ale weszła w skład jego nowej koncepcyi o znaczeniu chrześcijańskiego uczennictwa.

Kiedy dosięgnął razem z grupką swych ochotników czworoboku, namiot był już natłoczony. Trudno im było dostać się do małej estrady. Rachela znajdowała się już tam z Virginią i Jasperem Chase, który przyszedł tym razem w zastępstwie doktora.

Kiedy mityng rozpoczął się śpiewem, w którym Rachela wykonała solo, obecni zaś wzięli udział w chórze, nie możnaby w namiocie wetknąć ani szpilki. Noc była łagodna, tak, że ściany namiotu podniesiono, umożliwiając w ten sposób branie udziału w mityngu ludziom i poza namiotem znajdującym się.

Po śpiewie i modlitwie, wygłoszonej przez jednego z obcnych księży miejskich, Gray wyłuszczył przyczyny, dla których sam nie mógł mówić, poczem w swój prosty sposób oddał sprawowanie służby Bożej w ręce "Brata Maxwella z Pierwszego kościoła."

—Cóż to za facet?—spytał jakiś zachrypły głos z poza namiotu.

—Ksiądz Pierwszego kościoła. Mamy tu dzisiaj całą arystokracyę.

—Z Pierwszego kościoła powiadasz? Ja go znam. Mój landlord ma tam jedno z frontowych siedzeń—rzekł inny głos, któremu towarzyszył śmiech, ponieważ mowcą był właściciel "salonu."

—Wyrzućcie linę ratunkową poprzez czarną falę—zaczął pijany mężczyzna w pobliżu maniotu, nieświadomie tak naśladując nosowy ton wędrownego śpiewaka, że salwy śmiechu i okrzyki uznania ozwały się wokół niego. Ludzie z namiotu zwrócili się w stronę zamieszania. Ozwały się głosy: "Wyrzucić go!

Słuchajcie Pierwszego kościoła! Dajcie nam jeszcze trochę śpiewu!

Henryk Maxwell powstał i zadrżał z obawy. Nie było to wcale podobne do kazania przed starannie ubranymi, przyzwoitymi, dobrze ułożonymi ludźmi z bulwarów. Zaczął mówić, ale zamieszanie wzrastało. Gray zszedł pomiędzy tłum, ale nie był w stanie uspokoić go. Henryk Maxwell podniósł ramię i głos. Tłum w namiocie zaczął zwracać nieco uwagi, ale wrzawa na zewnątrz wzrastała. W kilka chwil audytoryum było poza sferą wpływu Maxwella, który też zwrócił się ze smutnym uśmiechem do Racheli.

—Zaśpiewaj pani cokolwiek, miss Winslow. Panią będę słuchać—rzekł, poczem usiadł i skrył twarz w dłonie.

Rachela czuła się na siłach podołać zadaniu.

Virginia siedziała przy organie, a Rachela poprosiła ją o kilka taktów hymnu:

Zbawicielu, idę przed siebie,
Kierowana przez Ciebie,
Choć nie widzę dłoni,
Która mnie prowadzi;
Uspokojona w swem sercu,
Nie boję się niczego złego,
A jedyną wolą moją
Będzie słuchać Twojej woli.

Zaledwie Rachela prześpiewała pierwszy wiersz, gdy zgromadzeni w namiocie zwrócili się ku niej, uciszeni i pełni szacunku. Zanim skończyła zwrotkę, czworobok był opanowany i uspokojony. Znalazł się on u jej stóp jakby jakieś dzikie zwierzę, śpiewem czarownym upojone i ujarzmione. Ah!

Czemże były płytkie, naperfumowane, krytyczne audytorya sal koncertowych w porównaniu z tym brudnym, pijanym, nieczystym, nizko upadłym tłumem, który drżał i płakał i wpadał w dziwną, smętną zadumę pod wpływem głosu tej pięknej młodej kobiety? Henryk Maxwell, podniósłszy głowę i ujrzawszy ten motłoch tak zmieniony, zrozumiał coby Chrystus uczynił z głosem takim, jaki miała Rachela Winslow. Jasper Chase siedział z oczyma w śpiewaczkę wlepionnemi, a najwyższe jego pragnienia jako ambitnego pisarza, utonęły w myślach o tem, jakie znaczenie mogłaby posiąść kiedyś dla niego miłość Racheli Winslow. Na zewnątrz namiotu w cieniu znajdował się człowiek, którego możnaby się tam najmniej spodziewać—to jest Rollin Page, który potrącany na wsze strony przez ordynarnych mężczyzn i takież kobiety, patrzące ze zdziwieniem na eleganta w pięknym stroju, zdawał się nie troszczyć wcale o swe otoczenie, wyraźnie ulegając wpływowi czarownego głosu Racheli. przyszedł tylko co prosto z klubu. Ani Rachela ani Virginia nie widziały go tego wieczoru.

Śpiew się skończył. Henryk Maxwell powstał po raz drugi. Tym razem był całkiem spokojny. Jakby Chrystus postąpił? Przemawiał tak, jak przypuszczał, że nigdy nie zdoła. Któż to byli ci ludzie? Były to nieśmiertelne dusze. Czemże jest chrześcijaństwo? Wzywaniem do pokuty grzeszników i niesprawiedliwych. Jakby Chrystus przemówił? Coby On powiedział? Nie był w stanie wypowiedzieć wszystkiego, co chciał, ale stać go było na danie bodaj części. W poczuciu tej pewności zaczął. Nigdy przedtem nie doznawał "współczucia dla masy."

Czemże masy były dla niego w ciągu dziesięciu lat służby w Pierwszym kościele, jeżeli nie nieokreślonym, niebezpiecznym, brudnym i kłopotliwym czynnikiem w społeczeństwie, leżącym poza kościołem i jego wpływem,—czynnikiem, który sprawiał mu czasami niemiły stan jego sumienia? Masy stanowiły w życiu Raymondu czynnik, o którym pisało się w dziennikach jako o czemś, czego pracą społeczną objąć niepodobna. Ale teraz, gdy stał wobec tej "masy," pytał sam siebie, czy nie był to tłum, z jakim Chrystus miał najczęściej do czynienia i poczuł w sobie istotną miłość tegoż tłumu, która jest najlepszą wskazówką u kaznodziei, że pojmuje istotę duchownego życia świata. Łatwo jest pokochać jednego grzesznika, zwłaszcza, jeżeli jest osobiście ponętny lub zajmujący. Kochać masę grzeszników znaczy posiadać istotne poczucie chrześcijańskie.

Kiedy mityng się skończył ,nie objawiło się żadne szczególne zainteresowanie się rzeczą. Ludzie wynieśli się szybko z namiotu, a knajpy, puste podczas trwania zebrań, znowu się ożywiły. Plac, jakby w chęci odbicia sobie straconego czasu ze zdwojonym zapałem rozpoczął swe nocne pohulanki. Henryk Maxwell i jego nieliczne towarzystwo, obejmujące także Virginię, i Rachelę i Jaspera Chase, przeszli wzdłuż szeregu knajp i jaskiń aż nareszcie dobrnęli do rogu, gdzie przejeżdżały wozy tramwajowe.

—To jest straszna dzielnica rzekł Henryk Maxwell, czekając na tramwaj.—Nigdy nie przypuszczałem, że Raymond posiada taki cuchnący wrzód. Nie podobna uwierzyć, aby to miasto zamieszkiwali chrześcijanie.

Urwał na chwilę, poczem ciągnął dalej:

—Czy sądzicie, że udałoby się kiedykolwiek usunąć tę wielką klątwę, jaką jest knajpa? Dlaczego nie działamy wszyscy razem przeciwko temu handlowi? Coby Chrystus uczynił? Czyby milczał? Czyby głosował za udzielaniem koncesyi na te rozsadniki zbrodni i śmierci?

Henryk Maxwell mówił więcej do siebie, niżeli do obecnych. Przypominał sobie bowiem, że zawsze głosował za udzielaniem koncesyi, a to samo czynili wszyscy członkowie jego kościóła. Jakby Chrystus postąpił? Czy odpowiedziałby na to pytanie? Czy Chrystus kazałby i występował przeciwko knajpom, gdyby żył dzisiaj? Jakby kazał i postępował? Przypuśćmy, że nie byłoby rzeczą popularną głosować przeciwko koncesyom? Przypuśćmy, że chrześcijanie sądziliby, iż wszystko, co można uczynić, to popierać zło i w ten sposób pobierać dochód od nieuniknionego grzechu. Albo przypuśćmy, że członkowie kościoła byliby wposiadaniu kamienic, w których mieszczą się knajpy, co wtedy? Wiedział on, że tak właśnie działo się w Raymond. Jakby Chrystus postąpił?

Następnego dnia udał się do swego gabinetu, dawszy sobie na to pytanie tylko częściową odpowiedź. Myślał o sprawie cały dzień. Myślał o tem jeszcze a nawet dochodził do pewnych wniosków, kiedy The Evening News przyniesiono mu do rąk. Żona przyniosła mu gazetę i usiadła na chwilę, aby jej nieco poczytał.

The Evening News było chwilowo najbardziej senzacyjnem pismem w Raymond. To znaczy, że było redagowane w tak osobliwy sposób, iż jego prenumeratorowie nie byli jeszcze nigdy przedtem żadną

gazetą tak zainteresowani.

Po pierwsze, zauważyli nieobecność zapasów atletycznych, a następnie stopniowo zaczęło im świtać, że The News nie drukowało już więcej opisów różnych zbrodni z wszystkimi szczegółami, lub opisów skandali z życia prywatnego. Potem zauważyli, że ogłoszenia o napojach i tytoniu zostały zupełnie wypuszczone, razem z innemi ogłoszeniami bardzo podejrzanej jakości. Zaniechanie wydania niedzielnego, wywołało najżywsze komentarze, wreszcie treść artykułów wstępnych budziła największe zainteresowanie. Wyjątek z numeru poniedziałkowego pisma wykaże co Erward Norman czynił dla dotrzymania przyrzeczenia. Artykuł wstępny tak był zatytułowany: "Etyczna strona zagadnień politycznych."

Redaktor gazety The News popierał zawsze zasady wielkiej partyi politycznej, będącej obecnie u władzy i dlatego roztrząsał wszystkie zagadnienia polityczne ze stanowiska użyteczności lub przekonań stronnictwa, przeciw stawionego innym organizacyom. Odtąd, aby być zupełnie uczciwym względem swych wszystkich czytelników, redaktor będzie przedstawiał i roztrząsał zagadnienia polityczne ze stanowiska zła i dobra, innemi słowy, pierwszem pytaniem będzie nie: "czy to leży w interesie naszego stronnictwa?" albo: "czy to się zgadza z zasadami stronnictwa?", tylko pierwsze pytanie będzie brzmieć: "czy to lub owo jest w zgodzie z duchem i nauką Chrystusa, jako twórcy najwyższego kodeksu życiowego, znanego ludziom?"; to znaczy, aby być zupełnie jasnym, etyczna strona każdego zagadnienia politycznego będzie uważana za stronę najważniejszą, a redaktor zajmie nieodzownie stanowisko takie,

że narody zarówno jak i jednostki podlegają temu samemu przepisowi czynienia wszystkiego na chwałę Bożą.

Ta sama zasada będzie przestrzegana w biurze względem kandydatów na stanowiska, wymagające zaufania Reczypospolitej. Bez względu na politykę partyjną, redaktor pisma The News uczyni wszystko, co jest w jego mocy, aby najlepsi ludzie dostali się do władzy i nie będzie świadomie pomagał do otrzymania urzędu przez kandydata, który nie jest tego godnym, jakkolwiek stronnictwo postanowiłoby go popierać. Pierwszem pytaniem w odniesieniu do człowieka będzie tak samo jak i w odniesieniu do uchwał: "czy jest on właściwym na swoje stanowisko? czy jest dobrym człowiekiem i uzdolnionym?"

Było tam jeszcze więcej podobnych rzeczy; ale przytoczyliśmy dosyć, aby wykazać charakter artykułów wstępnych. Setki ludzi w Raymond czytało je i przecierano sobie oczy z podziwiu. Wielu z nich napisało natychmiast do redakcyi, żeby zaprzestała wydawania pisma. Pismo atoli wychodziło pomimo to i było chciwie przez wszystkich czytane. Przy końcu tygodnia Edward Norman wiedział bardzo dobrze, że faktycznie stracił wielką ilość cennych prenumeratów. Zachowywał się wobec tego spokojnie, jakkolwiek Clark, redaktor kierujący, uporczywie przepowiadał ostateczne bankructwo, zwłaszcza od poniedziałkowego artykułu wstępnego.

Henryk Maxwell, czytając swej żonie gazetę, widział na każdej niemal szpalcie dowody sumiennego wykonywania ślubu ze strony Normana. Usunięto senzacyjne, żargonem pisane nagłówki. Treść artykułu odpowiadała ściśle jakości tytułów. W dwóch

szpaltach zauważył, że nazwiska reporterów zostały pod pismem umieszczone, wskutek czego zaszła wyraźna zmiana na lepsze w godności i stylu ich artykułów.

—Tak więc Norman zaczyna dopuszczać reporterów do podpisywania swych prac. Rozmawiał ze mną o tem. Dobra to rzecz, ponieważ odpowiedzialność za pracę podnosi jej wartość. Dobra to rzecz zarówno dla publiczności, jak i dla piszących.

Henryk Maxwell zamilkł nagle. Żona podniosła głowę od jakiejś pracy, którą była zajęta. Mąż czytał coś z najwyższem zajęciem.

—Posłuchaj tego, Maryo—rzekł po chwili z drżeniem w głosie.

Aleksander Powers, superintendent warsztatów kolejowych, wręczył dziś rano swą rezygnacyę z zajmowanej posady, a za przyczynę podał fakt, że w ręce jego wpadł pewny dowód pogwałcenia między stanowych Praw Handlowych, jakoteż i prawa stanowego, świeżo uchwalonego, w celu zapobieżenia, oraz karania kombinacyi kolejowych na korzyść pewnych uprzywilejowanych klientów. Mr. Powers powiada w swej rezyknacyi, że nie może dłużej ukrzyżać informacyi przeciwko zarządowi kolei, które posiada. Złożył on dowody przeciwko kompanii w ręce komisyi, która ma się obecnie zająć sprawą.

The News życzy sobie wypowiedzieć swoje zdanie o tym postępku p. Powers. Przedewszystkiem nie może on na tem nic skorzystać. Utracił dobrowolnie bardzo dobrą posadę, podczas gdy siedząc cicho mógł ją zatrzymać. Powtóre, sądzimy, że postępek ten powinien spotkać się z uznaniem wszystkich myślących i uczciwych obywateli, którzy pragną, aby prawo by-

ło wykonywane a przekraczający go karaniu w wypadku takim, jak ten, gdzie się uważa, iż zyskanie dowodu przeciwko kompanii kolejowej jest wprost niemożliwe. Panuje ogólne przekonanie, że urzędnicy częstokroć znają odnośne fakty, lecz wcale nie uważają za swój obowiązek uwiadomić władze o łamaniu czy obchodzeniu prawa. Rezultatem unikania odpowiedzialności ze strony tych, którzy są odpowiedzialnymi, jest demoralizacya każdego młodego człowieka, zostającego w służbie kolejowej. Redaktor pisma The News przypomina powiedzenie, wygłoszone przez pewnego wysokiego urzędnika kolejowego w naszem mieście, że niemal każdy urzędnik w pewnym dziale kolejowym, któryby rozumiał, jak ogromne sumy pieniężne zyskuje się przez sprytne obchodzenie między stanowego Prawa Handlowego, byłby gotów podziwiać spryt, z jakim się to robi i oświadczył, że każdy uczyniłby to samo, gdyby tylko zajmował odpowiednio wysokie stanowisko.

Nie potrzebujemy mówić, że taki stan rzeczy jest zabójczy dla wszystkich szlachetniejszych i wyższych zasad postępowania i żaden młody człowiek nie może żyć w takiej atmosferze niekaranej nieuczciwości i bezprawia bez uszczerbku dla swego charakteru.

Naszem zdaniem, Mr. Powers uczynił jedyną rzecz, jaką mógł uczynić chrześcijanin. Oddał on dzielną i doskonałą przysługę państwu i ogółowi publiczności. Nie zawsze jest łatwo określić stosunek, istniejący pomiędzy pojedyńczym obywatelem a jego ustalonym obowiązkiem publicznym. W tym wypadku nie mamy żadnej wątpliwości, że krok, jaki Mr. Powers postawi, zyska pochwałę każdego, kto wierzy w prawo i jego wykonywanie. Są chwile, w

których osobnik musi działać dla ludu, w sposób, oznaczający stratę i poświęcenie bardzo poważnej natury. P. Powers będzie źle zrozumiany i źle tłumaczony; ale nie ulega wątpliwości, że postępek jego zyska uznanie każdego obywatela, który pragnie, aby największe korporacye zarówno jak i najwystępniejsze jednostki podlegały tym samym prawom. Mr. Powers postąpił sobie jak lojalny i patryotyczny obywatel. Obecnie komisya powinna zużytkować dostarczone przez niego dowody, które, o ile wiemy, wykazują bezprawie ze strony kolei. Niech się stanie sprawiedliwość, bez względu na stanowisko przestępców.

Henryk Maxwell skończył i wypuścił gazetę z ręki.

—Muszę pójść do Powersa. To jest skutek jego ślubu.

Wstał a kiedy miał już wyjść żona rzekła:

—Czy sądzisz, Henryku, że i Chrystus byłby tak samo postąpił?

Henryk Maxwell myślał przez chwilę, potem odparł zwolna:

—Tak, zdaje mi się, że postąpiłby tak. W każdym razie Powers rozstrzygnął w ten sposób, a każdy z nas, co uczynił ślub, nie rozstrzyga zachowania się Chrystusa dla kogokolwiek innego, jak tylko dla siebie samego.

—A cóż będzie z jego rodziną? Jakże Mr. Powers i Celia zniosą ten krok?

—Z trudem, to nie ulega wątpliwości. To właśnie stanowi dla niego krzyż w tej sprawie. One nie zrozumieją jego pobudki.

Henryk Maxwell wyszedł i udał się do mieszka-

nia superintendenta. Powers wyszedł na jego spotkanie.

Obaj znajomi uścisnęli się za ręce w milczeniu. W jednej chwili zrozumieli się nie mówiąc ani słowa. Nigdy jeszcze nie było takiego zjednoczenia się pomiędzy duchownym a członkiem jego parafii.

—Cóż pan teraz zamierzasz uczynić? — spytał Henryk Maxwell po wzajemnem omówieniu całej sprawy.

—Masz pan na myśli inne stanowisko? Nie mam jeszcze żadnego planu. Mogę wrócić do swego dawnego zajęcia telegrafisty. Rodzina moja ucierpi jedynie w pojęciu towarzyskiem.

Aleksander Powers mówił spokojnie, choć smutno. Henryk Maxwell nie potrzebował się pytać o uczucia jego żony i córki. Wiedział, że superintendent z tego powodu cierpiał najmocniej.

—Życzę sobie—rzekł Powers po chwili — abyś pan dojrzał jednej sprawy, to jest pracy w warsztatach zaczętej. O ile wiem, kompania wcale się nie sprzeciwi dalszemu prowadzeniu rzeczy. Jedną ze sprzeczności kompanii kolejowych jest fakt, że z jednej strony popierają różne przedsięwzięcia chrześcijańskie, z drugiej zaś dopuszczają się w swej pracy biurowej najbardziej niechrześcijańskiego gwałcenia prawa. Rozumie się oczywiście, że kompaniom opłacają się urzędnicy wstrzemięźliwi, uczciwi i po chrześcijańsku żyjący. Nie wątpię więc, że główny mechanik dozna w sprawie używania owej izby tej samej i co i ja uprzejmości. To też proszę pana o jedno, panie Maxwell, to jest o przypilnowanie wykonania rzeczy. Zrobisz pan to? Ogólnie pojąłeś pan moją myśl. Uczyniłeś pan na ludzi bardzo dobre

wrażenie. Odwiedzaj ich pan, jak możesz najczęściej. Zachęć Miltona Wrighta, aby umeblował izbę i urządził kuchnię do gotowania kawy, jakoteż stoły, na których mogliby czytać. Cóż, zrobisz pan to?

—Oczywiście — odparł Henryk Maxwell, który przedłużył nieco swą wizytę. Zanim atoli wyszedł, pomodlił się razem z superintendentem, poczem rozstali się z cichym uściskiem dłoni który wydawał się im nowym znakiem ich chrześcijańskiego uczennictwa.

Proboszcz Pierwszego kościoła wrócił do domu głęboko wstrząśnięty wypadkami ubiegłego tygodnia. Powoli stawało się dla niego rzeczą jasną, że ślub postępowania na wzór Chrystusa, wywoływał rewolucyę nietylko w jego parafii, ale i w mieście. Każdy dzień dodawał coś do poważnego przestrzegania ślubu. Henryk Maxwell nie mógł dojrzeć końca ruchu. Znajdował się on teraz faktycznie w początku wypadków, przeznaczonych zmienić historyą setek rodzin nietylko w Raymond, ale i całym kraju. Kiedy myślał o Edwardzie Normanie, Racheli i p. Powers, jakoteż o wynikach, jakie czyny ich już osiągnęły, nie mógł opanować uczucia głębokiej ciekawości co do efektu, jakiby wywołało wierne wytrwanie przy ślubie ze strony tych wszystkich członków Pierwszego kościoła, którzy ślub wykonali. Czy wszyscy zechcą obstawać przy nim, lub czy niektórzy zawrócą z drogi, gdyby krzyż okazał się za ciężkim?

Stawiał on te same pytania następnego dnia rano, gdy prezydent Towarzystwa chrześcijańskiego zjawił się w jego gabinecie.

—Przypuszczam, że nie powinienem trudzić pana swoją sprawą—rzekł młody Morris, przystępując

odrazu do celu swego przybycia—ale sądziłem, panie Maxwell, że zachcesz mi pan udzielić maleńkiej rady.

—Cieszy mnie, żeś przyszedł. Mów dalej, Fredziu.

Henryk Maxwell znał młodego człowieka od samego początku swego probostwa, kochał go i szanował za jego stałą, wierną służbę kościelną.

—Otóż sprawa tak się ma, że nie mam zajęcia. Wiadomo panu, że pełniłem obowiązki reportera przy Sentinelu przez cały ostatni rok. Zeszłej soboty Mr. Burr polecił mi udać się koleją w niedzielę rano i zebrać szczegóły, odnoszące się do owego rozboju kolejowego w Junction i napisać rzecz dla specyalnego wydania, mającego wyjść w poniedziałek rano dla ubieżenia The News. Odmówiłem wyjazdu, wskutek czego straciłem miejsce. Był w złym humorze, inaczej bowiem nie byłby tego może uczynił.—Przedtem traktował mnie zawsze bardzo dobrze. Nie sądzisz pan, że Chrystus byłby postąpił tak samo, jak ja? Pytam się, ponieważ inni mi mówią, że byłem głupcem, nie chcąc wykonać pracy. Chcę wiedzieć, że chrześcijanin działa z pobudek, które mogą się wydawać innym czasami dziwne, ale nie głupie. Co pan o tem myśli?

—Mojem zdaniem, dotrzymałeś tylko swego ślubu, Fredziu. Nie wierzę żeby Chrystus zajmował się w niedzielę robotą dziennikarską, jak to tobie polecono robić.

—Dziękuję panu. Rzecz niepokoiła mnie trochę, ale czem dłużej się nad nią zastanawiam, tem lepiej o sobie myślę.

Morris wstał, aby wyjść, lecz Henryk Maxwell położył miłośnie swą dłoń na ramiona młodego człowieka.

—Cóż tedy masz zamiar robić, Fredziu?

—Nie wiem. Myślałem udać się do Chicago, albo jakiegoś innego wielkiego miasta.

—Czemuż nie próbujesz udać się do The News?

—Nie potrzebują nikogo. Nie myślałem nawet udawać się tam.

Henryk Maxwell pomyślał chwilkę.

—Chodź ze mną do redakcyi The News i pogadaj z Normanem.

W kilka chwil później Norman przyjął u siebie proboszcza i młodego Morrisa, a Henryk Maxwell objaśnił pokrótce cel ich przyjścia.

—Mogę dać panu miejsce u siebie — rzekł Edward Norman z uśmiechem, łagodzącym jego ostre spojrzenie. — Potrzebuję właśnie reporterów, którzyby nie pracowali w niedzielę. A co więcej planuję specyalny rodzaj reporterki, który właśnie młody Morris może wykonywać, ponieważ sympatyzuje z tem, coby Chrystus uczynił.

Przeznaczył Morrisowi specyalne zadanie, a Henryk Maxwell powrócił do swego gabinetu z uczuciem tego rodzaju zadowolenia (a jestto rodzaj bardzo szlachetny), jakiego człowiek doznaje, kiedy bodaj w części przyczynił się do znalczienia zajęcia człowiekowi pracy pozbawionemu.

Zamierzał wracać do swego gabinetu, ale w drodze do domu minął jeden ze sklepów Miltona Wrighta. Przyszło mu na myśl zajść i pogadać ze swym parafianinem, oraz życzyć mu powodzenia w jego usiłowaniu wprowadzenia Chrystusa do swego interesu. Ale kiedy wszedł do biura, Milton Wright prosił go usilnie, aby zatrzymał się dla omówienia niektórych jego planów. Henryk Maxwell pytał samego siebie, czy był to ten sam Milton Wright, którego

znał poprzednio, tak wybitnie praktyczny według zwyczajnego kodeksu świata handlowego, traktujący rzecz przedewszystkiem ze stanowiska zysku.

—Niema po co ukrywać faktu, panie Maxwell, że zostałem zniewolony do zrewolucyonizowania całej metody mego interesu od chwili uczynienia ślubu. W ciągu ostatnich dwudziestu lat robiłem w tym handlu wiele rzeczy takich, jakichby Chrystus napewne nie robił. Ale to bagatela w porównaniu z tem, co mojem zdaniem Chrystus byłby czynił. Moje grzechy działania w stosunkach handlowych nie były tak liczne, jak grzechy zaniedbania.

—Jakąż pan pierwszą zmianę zaprowadził—spytał Henryk Maxwell.

Zdawało mu się, że kazanie może na niego czekać w gabinecie jego. W miarę przeciągania się rozmowy z Miltonem Wright przychodził do przeświadczenia, że znalazł wyborny temat do kazania bez wracania się do gabinetu.

—Pierwsza zmiana, jaką musiałem zaprowadzić, odnosiła się do troski o moich współpracowników. W poniedziałek rano po owej pamiętnej niedzieli, przyszedłem tutaj i zapytałem sam siebie, coby Chrystus uczynił w stosunku do tych subjektów, buchalterów, chłopców sklepowych, woźniców i sprzedających? Czy nie starałby się zaprowadzić pewnego osobistego stosunku z nimi, innego niż ten, w jakim pozostawałem do nich od lat? Natychmiast dałem sobie twierdzącą odpowiedź. W dalszym ciągu wyłoniło się pytanie, co mi należy uczynić. Nie widziałem możności zadowalającej odpowiedzi bez zgromadzenia mej całej służby i omówienia z nią sprawy. Rozesłałem więc do nich wszystkich zaproszenia, wskutek czego odby-

liśmy we wtorek wieczorem mityng w składach.

—Wiele dobrych rzeczy wyniknęło z tego mityngu. Nie mogę mówić o wszystkich. Starałem się mówić z niemi tak, jakby mojem zdaniem Chrystus był przemówił. Była to ciężka praca, ponieważ nie miałem tego zwyczaju i popełniałem błędy. Ale nie uwierzysz, panie Maxwell, jaki był wpływ tego mityngu na niektórych z nich. Zanim zebranie się skończyło widziałem u kilku przynajmniej łzy w oczach. Nieustannie pytałem, jakby Chrystus postąpił? a im więcej tak się pytałem, tem bardziej zapuszczałem się w blizkie przyjacielskie stosunki z ludźmi, którzy dla mnie przez te wszystkie lata pracowali. Co do mnie wyłania się coś nowego, tak, że jestem teraz właśnie po uszy w rekonstrukcyi całego interesu, o tyle o ile się to odnosi do zasady jego prowadzenia. Jestem tak całkowicie nieświadom wszystkich planów kooperacyi, oraz jej zastosowania do handlu, że usiłuję zaczerpnąć wiadomości z wszelkich możliwych źródeł. W ostatnich czasach przestudyowałem życie Tytusa Salta, wielkiego właściciela młynów w Bradford w Anglii, który zbudował wzorowe miasto nad brzegami rzeki Aire. W planach jego mieści się wiele rzeczy, które udzielą mi pomocy. Ale nie osiągnąłem jeszcze ostatecznych wniosków, odnośnie do wszystkich szczegółów. Nie jestem dostatecznie przyzwyczajony do metod Chrystusa. Ale patrz pan tu.

Milton chciwie sięgnął ręką do jednej z przegródek biurka i wyjął jakiś papier.

—Nakreśliłem coś, co mi się zdaje byłoby programem, według którego Chrystus prowadziłby taki, jak mój interes. Powiedz mi pan swoje zdanie o tem.

Jakby Chrystus prawdopodobnie postępował, bę-

dąc na miejscu Miltona Wrighta, jako właściciela handlu.

1) Zajmowałby się handlem w celu wielbienia Boga, a nie dla robienia głównie pieniędzy.

2) Wszystkie zarobiene pieniędze nie uważałby nigdy za swoje własne, lecz jako powierzone mu środki, aby użył ich dla dobra ludzkości.

3) Stosunki Jego ze wszystkimi, zajętymi u Niego, byłyby nacechowane miłością i życzliwością. Nie mógłby o nich myśleć inaczej tylko jak o duszach, które należy zbawić. Ta myśl przeważałaby zawsze nad myślą zrobienia pieniędzy.

4) Nie popełniłby ani jednej nieuczciwej lub wątpliwej rzeczy i nie starałby się w najlżejszy sposób wyzyskać kogokolwiek w tym samym interesie.

5) Zasada niesamolubstwa i pomagania innnym kierowałaby wszystkimi szczegółami interesu.

6) Na tej zasadzie oparłby cały plan swego stosunku do swej służby, do swych klientów i do całego świata handlowego, z którym byłby w stosunku.

Henryk Maxwell przeczytał to zwolna. Przypomniało mu to jego własne usiłowanie z dnia poprzedniego, usiłowanie nadania konkretnej formy swej myśli o prawdopodobnem postępowaniu Chrystusa. Zamyślił się mocno, podniósłszy zaś głowę ujrzał badawcze spojrzenie Miltona Wrighta.

—Sądzisz pan, że na tych zasadach prowadzony interes będzie się opłacał?

—Tak. Roztropne niesamolubstwo powinno być rozumniejsze od roztropnego samolubstwa, czyż nie tak? Jeżeli ludzie, pracujący w interesie, zaczną odczuwać osobisty udział w zyskach interesu, a co więcej, osobistą względem nich przychylność ze strony

firmy, to czyż rezultatem nie będzie więcej staranności a mniej trwonienia, więcej pilności, więcej rzetelności?

—Tak i ja sądzę. Ale wielu innych kupców nie myśli tak, czyż nie prawda? Biorę rzecz na ogół. A jakże mają się ułożyć pańskie stosunki z egoistycznym światem, który usiłuje robić pieniądze w niechrześcijański sposób.

—To oczywiście komplikuje moją działalność.

—Czy plan pański obejmuje to, co zaczyna być znane pod nazwą kooperacyi.

—Jak dotąd, to tak. Jak panu powiedziałem, badam szczegóły starannie. Jestem stanowczo przeświadczony, że Chrystus byłby na mojem stanowisku bezwarunkowo niesamolubnym. Kochałby On wszystkich swoich pracowników. Za główny cel wszelkiego interesu uważałby wzajemną pomocność i prowadziłby wszystko tak, że wyraźnie pierwszem dążeniem byłoby królestwo Boże. Na tych głównych zasadach oparłem swą obecną pracę. Muszę mieć czas dla wykonania szczegółów.

Gdy Henryk Maxwell pożegnał w końcu Miltona Wrighta, czuł się mocno wzruszony przewrotem, jaki dokonał się już w całym interesie. Wychodząc z handlu, chwycił okiem nieco nowego ducha ożywczego, nie ulegało wątpliwości, że nowy stosunek Miltona Wrighta do współpracowników, zaczął już po niecałych dwóch tygodniach przekształcać cały interes. Było to widoczne w zachowaniu się i twarzach subjektów.

—Jeżeli Milton Wright wytrwa, stanie się jednym z najwpływowszych kaznodziei w Raymondzie— zauważył Henryk Maxwell, wchodząc do swego gabi-

netu. Pytanie jeno zachodziło, czy wytrwa w tym kierunku, gdy zacznie tracić pieniądze, co było rzeczą bardzo możliwą.

Henryk Maxwell modlił się żeby Duch św., który objawił się z coraz większą siłą wśród członków Pierwszego kościoła, przebywał z nimi jak najdłużej. Z tą modlitwą na ustach i w sercu zaczął przygotowanie dla kazania, w którem zamierzał przedstawić swemu ludowi w niedzielę sprawę knajp w Raymondzie, co według niego i Chrystus takżeby uczynił. W ten sposób nigdy jeszcze do tej pory przeciwko knajpom nie występował. Wiedział, że to co powie poprowadzi do poważnych wyników. Mimo to, kontynuował swą pracę, a każde zdanie napisane, poprzedzał pytaniem, czy Chrystus takby powiedział? Raz w ciągu swego studyum upadł na kolana. Nikt oprócz niego samego nie mógł wiedzieć, ile to znaczyło dla niego. Kiedyż on to czynił podczas przygotowywania swych kazań przed zmianą zapatrywań na uczennictwo? Patrząc na swą czynność obecnie, nie śmiał wygłosić kazania bez poproszenia o mądrość. Nie myślał już więcej o dramatycznem wygłoszeniu i o wrażeniu na audytoryum. Jedyna rzecz, która go obchodziła, to było pytanie: Jakby Chrystus postąpił?

Wieczór sobotni był świadkiem jednej z najosobliwszych scen, jakie Mr. Gray i jego żona kiedykolwiek widzieli. Mityngi robiły się coraz liczniejsze wskutek śpiewu Racheli. Obcy, przechodzący przez czworobok w porze dziennej, mógł się był dosyć nasłuchać o mityngach na różne sposoby. Nie można powiedzieć, żeby aż do tej soboty zauważano zmniejszenie się klątw, nieczystości i ciężkiego opilstwa. Czworobok nie chciał uznać, że staje się lepszym, lub

że śpiew zmiękczył jego konwersacyę lub jego maniery. Posiadał on za wiele miejscowej dumy na punkcie swej ordynarności. Ale mimo to zaczynał ulegać władzy, której nie oceniał należycie i nie zdołał oprzeć się jej z góry.

Gray odzyskał swój głos, tak że w sobotę mógł już sam mówić. Fakt, że zmuszony był używać swego głosu uważnie, zniewalało słuchaczy do spokojnego zachowania się, jeżeli wogóle słyszeć chcieli. Stopniowo przychodzili do zrozumienia, że człowiek ten mówił już przez tyle tygodni, używając swego czasu i zdrowia w celu udzielenia im wiadomości o Zbawicielu, a to z całkiem nieegotstycznej względem nich miłości. Tego wieczora liczny tłum tak był spokojny, jak dobrze wychowane audytoryum Henryka Maxwella. Obramowanie poza namiotem było szersze, a knajpy były niemal próżne. Duch św. przybył nareszcie, a Gray czuł, że jedna z gorących modlitw jego życia miała być wysłuchana.

A Rachela? Jej śpiew był najlepszym, najcudniejszym, jaki Virginia i Jasper Chase kiedykolwiek słyszeli. Przybyli tym razem znowu z Dr. Westem, który zużywał swój cały wolny czas tego tygodnia w czworoboku w sprawach dobroczynnych. Virginia siedziała przy organie, Jasper siedział na przedzie, spoglądając na Rachelę, a czworobok nachylał się jak jeden mąż ku estradzie w chwili, gdy śpiewała:

Tak jak jestem, bez żadnej obrony,
Prócz Twej krwi dla mnie, przelanej,
Prócz Twego wezwania, abym przybyła,
Idę o Baranku Boży.

Jerzy nie mówił prawie ani słowa. Wyciągnął

jeno rękę ruchem zapraszającym. Wzdłuż dwóch przejść w namiocie, złamane, grzeszne istoty, mężczyzni i kobiety, kroczyły ku platformie. Jedna kobieta z ulicy znalazła się blizko organu. Virginia zauważyła jej twarz i po raz pierwszy w życiu bogatej dziewczyny, myśl o tem, czem Chrystus był dla grzesznej niewiasty, błysnęła z chyżością i siłą, działającemi jakby odrodzenie się. Virginia opuściła organ, podeszła do niej, spojrzała jej w twarz i ujęła ją za ręce.

Dziewczyna zadrżała, potem upadła na kolana, łkając i tuląc się do Virginii, sparła głowę na tył stojącej przed nią ławki. Virginia po chwili wahania uklękła tuż obok niej, tak że obie głowy pochyliły się razem.

Ale kiedy ludzie ustawili się w podwójnym szeregu naokoło wzniesienia, większość klęcząc i płacząc, jakiś mężczyzna we fraku, tak różny od innych, przemknął się przez ławki i ukląkł tuż obok jakiegoś pijanego mężczyzny, który niepokoił mityng podczas przemówienia Henryka Maxwella. Klęczał on zaledwie o kilka stóp od Racheli Winslow, która ciągle jeszcze śpiewała z uczuciem. A gdy odwróciła się na chwilę w jego stronę, ujrzała ze zdumieniem twarz Rollina Page! Na chwilę głos jej zadrżał. Potem ciągnęła dalej:

Jaką jestem, taką mnie przyjmiesz,
Powitasz, wybaczysz, oczyścisz, ocalisz,
Ponieważ wierzę w Twą obietnicę,
O Baranku Boży, przybywam.

Głos brzmiał jakby głos Boskiego pożądania, a czworobok w tejże chwili został objęty przez łaskę zbawienia.

ROZDZIAŁ V.

Ktokolwiek Mi służy, niech wstępuje w Moje ślady.

Służba Boża w czworoboku ukończyła się ledwie około północy. Gray pozostał długo aż do niedzieli rano, modląc się i rozprawiając z nieliczną grupą nawróconych, którzy rozpoczynając to nowe życie, garnęli się do misyonarza, powodowani osobistą bezradnością, która nie pozwalała mu wprost pozostawić ich samych, jakby miał uchronić ich od śmierci cielesnej. Wśród tych nawróconych znajdował się i Rollin Page.

Virginia udała się do domu z wujem o godzinie jedenastej, a Rachela i Jasper Chase towarzyszyli im aż do Avenue, przy którem mieszkała Virginia. Dr. West podszedł z nimi kawałek drogi aż do własnego domu, poczem Rachela i Jasper szli dalej sami aż do jej mieszkania.

Było już nieco po jedenastej. Teraz zaś biła właśnie dwunastu, a Jasper Chase siedział w swym pokoju, wpatrzony w papiery na swem biurku i pracując przez ostatnie pół godziny z bolesnym wysiłkiem.

Powiedział Racheli Winslow o swej dla niej miłości, lecz ona nie dała mu wzamian swojej miłości.

Było trudno wiedzieć co było najsilniejszego w impulsie, który go zniewolił do wyznania jej tego wieczora. Uległ swemu uczuciu bez żadnej specyalnej myśli o możliwym dla siebie wyniku, ponieważ był

pewny że Rachela odpowie sympatycznie na jego uczucia miłości. Teraz usiłował przypomnieć sobie wrażenie, jakie uczyniła na niego gdy ją poznał po raz pierwszy.

Piękność jej i jej siła nie wywarły na niego nigdy takiego wpływu, jak tego wieczora właśnie. Kiedy ona śpiewała, to nie widział i nie słyszał nikogo innego. Namiot roił się zmieszaną masą twarzy i wiedział on dobrze iż siedzi tam otoczony tłumem ludzi; ale nie miał on dla niego znaczenia. Czuł, że nie potrafi nie przemówić do niej, to też był pewien, że odezwie się do niej, gdy się wreszcie znajdą sami.

Teraz po przemówieniu do niej czuł, że przeliczył się czy to na Racheli czy też na sposobności. Wiedział, lub tak mu się zdawało, że zaczęła dbać nieco o niego. Nie było wcale sekretem pomiędzy nimi że heroina pierwszej noweli Jaspera, to był jego własny ideał Racheli i że bohaterem opowiadania był on sam, że kochał ją w książce a ona nic nie miała przeciwko temu. Nikt inny nie wiedział o tem. Nazwisko i osoby zostały nakreślone z subtelną zręcznością, która odkryła przed Rachelą miłość Jaspera dla niej, a jednak wcale jej to nie dotknęło. Było to prawie rok temu.

Tego wieczora, Jasper Chase przypomniał sobie scenę jaka zaszła pomiędzy nimi, a to ze wszystkimi szczegółami. Przypomniał sobie nawet fakt, że zaczął mówić właśnie na tym punkcie Avenue gdzie kilka dni przedtem spotkał Rachelę, idącą z Rollinem Page. Rozmyślał wtedy nad tem, co Rollin mógł mówić.

—Rachelo—rzekł Jasper, a wtedy po raz pierwszy nazwał ją po imieniu—nigdy do tej pory nie czułem,

jak bardzo cię kocham. I po cóż miałbym ukrywać dłużej to, co sama u mnie widzisz? Wiesz, że cię kocham jak życie samo. Nie mogę ukrywać tego dłużej przed tobą, nawet gdybym chciał.

Pierwszą wskazówką odmowy było zadrganie ramienia Racheli, wspartej na jego ramieniu. Pozwoliła mu mówić i nie zwróciła swej twarzy ani ku niemu, ani od niego. Patrzyła prosto przed siebie a głos jej był smutny, lecz pewny i spokojny.

Dlaczego mówisz pan do mnie teraz? Nie mogę tego znieść—potem, cośmy widzieli dzisiejszego wieczoru.

—Dlaczego... co... co...—wybąkał i zamilkł.

Rachela usunęła ramię, idąc dalej obok niego.

Wtedy on zawołał z bólem człowieka, który widzi, że wielka strata czeka go tam, gdzie spodziewał się wielkiej radości.

—Rachelo! Ty nie kochasz mnie? Czyż miłość moja nie jest dla ciebie tak święta jak samo życie?

Ona szła jeszcze kilka kroków w milczeniu. Minęli latarnię uliczną. Twarz jej była blada i piękna. Uczynił ruch dla pochwycenia jej ramienia. Ona odsunęła się nieco od niego.

—Nie—odparła.—Był kiedyś czas, za to nie mogę odpowiadać—nie powinieneś pan był mówić do mnie dzisiejszego wieczoru właśnie.

Widział on w tych słowach odpowiedź dla siebie. Był on nadzwyczaj wrażliwy. Nic słabszego od radosnej odpowiedzi na jego własną miłość nie byłoby go zadowolniło. Nie mógł nawet wyśleć o uproszeniu jej

—Z czasem, gdy się okażę godnym?—spytał przy-

ciszonym głosem; ale ona nie zdawała się słyszeć tego, to też rozstali się przed jej domem, on zaś przypomniał sobie żywo fakt, że nie życzyli sobie nawzajem dobrej nocy.

Teraz zaś, gdy przebiegał myślą tę krótką lecz wiele znaczącą scenę, ganił się za swój niedorzeczny pośpiech. Nie liczył się z napiętem, namiętnem utonięciem uczucia Racheli w scenach namiotowych, tak nowych dla jej umysłu. Ale nie znał jej dostatecznie dobrze, nawet i teraz, aby zrozumieć znaczenie jej odmowy. Gdy zegar na wieży Pierwszego kościoła uderzył pierwszą, on jeszcze siedział przy swem biurku wpatrzony w ostatnią stronicę rękopisu swej nieskończonej powieści.

Rachela Winslow udała się na górę do swego pokoju z bardzo sprzecznemi uczuciami. Czy istotnie kochała kiedykolwiek Jaspera Chase'a? Tak. Nie. Jednej chwili czuła, że szczęście jej życia było na szwank wystawione wskutek jej postępku. To znowu czuła ulgę na myśl, że powiedziała tak, jak powiedziała. Istotę jej opanowało jedno przemożne uczucie. Wrażliwość nieszczęsnych istot w namiocie na jej śpiew, oraz obecność Ducha św., podziałały na nią, jak nigdy przedtem w całem jej życiu. W chwili, gdy Jasper wymówił jej imię i zrozumiała, że zaczyna jej mówić o swej miłości, poczuła nagłą reakcyę przeciwko niemu za to, że nie uszanował nadprzyrodzonych wypadków, których oboje tak niedawno byli świadkami.

Doznawała uczucia, że teraz nie czas zajmować się czemkolwiekbądź innem, niżeli temi nawracaniami się grzeszników. Myśl, że pod wpływem śpiewu, którym chciała wstrząsnąć sumienia występnych uczestników zebrań namiotowych, Jasper Chase pokochał

ją miłością indywidualną, wstrząsnęła nią jako objaw braku nastroju tak z jego i z jej strony. Nie mogła powiedzieć, dlaczego doznawała takiego wrażenia, wiedziała tylko, że gdyby jej nie był tego powiedział tegoż wieczora, to byłaby nie zmieniła względem niego swego dawnego uczucia. Czemże było to uczucie? Czemże on był dla niej? Czy może ona popełniła błąd tym razem? Podeszła do szafy z książkami i wyjęła ofiarowaną sobie przez Jaspera powieść. Twarz jej oblał głęboki rumieniec, gdy rzuciła okiem na pewne ustępy które często czytała ze świadomością, że Jasper napisał je dla niej. Odczytała je znowu, ale nie doznała jakoś dość silnego wrażenia. Zamknęła książkę i położyła na stole. Stopniowo poczuła że myśl jej zajęta jest wyłącznie wspomnieniem scen w namiocie widzianych. Te twarze, męskie i kobiecie wzruszone po raz pierwszy chwałą Ducha! Jakaż to cudowna rzecz to życie! Zupełne odrodzenie objawiające się w pijanych, nikczemnych, rozpustnych ludziach, klękających w celu oddania się życiu czystemu i chrześcijańskiemu. Oh, zaiste był to czysty dowód nadziemskiego pierwiastku w świecie! A osoba Rollina Page obok tych nędznych wyrzutków rynsztokowych—tak go sobie żywo przypominała, jakby właśnie patrzyła na niego i na Virginię, obejmującą ze łzami brata przed opuszczeniem namiotu i na Greena klęczącego tuż obok i na ową dziewczynę, którą Virginia objęła, szepcząc jej coś do ucha. Wszystkie te obrazy nakreślone przez Ducha św. w ludzkich tragedyach do najwyższego przesilenia doprowadzonych w tym najbardziej zapadłym kącie w Raymond, wyłoniły się obecnie w pamięci Racheli tak świeżej, że cały jej pokój zdawał się być pełen aktorów i niezwykłego ruchu.

—Nie! nie!—zawołała głośno.—Nie miał prawa mówić mi o swem uczuciu po tem wszystkiem! Powinien był uszanować miejsce, w którem powinny się były znaleźć nasze myśli; jestem pewna, że go nie kocham! Przynajmniej nie tyle, aby mu oddać swoje życie!

Gdy sobie to powiedziała, myśl jej zajęła się znowu upłynionym wieczorem niezdolna oddać się czemu innemu. Najbardziej bodaj uderzającym dowodem faktu, że potężny czynnik duchowny owładnął czworobokiem, było to, iż Rachela nawet wobec wielkiej miłości dzielnego mężczyzny czuła, że ten objaw ducha porusza nią więcej, niż uczucie Jaspera dla niej, lub jej uczucie dla niego.

Mieszkańcy Raymondu zbudzili się w niedzielę rano rosnącą świadomością faktów, zaczynających rewolucyonizować wiele codziennych, utartych zwyczajów miejskich. Postępek Aleksandra Powersa w sprawie oszustw kolejowych wywołał sensacyę nietylko w Raymond, ale w całym kraju. Codzienne zmiany, jakie Edward Norman zaprowadził w redagowaniu swego pisma, ocuciły całą gminę, wywołując więcej komentarzy, niż jakiekolwiek świeże wypadki polityczne. Śpiew Racheli Winslow na mityngach czworoboku narobił zamętu w towarzystwie i wywołał zdumienie wszystkich jej przyjaciół. Zachowanie się Virginii Page, jej towarzyszenia Racheli co wieczór, jej usunięcie się z koła bogatych, konwencyonalnych znajomości, dostarczyło mnóstwo tematu do plotek i rozpraw. W dodatku do tych wszystkich wypadków, grupujących się około tak dobrze znanych osób, wydarzały się w całem mieście we wszystkich rodzinach, w kołach handlowych i towarzyskich, dziwne rzeczy. Niemal

setka ludzi w kościele Henryka Maxwella ślubowała czynić wszystko po odpowiedzeniu sobie na pytanie: Jakby Chrystus postąpił? czego wynikiem były w wielu wypadkach niesłychane przedtem postępki. Miasto było wzburzone jak nigdy przedtem. Szczytem wypadków ubiegłego tygodnia była duchowna manifestacya w czworoboku i wiadomość, która doszła do uszu większości przed udaniem się do kościołów, wiadomość o istotnem nawróceniu się w namiocie pięćdziesięciu blizko najgorszych osobników w tej okolicy, razem z nawróceniem się Rollina Page, dobrze znanego klubowca i towarzysza.

Nic więc dziwnego, że pod naciskiem tego wszystkiego, Pierwszy kościół w Raymond przybył na ranną służbę Bożą w stanie wrażliwości na każdą wielką prawdę.

Nic bodaj nie wprawiło ludzi w większe zdumienie, niż ogromna zmiana, jaka zaszła w duchownym, od czasu, jak zaproponował swym parafianom naśladowanie Chrystusa. Teatralne wygłaszanie kazań nie wywierało na nich już więcej wpływu. Lekka postawa, zdradzająca zadowolenie z siebie i ze świata, jakoteż twarz delikatna, spoglądająca z pulpitu, zostały zastąpione czemś, co nie przypominało wcale dawnych kazań, które nie były już wygłaszane, ale zato stały się natchione, ksiądz wypowiadał je z miłością, powagą, uczuciem, pragnieniem i pokorą, co wszystko składało się na entuzyazm mowcy, który posiadał tyle tylko znaczenia o ile był żywym głosem Boga. Modlitwy jego były zupełnie odmienne od tych, jakie parafianie poprzednio słyszeli, gdyż były niepłynne, a nawet kilkakrotnie zdradziły istotne błędy gramatyczne. Kiedyż to Henryk Maxwell zapom-

niał się do tego stopnia, żeby popełnić taki błąd? Wiadomo było, że tak samo szczycił się swemi modlitwami jak i swemi teatralnemi kazaniami. Czyżby to było możliwe, że obecnie czuł obrzydzenie do tego stopnia potoczystości publicznej prośby, aby ganić się za poprzednią precyzyę w modlitwie. Nie myślał raczej wcale o tem wszystkim. Silne pragnienie dania wyrazu potrzebom i pragnieniom swego ludu kazało mu nie zwracać uwagi na okolicznościowe błędy. Pewną rzeczą jest, że nigdy nie kazał z takim skutkiem, jak tym razem.

Czasami kazanie posiada wartość i siłę zależną od stanu audytoryum raczej, niż dzięki czemuś nowemu, uderzającemu, lub wymownemu w słowach czy argumentach kaznodziei. Taki stan miał tego ranka przed sobą Henryk Maxwell, występując przeciwko knajpom, zgodnie z postanowieniem, powziętem jeszcze przed tygodniem. Nie miał nic nowego do powiedzenia o złym wpływie knajpy w Raymondzie. Bo i jakieżby tam mogły być nowe fakty? Nie posiadał żadnych uderzających ilustracyi wpływu, jaki wywierała knajpa w polityce czy handlu. Cóż mógł takiego powiedzieć, czego nie podnieśli już mowcy, zalecający wstrzemięźliwość i to wielką ilość razy? Wpływ jego przemówienia tym razem czerpał swą siłę z niezwykłego faktu, że kazał o knajpie wogóle i z wypadków, które wszystkich poruszyły. Nigdy w ciągu swego dziesięcioletniego probostwa nie wspomniał nawet o knajpie jako o czemś, co zasługuje na nazwę wroga nietylko biednych i kuszonych, ale wroga całego handlu miejskiego i kościoła. Teraz zaś mówił ze swobodą przekonania, że i Chrystus uczyniłby tak samo. Na zakończenie prosił słuchaczy, aby

zwrócili uwagę na nowe życie, które zaczęło się w czworoboku. Zwyczajne wybory urzędników miejskich zbliżały się już. Kwestya konsensów miała stanowić główną podstawę tych nadchodzących wyborów. Cóż się stanie z biednemi istotami, otoczonemi piekłem pijaństwa w chwili, kiedy właśnie zaczynają odczuwać radość z powodu uwolnienia się od grzechu? Któż wie, ile zależy od otoczenia? Czyż uczeń Chrystusa, byznesman, zawodowiec lub obywatel mógł powiedzieć choć słowo na korzyść przedłużania konsensu dla tych instytucyi, rodzących zbrodnię i bezwstyd? Czyż najbardziej chrześcijańskim postępkiem nie byłoby obywatelskie zachowanie się w tej sprawie, zwalczanie knajpy przy urnie wyborczej, wybranie dobrych ludzi na urzędy miejskie i oczyszczenie municypalności? O ile modlitwy przyczyniły się do poprawy Raymondu podczas gdy głosy i postępki były faktycznie po stronie wrogów Chrystusa? Czyżby Chrystus tak nie postąpił? Któryż uczeń mógłby sobie wyobrazić Go, usuwającego się od cierpienia lub od wzięcia na siebie krzyża w tej danej sprawie? Ileż członkowie Pierwszego kościoła cierpieli kiedykolwiek przez chęć naśladowania Jezusa? Czyż chrześcijańskie uczennictwo jest rzeczą konwenansu, zwyczaju, tradycyi? Skądże wzięło się cierpienie? Czyż w celu naśladowania Chrystusa trzeba koniecznie udać się na Kalwaryę zarówno, jak i na górę Przemienienia Pańskiego?

Apel jego był tym razem silniejszy, niż on to sam czuł. Nie będzie przesadą, gdy powiemy, że duchowe naprężenie członków Pierwszego kościoła dosiągnęło szczytu. Naśladowanie Chrystusa, zaczęte z ochotnikami kościoła, zaczęło działać jak zaczyn w organi-

zacyi, a Henryk Maxwell byłby nawet w tej wczesnej razie swego nowego życia zdziwił się nie mało, gdyby mógł zmierzyć zakres pragnienia, doznawanego przez jego parafian,—pragnienia podjęcia krzyża. Podczas gdy przemawiał tego rana, apelując do poczucia chrześcijańskiego obecnych, wielu mężczyzn i wiele kobiet jeszcze przed końcem służby Bożej mówiło sobie tak, jak Rachela powiedziała z uczuciem do swej matki: "Pragnę uczynić coś, co będzie mnie kosztować nieco poświęcenia," "Pragnę cierpieć choć trochę." Zaiste Mazzini miał racyę mówiąc: "Żaden apel nie jest ostatecznie tak potężny jak wezwanie: "Chodź i cierp."

Służba Boża skończyła się, liczne audytoryum rozeszło się, a Henryk Maxwell znalazł się znowu wobec garstki, zgromadzonej w sali odczytowej jak dwóch niedzieli poprzednich. Prosił, aby wszyscy, którzy już uczynili ślub, pozostali, do nich zaś by się przyłączyli nowi kandydaci. Dodatkowa służba Boża stała się teraz koniecznością. Wszedłszy i spojrzawszy na obecnych doznał drżenia serca, gdyż ujrzał przed sobą conajmniej dwieście osób. Duch św. nigdy tak się jeszcze nie objawił. Brakowało Jaspera Chase. Ale wszyscy inni stawili się. Poprosił Miltona Wrighta o modlitwę. Cała atmosfera była przesiąknięta niebiańskim nastrojem. Któż mógł się oprzeć takiemu chrztowi z ducha? Jakże mogli oni żyć tyle lat bez niego?

Naradzali się wspólnie i modlili się obficie. Henryk Maxwell datował od tego mityngu kilka poważnych wypadków, które później stały się częścią historyi Pierwszego kościoła w Raymond. Gdy w końcu rozeszli się do domów, wszyscy doznawali z radością siłę Ducha św.

Danald Marsh, prezydent kollegium Lincolna, wy-

szedł razem z Henrykiem Maxwellem.

—Doszedłem do jednego wniosku—mówił Marsh zwolna.—Znalazłem swój krzyż, który jest dosyć ciężki; ale nie zaznam spokoju, póki go nie wezmę na barki i nie poniosę.

Maxwell milczał a prezydent ciągnął dalej:

—Dzisiejsze kazanie pańskie wyjaśniło mi to, co, jak czułem, powinienem był już dawno uczynić. Coby Chrystus zrobił na mojem stanowisku? Stawiałem sobie to pytanie wielokrotnie od dnia zrobienia ślubu. Starałem się zaspokoić tem, że Onby poprostu postępował tak, jak ja do tej pory, to jest spełniał obowiązki ze szkołą związane, uczyłby etyki i filozofii. Ale nie mogłem uniknąć uczucia, że Chrystus czyniłby jeszcze coś więcej. Tego czegoś ja nie chcę właśnie robić. A zrobienie sprawi mi prawdziwe cierpienie. Obawiam się tego całą duszą. Może pan zgaduje, o co chodzi?

—Tak, zdaje mi się, że zgaduję—odparł Henryk Maxwell.—Jest i mój krzyż także. Raczej czyniłbym cokolwiekbądź innego.

Donald Marsh był zdziwiony, ale mówił ze smutnym i głębokiem przekonaniem.

—Maxwell, ty i ja należymy do klasy ludzi zawodowyeh, unikających zawsze obowiązków obywatelskich. Byliśmy w małym świecie odosobnienia, oddając się miłej nam pracy, a usuwając się od niemiłych obowiązków, wchodzących w życie obywatela. Wyznaję ze wstydem, że rozmyślnie unikałem odpowiedzialności, jaką winienem swemu miastu osobiście. Wiem, że nasi urzędnicy miejscy są zkorumpowani, pozbawieni zasad, prowadzeni w znacznej części przez element spirytusowy i gruntowanie samolubni w sto-

sunku do spraw zarządu miejskiego. Mimo to przez wszystkie te lata ja i niemal każdy nauczyciel w kollegium pozwalaliśmy innym kierować municypalnością, żyjąc w swym własnym małym światku bez zetknięcia się z rzyczywistym światem ludzi. Jakby Chrystus postąpił? Starałem się nawet uniknąć uczciwej odpowiedzi. Ale dłużej tak czynić nie mogę. Wyraźnym moim obowiązkiem jest wziąć czynny udział w najbliższych wyborach, udać się na zgromadzenie przedwyborcze, rzucić na szalę mój wpływ, jakikolwiek on tam jest, aby kandykować i wybrać dobrych ludzi i zanurzyć się po uszy w ten straszny wir oszustwa, przekupstwa, politycznego kuglarstwa i knajpiarstwa, istniejącego dzisiaj w Raymondzie. Wolałbym raczej podejść pod lufę armaty, niżeli zrobić to. Obawiam się tego, ponieważ nienawidzę dotykać całej sprawy. Dałbym nie wiem co za możność powiedzenia sobie, że nie wierzę, aby Chrystus miał uczynić coś podobnego. Ale z każdym dniem nabieram coraz większego przekonania, że Onby tak sobie postąpił. Oto źródło mojego cierpienia. Ani w połowie nie dotknęłaby mnie w ten sposób strata posady lub domu. Brzydzę się kontaktu z naszem zagadnieniem municypalnem. Wolałbym raczej pozostać nadał w mem cichem szkolnem życiu z mymi wykładami etyki i filozofii. Ale wezwanie tak jest wyraźne, że nie mogę uchylić się od niego. Donaldzie Marsh, idź za mną. Spełnij swój obowiązek jako obywatel Raymondu tam, gdzie cię twe obywatelstwo będzie nieco kosztować. Przyłóż ręki do oczyszczenia tej wielkiej stajni municypalnej nawet za cenę lekkiego obrażenia swych uczuć arystokratycznych. Maxwell, oto mój krzyż. Muszę go podjąć, lub zaprzeć się swego Pana.

—Dałeś pan odpowiedź i za mnie—odparł Maxwell ze smutnym uśmiechem.—Dlaczegóż ja z racyi, że jestem duchownym, mam się chronić poza moje wysubtylizowane, wrażliwe uczucia i jak tchórz wzbraniać się dotykać obowiązków obywatelskich, chyba w kazaniu. Nie znam wcale życia politycznego naszego miasta. Nigdy nie brałem udziału w nominowaniu uczciwych ludzi. A są setki duchownych do mnie pod tym względem podobnych. Jako klasa nie spełniamy w życiu municypalnem tych obowiązków, o jakich wygłaszamy kazania. Jakby Chrystus postąpił? Jestem obecnie w chwili, w której zarówno jak pan muszę odpowiedzieć na pytanie w jeden jedyny sposób. Obowiązek mój jest jasny. Muszę cierpieć. Cała moja praca w parafii, wszystkie moje małe troski i poświęcania się, są niczem dla mnie w porównaniu z wdarciem się do zacisza mych intelektualnych, umysłowych zwyczajów, tej otwartej, grubej, publicznej walki o czyste stosunki miejskie. Mógłbym zamieszkać w czworoboku na resztę moich dni i pracować w tych norach na skromne utrzymanie i mógłbym więcej mieć z tego zadowolenia, niżeli z wzięcia udziału w walce o reformę tego zawódczonego miasta. Sprawa ta kosztowałaby mnie mniej. Ale nie jestem w stanie zrzucić z siebie swej odpowiedzialności. Odpowiedź na pytanie: Jakby Chrystus postąpił? nie daje mi w tym wypadku spokoju, chyba że odpowiem, iż "Chrystus chce, abym odegrał rolę chrześcijańskiego obywatela. My ludzie zawodowi, jak pan powiadasz, panie Marsh, duchowni, profesorowie, artyści, literaci, uczeni, byliśmy niemal bez wyjątku tchórzami politycznymi. Unikaliśmy świętych obowiązków obywatelskich bądź to przez nieświadomość, bądź też przez

egoizm. Zaiste Chrystus nie postępowałby tak w naszym wieku. I my nie możemy uczynić mniej, niż wziąć ten krzyż i podążać w Jego ślady.

Dwaj znajomi szli chwilę w milczeniu. Wreszcie prezydent Marsh odezwał się:

—Nie musimy działać w tej sprawie sami. Ze wszystkimi ludźmi, którzy uczynili ślub, poczujemy się w sile nawet liczebnej. Zorganizujemy więc chrześcijańskie siły Raymondu do walki z rumem i korrupcyą. Musimy bezwątpienia wziąć udział w zebraniu przedwyborczem w sile, zdolnej do czegoś więcej nad zwykły protest. Faktem jest, że element knajpiany jest tchórzliwy i łatwo trwożący się, pomimo swego rozhukania i skorrumpowania. Uplanujmy kampanię, która będzie miała pewne znaczenie jako zorganizowana prawość. Chrystus użyłby wielkiego namysłu w tej sprawie. Użyłby wielu środków, nakreśliłby obszerny plan; uczyńmy tak i my. Skoro mamy dźwigać krzyż, to czyńmy to dzielnie, jak na mężczyzn przystało.

Rozprawiali o rzeczy długo i zeszli się znowu następnego dnia w gabinecie Henryka Maxwella dla rozwinięcia planów. Zgromadzenia przedwyborcze zostały zwołane na piątek. Wieści o niezwykłych i niesłychanych dla zwyczajnego obywatela wypadkach obiegały koła polityczne w Raymond. System Crawforda, przy głosowaniu nie miał zastosowania w stanie, a zgromadzenie przedwyborcze zostało zwołane do gmachu sądowego.

Obywatele Raymondu nigdy nie zapomną tego mityngu. Był on tak niepodobny do mityngów politycznych, jakie się kiedykolwiek w Raymond odbywały, że nie usiłowano nawet czynić porównań. Spe-

cyalnymi urzędnikami, jakich miano nominować, byli: major, rada miejska, naczelnik policyi, sekretarz i skarbnik miasta.

The Evening News dały w sobotniem wydaniu pełny opis tego zgromadzenia, a Edward Norman w artykule wstępnym pisał z prostotą i przekonaniem, które chrześcijanie w Raymond zaczęli uczyć się głęboko szanować, ponieważ były tak jawnie szczere i nieegoistyczne. Część tego artykułu jest zarówno częścią niniejszego opowiadania.

—Śmiało można powiedzieć, że nigdy przedtem w dziejach Raymondu nie było takiego zgromadzenia przedwyborczego, jak to, które odbyło się wczoraj wieczór w gmachu sądowym. Przedewszystkiem było ono zupełną niespodzianką dla politykierów, którzy mieli zwyczaj prowadzenia spraw miejskich, jakby to były ich sprawy prywatne, wszyscy zaś inni zerami oraz ich narzędziami. Nadzwyczajne zdumienie prowodyrów polegało na fakcie, że wielka liczba obywateli Raymondu, nie biorących do tej pory udziału w sprawach miejskich, zjawiła się na zgromadzeniu przedwyborczem i zapanowała nad niem, nominując najlepszych ludzi na wszystkie urzędy, mające się zapełnić przy najbliższych wyborach.

Była to pyszna lekcya dobrego obywatelstwa. Prezydent Marsh z kollegium Lincolna, który nigdy przedtem nie zjawił się na zgromadzeniach przedwyborczych, którego rysów nie znało nawet wielu politykierów jego dzielnicy, wygłosił jedną z najlepszych mów, jakie kiedykolwiek w Raymond słyszano. Śmiesznem było widzieć twarze ludzi, którzy przez lata rządzili się jak sami chcieli, kiedy prezes Marsh wstał, aby przemówić. Wielu z nich pytało, kto to taki?

Konsternacya rosła w miarę rozwoju zgromadzenia, gdyż pokazało się, że dawny "ring" miejski znalazł się w mniejszości. Henryk Maxwell, proboszcz Pierwszego kościoła; Milton Wright, Aleksander Powers; professor Brown, Willard i Park z kollegium Lincolna; wiel. John West, Dr. Jerzy Maine, z kościoła pielgrzymów; dziekan Ward od św. Trójcy i dziesiątki znanych kupców, oraz ludzi zawodowych, po większej części członków kościoła, było obecnych i wkrótce okazało się, że wszyscy przybyli w określonym celu nominowania możliwie najlepszych ludzi. Byli oni zupełnie obcy politykierom. Ale wyraźnie skorzystali z metod politykierów i byli zdolni na mocy zorganizowanego i zjednoczonego usiłowania nominować wszystkich kandydatów.

Jak skoro tylko okazało się jasno jak na dłoni, że kierowanie zgromadzeniem wymknęło się im z rąk: "ringowcy" usunęli się z oburzeniem i nominowali inną listę. The News zwraca jedynie uwagę wszystkich przyzwoitych obywateli na fakt, że ta ostatnia lista zawiera nazwiska zwolenników "whiskey," że wyraźna i ostra linia została pociągnięta pomiędzy maszyną polityczną i zkorrumpowanym zarządem miejskim, jaki mieliśmy przez lata, a czystą, uczciwą, zdolną i umiejętną administracyą miejską, jakiej każdy dobry obywatel pragnąć powinien. Nie trzeba chyba przypominać mieszkańcom Raymondu, że kwestya alkoholu wejdzie na wybory; będzie to najważniejsza kwestya. Dosięgliśmy kryzysu naszych spraw miejskich. Zagadnienie zjawiło się przed nami. Czy mamy prowadzić dalej panowanie rumu, przekupstwa i bezwstydnego braku kompetencyi, czy też mamy, jak rzekł prezydent Marsh w swem szlachetnem przemó-

wieniu, powstać jak dobrzy obywatele i zacząć nowy porządek rzeczy, oczyszczając nasze miasto z największego wroga municypalności i czyniąc co jest w naszej mocy, aby uszlachetnić życie obywatelskie?

The News stoi stanowczo i bez zastrzeżenia, po stronie nowego ruchu. Odtąd uczynimy wszystko, co jest w naszej mocy, aby pokonać knajpę i zniszczyć jej wpływ polityczny. Będziemy popierać wybór ludzi, nominowanych przez większość obywateli, na zgromadzeniu przedwyborczem i wzywamy wszystkich chrześcijan, członków kościoła i miłośników słuszności, czystości, umiarkowania i rodziny, aby poparli prezydenta Marsha i resztę obywateli, którzy dali początek dawno odczuwanej potrzebie reformy w naszem mieście.

Prezydent Marsh odczytał ten artykuł i dziękował Bogu za Edwarda Normana. Równocześnie rozumiał dobrze, iż wszystkie inne pisma w Raymondzie były po przeciwnej stronie. Nie przeoczał on ważności i doniosłości walki, która dopiero się zaczęła. Nie było dla nikogo sekretem, że The News poniosły ogromne straty od chwili, kiedy oparły się na zasadzie pytania: Jakby Chrystus postąpił? Pytanie obecnie zachodziło, czy chrześcijanie w Raymond zechcą pismo popierać? Czy umożliwią Normanowi prowadzenie chrześcijańskiego dziennika? Albo czy pragnienie tego, co się nazywa "nowinkami," odnośnie do zbrodni, skandalu, politycznej stronniczości w zwykłem tego słowa znaczeniu, oraz niechęć popierania tak niezwykłej reformy dziennikarstwa, nie wpłynie na nich, że odstąpią od pisma i odmówią mu materyalnego poparcia? To było pytanie, które faktycznie Edward Nor-

man stawiał nawet w chwili pisania sobotniego artykułu wstępnego. Wiedział on dobrze, iż działalność jego, wyrażona w tymże artykule, będzie kosztować go bardzo wiele z rąk różnych byznesmanów Raymondzkich. A jednak, sunąc piórem po papierze, stawiał drugie pytanie: Jakby Chrystus postąpił? To pytanie stało się obecnie częścią jego życia. Przewyższało ono wszystko inne.

Ale po raz pierwszy w swych dziejach Raymond widział ludzi zawodowych, nauczycieli, profesorów z kollegium, doktorów i duchownych, biorących udział w życiu politycznem i stających w ostatecznym i ostrym antagonizmie do złych potęg, które tak długo władały maszyną zarządu municypalnego. Sam fakt był zdumiewający. Prezydent Marsh przyznał sam sobie z uczuciem poniżenia, że nigdy przedtem nie pojmował, ile może dokonać prawość obywatelska. Od tego wieczoru piątkowego datował on dla siebie i swego kollegium nową definicyę utartego frazesu: "Uczony w polityce." Wykształcenie dla niego, i dla tych, którzy znajdowali się pod jego wpływem, zawierało odtąd pewien czynnik cierpienia. Ofiara musiała wejść odtąd jako czynnik rozwoju.

Tego tygodnia w czworoboku fala życia duchowego wezbrała wysoko i jak dotąd nie okazywała śladów opadu. Rachela i Virginia udawały się tam co wieczór. Virginia szybko dochodziła do konkluzyi w odniesieniu do wielkiej części jej majątku. Omawiała rzecz z Rachelą i obie doszły do zgodnego przekonania, że gdyby Chrystus miał do swej dyspozycyi znaczną sumę pieniężną, to zrobiłby z części taki sam użytek, jaki planowała Virginia. W każdym razie czuły, że

cokolwiek Chrystus mógłby uczynić w takim wypadku, to to zawierałoby pierwiastek rozmaitości, wynikającej z różnicy osób i okoliczności. Nie mogło być jednego, ustalonego chrześcijańskiego używania pieniędzy. Prawo, regulujące ich użycie, to nie samolubna użyteczność.

Tymczasem chwała Ducha opanowała ich najlepsze myśli. Wieczór po wieczorze tego tygodnia był świadkiem cudów tak wspaniałych, jak chodzenie po wodzie, lub karmienie ludu kilku bochenkami chleba i rybami. Jakiż bowiem może być większy cud nad odrodzoną ludzkość? Przekształcenie tych ordynarnych, brutalnych, opilczych ludzi w modlących się, zachwyconych miłowników Chrystusa, uderzało zawsze Rachelę i Virginię uczuciem, jakiego ludzie mogli doznawać, kiedy widzieli jak Łazarz opuszcza swój grób. Było to dla nich doświadczenie pełne głębokiego wzruszenia.

Rollin Page uczęszczał na wszystkie mityngi. Nie było wątpliwości co do zmiany, jaka zaszła w nim. Był on dziwnie spokojny. Zdawało się, jakoby myślał cały czas, niewątpliwie stał się innym człowiekiem. Rozmawiał więcej z Grayem niżeli z kimkolwiek innym. Nie unikał Racheli, ale zdawało się, jakoby nie życzył sobie odnowienia dawnego stosunku. Rachela nie umiała wyrazić mu swej wdzięczności za rozpoczęcie tego nowego życia. Zdaje się że czekał na przystosowanie się do swych dawnych znajomości, niż się to nowe życie zaczęło. Nie zapomniał o tych dawnych znajomościach, ale nie był jeszcze w stanie dostroić swej świadomości do nowych.

Koniec tygodnia oglądał walkę czworoboku po-

między dwoma potężnymi a sprzecznymi wpływami. Duch św. walczył swą całą nadnaturalną siłą przeciwko szatanowi knajpy, który tak długo trzymał swych niewolników w zazdrosnym uścisku. Gdyby chrześcijanie Raymondu mogli choć raz pojąć, co znaczyła ta walka dla dusz świeżo do nowego życia zbudzonych, to wybory nie mogłyby były dać poparcia dawnemu systemowi konsensów. Ale to miało się dopiero okazać. Straszne warunki codziennego otoczenia wielu nawróconych, zaczynały powoli przenikać do wiedzy Virginii i Racheli, a co wieczór wracając do swych wspaniałych mieszkań czuły coraz większy ciężar na sercach.

—Wiele tych biednych stworzeń odpadnie znowu do złego—mawiał Gray ze smutkiem za głębokim na to, aby wywoływać łzy.—Otoczenie wywiera wielki wpływ na charakter. Nie podobna przypuszczać, aby ludzie ci byli zawsze w stanie oprzeć się wobec widoku i zapachu tego dyabelskiego trunku, otaczającego ich ze wszech stron. O Panie! jakże długo lud chrześcijański będzie popierał swem milczeniem i swymi głosami najcięższy rodzaj niewoli, jaki cierpi obecnie Ameryka?

Stawiał to pytanie bez wielkiej nadziei natychmiastowej odpowiedzi. Był promień nadziei w przebiegu piątkowego zebrania przedwyborczego; ale rezultatu nie mógł nawet przewidywać. Stronnictwo alkoholu zorganizowało się pod wpływem wypadków, jakie ostatniego tygodnia zaszły w namiocie i w mieście. Czy stronnictwo chrześcijańskie zechce jak jeden mąż wystąpić przeciwko knajpie? Lub też czy się podzieli ze względu na interesy handlowe, lub też z

powodu, że nie było przyzwyczajone do wspólnego działania, jak to czyniło zawsze stronnictwo alkoholowe? To miało się dopiero okazać. Tymczasem wszystkie knajpy dokoła czworoboku oburzyły się jak żmije, sycząc i wijąc się, gotowe do jadowitego ukąszenia każdego niestrzeżonego miejsca.

W sobotę po południu, gdy Virginia opuszczała właśnie swój dom, aby pójść do Racheli dla omówienia z nią swych nowych planów, podjechał powóz z trzema jej przyjaciółkami z towarzystwa. Virginia podeszła do nich i zatrzymała się aby porozmawiać z niemi. Nie przybyły one wcale dla złożenia formalnej wizyty, tylko chciały prosić Virginię o przejechanie z niemi po bulwarze. W parku odbywał się właśnie koncert orkiestralny, a dzień był za piękny na to, aby go spędzić w pokoju.

—Gdzieżeś ty się podziewała ten cały czas, Virginio—spytała jedna z dziewcząt, uderzając ją figlarnie po ramieniu, czerwoną jedwabną parasolką.—Słyszałyśmy, że wzięłaś się do publicznych występów. Powiedz nam coś o tem.

Virginia zarumieniła się, ale po chwili wahania się otwarcie zdała sprawę ze swych doświadczeń w czworoboku. Panny w powozie zaczęły się sprawą istotnie interesować.

—Powiem wam coś, dziewczęta; wybierzemy się dziś z Virginią do nor miejskich, zamiast iść na koncert. Nigdy nie byłam w czworoboku. Słyszałam, że to niesłychanie nędzna dziura i przedstawia wiele osobliwości. Virginia posłuży nam za przewodnika i będziemy mieć prawdziwą...—uciechę, chciała powiedzieć, ale spojrzenie Virginii skłoniło ją do powiedze-

nia słów: "interesującą eskapadę."

Virginia poczuła gniew. Naprzód pomyślała sobie, że nie pojedzie w takich okolicznościach. Drugie dwie panny zdawały się być samego zdania, co i wnioskodawczyni. Poparły ją całkiem poważnie i prosiły Virginię o zrobienie im tej przysługi.

Virginia ujrzała nagle w próżnej ciekawości swych znajomych doskonałą sposobność. Nie oglądały one nigdy na własne oczy występku i nędzy Raymondu. Dlaczegóżby nie miały zobaczyć tego, chociażby nawet chciały w ten sposób jedynie spędzić popołudnie.

—Bardzo dobrze, pojadę z wami. Musicie mnie słuchać i dać się zawieźć tam, gdzie będziecie mogły zobaczyć najwięcej—rzekła, wsiadając do powozu i zajmując miejsce obok panny, która zaproponowała wycieczkę do czworoboku.

—Czy nie byłoby lepiej wziąć ze sobą policyanta? —spytała jedna z nich z nerwowym śmiechem.—Przecie tam naprawdę nie bardzo jest bezpiecznie.

—Nic nam nie grozi—rzekła Virginia krótko.

—Czy to prawda, że Rollin nawrócił się?— spytała inna, patrząc na Virginię z ciekawością.

W czasie jazdy do czworoboku miała takie wrażenie, że wszystkie trzy towarzyszki przyglądały się jej z taką uwagą, jak gdyby była czemś mocno osobliwem.

—Tak, niewątpliwie. Widziałam go sama w sobotę tydzień temu—odparła Virginia, która nie umiała opisać tej sceny.

—Słyszałam, że obchodzi kluby, rozprawiając ze swymi dawnymi przyjaciółmi i starając się nauczać

ich. Czy to nie komiczne?—rzekła panna z czerwoną parasolką.

Virginia nic nie odpowiedziała, a pozostałe dwie panny zaczęły wpadać w zamyślenie w miarę jak powóz zbliżał się do czworoboku. Czem były bliżej, tem bardziej czuły się zdenerwowane. Widoki, wonie i dźwięki, do których Virginia już przywykła, podrażniły zmysły tych wyrafinowanych, delikatnych panien z towarzystwa, jako coś strasznego. Gdy się zapuściły dalej w tę dzielnicę, czworobok zdawał się wpatrywać jakby jednem wielkiem, zaczerwienionem, od piwa nabrzmiałem obliczem w ten piękny powóz i w jego modnie ubranych pasażerów. Towarzystwo Raymondzkie nigdy nie chorowało na zwiedzanie nor miejskich, to też zapewne po raz pierwszy zdarzyło się, że te dwa różne elementy zetknęły się ze sobą w ten sposób. Panny czuły, że zamiast oglądać czworobok, stały się same przedmiotem ciekawych obserwacyi. To ich przestraszyło i zniechęciło.

—Wracajmy. Mam już dosyć—rzekła sąsiadka Virginii.

W tejże chwili znalazły się właśnie naprzeciwko okrzyczanej knajpy i domu gry. Ulica była wązka a chodnik natłoczony. Nagle z drzwi knajpy wypadła chwiejnym krokiem młoda dziewczyna. Śpiewała, lecz śpiew jej był przerywany pijanem łkaniem, które zdawało się wskazywać, że częściowo pojmowała swój straszny stan i z ust jej wyrwały się słowa: "Tak jak jestem, bez żadnej obrony."

Gdy powóz mijał ją, pijana potoczyła się ku niemu z tak podniesioną głową, że Virginia ujrzała twarz. Była to twarz dziewczyny, która onego wie-

czora klęczała łkając, kiedy Virginia klęczała obok niej i modliła się za nią.

—Stań!—zawołała Virginia, kiwając na woźnicę, który się właśnie obzierał.

Powóz stanął, a w tejże chwili Virginia wysiadła, podeszła do dziewczyny i ujęła ją pod ramię.

—Loreen!...—powiedziała i urwała.

Dziewczyna spojrzała jej w twarz, poczem przybrała sama wyraz przerażenia. Panny, siedzące w powozie, nie posiadały się ze zdumienia. Właściciel knajpy stanął w drzwiach i przyglądał się im z rękami na biodrach. Cały czworobok z okien, stopni szynków, brudnych chodników, rynsztoków i ścieków, przyglądał się z niekłamanym podziwem obydwom dziewczętom. Słońce oświecało scenę ciepłymi promieniami. Słaby odgłos muzyki parkowej dolatywał do czworoboku. Koncert właśnie się zaczął, a towarzystwo Raymondu roztoczyło swe blaski na pięknych bulwarach.

ROZDZIAŁ VI.

Ponieważ przybyłem dla poróżnienia człowieka z jego ojcem, a córki z matką, synowej zaś z teściową; a staną się wrogami swego własnego domostwa.

Bądźcież więc, jako ukochane dzieci, naśladowcami Boga i chadzajcie w miłości jaką was Chrystus kochał.

Gdy Virginia wysiadła z powozu i podeszła do Loreeny, nie miała określonej idei o tem, co uczyni albo jaki będzie rezultat jej postępku. Ujrzała po prostu duszę, która zasmakowawszy rozkoszy lepszego życia, zaczęła się staczać z powrotem w piekło bezwstydu i zatracenia. To też nim jeszcze dotknęła ramienia pijanej, postawiła sobie tylko jedno pytanie: Jakby Chrystus postąpił? Pytanie to stawało się u niej, zarówno jaki u innych zwyczajem życia.

Teraz obejrzała się dokoła, stojąc tuż obok Loreeny, a cała scena żywe uczyniła na nią wrażenie. Naprzód pomyślała o swych towarzyszkach z powozu.

—Idźcie sobie i nie czekajcie na mnie! Ja pójdę odwiedzić moją przyjaciółkę tutaj—rzekła ze spokojem.

Panna z czerwoną parasolką rozwarła usta z podziwu, gdy Virginia wymówiła słowo "przyjaciółka." Nie rzekła ani słowa. Dwie drugie panny też oniemiały.

—Jedźcie, jedźcie! Nie mogę wracać z wami— rzekła Virginia.

Woźnica popędził konie zwolna. Jedna z panien wychyliła się nieco z powozu.

—Chcesz naszej pomocy? Czybyśmy nie mogły...

—Nie, nie!—zawołała Virginia—nie możecie mi być w niczem pomocne.

Powóz toczył się dalej, a Virginia została sama. Obejrzała się wokoło siebie. Wiele osób w tłumie odnosiło się do niej z sympatyą. Nie wszyscy byli okrutni lub brutalni. Duch św. ułagodził czworobok w znacznym stopniu.

—Gdzie ona mieszka?—spytała Virginia.

Nikt nie odpowiadał. Potem przyszło na myśl Virginii, gdy miała czas zastanowić się nad tem, że czworobok zdradził poczucie delikatności przez swe milczenie, poczucie, którego nie powstydziłyby się i bulwary.

Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że istota nieśmiertelna, rzucona jak rozbitek na brzeg tego ziemskiego piekła, zwanego szynkiem, może nie mieć miejsca zwanego domem.

Pijana wyrwała się nagle z objęć Virginii. Przy tem o mało nie obaliła Virginii.

—Nie dotykaj mnie! Zostaw mnie! Pozwól mi iść do piekła! Oto gdzie moje miejsce! Szatan już czeka na mnie. Widzę go—zawołała ochrypłym głosem.

Zwróciła się i wskazała palcem szynkarza. Tłum zaśmiał się. Virginia podeszła do niej i objęła ją znowu swem ramieniem.

—Loreen!—rzekła z mocą—chodź ze mną. Nie

w piekle twoje miejsce. Należysz bowiem do Chrystusa, który cię ocali. Chodź!

Dziewczyna wybuchnęła nagle płaczem. Wstrząśnienie, wywołane spotkaniem Virginii, otrzeźwiło ją tylko częściowo.

Virginia obejrzała się znowu dokoła.

—Gdzie mieszka Mr. Gray—Spytała.

Wiedziała, że misyonarz mieszkał gdzieś w bliskości namiotu.

Kilka głosów podało jej adres.

—Chodź, Loreen, zaprowadzę cię do pani Gray—powiedziała, ciągle jeszcze trzymając chwiejące się i drżące stworzenie, ustawicznie jęczące i łkające i trzymające się Virginii, którą przedtem odpychała.

Tak więc obie ruszyły przez czworobok ku mieszkaniu misyonarza. Widok ten wzruszał czworobok na seryo! Nigdy nie działał poważnie, gdy był pijany; ale tym razem rzecz przedstawiała się inaczej. Fakt, że jedna z najpiękniej ubranych panien Raymondu roztoczyła opiekę nad jedną z najnotoryczniejszych dziewczyn czworoboku, zataczającej się pod wpływem trunku, był dosyć sam przez się zdumiewającym na to, aby nadać mniej lub więcej godności i znaczenia samejże Loreenie. Ile razy pijana Loreena przechodziła przez ściek chwiejnym krokiem, tyle razy czworobok śmiał się i dowcipkował. Ale Loreena idąca z młodą damą z towarzyskich kół miejskich, która ją podpierała, to było co innego. Czworobok przyglądał się im na trzeźwo i z podziwem.

Gdy doszli do mieszkania Graya, kobieta, która otworzyła Virginii, oświadczyła, że oboje państwo

Gray wyszli gdzieś i że nie wrócą aż dopiero o szóstej.

Virginia nie miała na myśli nic innego, niż zaapelowanie do Grayów, aby bądź zaopiekowali się Loreeną czasowo, bądź też znaleźli dla niej pewne miejsce, aż do jej wytrzeźwienia się. Teraz atoli otrzymawszy taką odpowiedź, nie wiedziała co czynić. Loreen obsunęła się głupawo na stopnie, kryjąc twarz w dłonie. Virginia patrzyła na nędzną postać z uczuciem, które mogło wydawać się wstrętem.

W końcu opanowała Virginię myśl, której nie mogła się oprzeć. Cóż mogło wstrzymać Loreenę od udania się do jej własnego domu? Dlaczegóżby to bezdomne, nędzne stworzenie ziejące parami alkoholu, nie miało znaleźć schronienia u niej w domu, zamiast być oddaną obcym w jakimś szpitalu czy zakładzie dobroczynnym? W istocie Virginia nie wiele wiedziała o takich przybytkach schronienia. W Raymondzie istniały takie dwie czy trzy instytucye; ale jest rzeczą wątpliwą, czy którakolwiek z nich przyjęłaby taką jak Loreena osobę i to w jej obecnym stanie. Ale nie o to w tej chwili pytała Virginia. "Jakby Chrystus postąpił z Loreeną?" Oto pytanie, jakie sobie Virginia stawiała, a odpowiedziała sobie na nie przez powtórne ujęcie Loreeny.

—Chodź, Loreeno. Pójdziesz ze mną do domu. Wsiądziemy na rogu do tramwaju.

Loreena podniosła się na nogi i nie opierała się wcale. Spodziewała się ona bowiem oporu, lub wprost odmowy. Gdy doszły do rogu i usiadły do tramwaju, wagon był przepełniony ludźmi, wracającymi do miasta.

Virginia posiadała bolesną świadomość tego, że spojrzeniem zdziwienia powitano ją wchodzącą razem ze swą towarzyszką; ale myśl jej była więcej zajęta zbliżającą się rozprawą z babką. Co powie madam Page, ujrzawszy Loreenę?

Loreena wytrzeźwiała obecnie prawie zupełnie, wpadała tylko w stan pewnego otrętwienia.

Virginia była zniewoloną trzymać ją mocno za ramię. Kilkakrotnie dziewczyna zatoczyła się ciężko w stronę Virginii; a kiedy obie szły przez Avenue, tłum ciekawych obracał się i patrzył za niemi. Wchodząc na schody pięknego domu, Virginia poczuła ulgę, nawet pomimo zbliżającej się rozmowy z babką; a kiedy drzwi się zamknęły, a ona znalazła się w ogromnej sieni z bezdomnym włóczęgą, poczuła w sobie odwagę do wszystkiego, cokolwiekby ją spotkać miało.

Madam Page była w czytelni. Słysząc, że Virginia przychodzi, wyszła na jej spotkanie. Ujrzała ona Virginię podtrzymującą Loreenę, gapiącą się głupawo na bogactwo i przepych nowego swego otoczenia.

—Babko—rzekła Virginia bez wahania, i bardzo wyraźnie.—Przyprowadziłem jedną z mych przyjaciółek z czworoboku. Właśnie jest w biedzie i niema swego domu. Zatrzymam ją u siebie czas jakiś.

Madam Page spojrzała ze zdziwieniem na wnuczkę i na Loreenę.

—Powiedasz, że to jedna z twych przyjaciółek? —spytała chłodnym, szyderczym tonem, który dotknął Virginię bardziej, niż cokolwiekbądź innego dotąd.

—Tak powiadam.

Twarz Virginii oblała się rumieńcem, ale w tej chwili przypomniała sobie zdanie, którego Mr. Gray użył w jednem ze swych ostatnich kazań: "Przyjaciel celników i występnych." Zapewne Chrystus postąpiłby tak samo jak ona.

—Czy ty wiesz, kto to jest ta dziewczyna?—spytała madam Page gniewnym szeptem, podchodząc do Virginii.

—Wiem bardzo dobrze. Jestto wyrzutek. Nie potrzebujesz mi o tem mówić, babko. Wiem o tem nawet lepiej od ciebie samej. W tej chwili jest pijana; ale przecie to także dziecko Boga. Widziałam ją już na kolanach, żałującą za grzechy i widziałam, jak piekło znowu wyciągnęło po nią swe straszne łapy; przez łaskę Chrystusa czuję, że najmniejsza rzecz, jaką dla niej mogę uczynić, to wybawię ją od takiego niebezpieczeństwa. Babko, nazywamy siebie chrześcijanami. Oto biedne, zbłąkane stworzenie, bez domu, staczające się w przepaść, grożącą jej wieczną zagładą, a my przecie mamy więcej niż dosyć. Przyprowadziłam ją tu i zatrzymam.

Madam Page błysnęła swym wzrokiem ku Virginii i ścisnęła pięści. Wszystko to było niezgodne z jej towarzyskim kodeksem. Jakże towarzystwo mogłoby wybaczyć taką poufałość z szumowinami ulicy? Ileż mógł postępek Virginii kosztować rodzinę całą w kierunku krytyki i utraty stanowiska i tej długiej listy niezbędnych stosunków, które ludzie bogaci i mający stanowiska muszą utrzymywać z przewódzcami towarzystwa? Dla madam Page towarzystwo było czemś ważniejszem od kościoła lub jakiejkolwiek innej instytucyi. Była to władza, której na-

leżało się bać i słuchać. Utrata jej przychylności była tem, czego należało się obawiać więcej, niż czegokolwiekbądź innego, z wyjątkiem oczywiście utraty bogactwa.

Stała prosta i surowa, mając przed sobą Virginię zupełnie już zdeterminowaną. Virginia objęła ramieniem Loreenę, patrząc spokojnie w oczy babki.

—Nie uczynisz tego, Virginio. Możesz odesłać ją do asylu dla opuszczonych kobiet. Możemy pokryć wszystkie wydatki, ale przez wzgląd na naszą reputacyę, nie możemy takiej osoby trzymać u siebie.

—Babko, nie życzę sobie wcale czynić nic takiego, coby się tobie niepodobało; ale zatrzymam Loreenę na noc, a nawet i dłużej, jeżeliby zaszła tego potrzeba dla jej dobra.

—Zatem sama odpowiesz za następstwa! Ja nie zostanę w jednym domu z nędzną...

Madam Page straciła władzę panowania nad sobą. Virginia przerwała jej nim zdołała skończyć.

—Babko! dom ten do mnie należy. Jestto nasze wspólne ognisko, jak długo podoba ci się mieszkać razem ze mną. Ale w tej sprawie postąpię zupełnie tak, jak mojem zdaniem postąpiłby i Chrystus. Jestem gotowa znieść wszystko cokolwiekby towarzystwo chciało mówić lub czynić. Towarzystwo nie jest moim Bogiem. Przy boku tej biednej, zbłąkanej duszy, nie przykładam żadnej wagi do werdyktu towarzystwa.

—Zatem nie pozostanę tu—rzekła madam Page.

Zwróciła się nagle i poszła do końca sieni. Potem wróciła i rzekła z naciskiem, zdradzającym gniew i wzburzenie:

—Pamiętaj, że wypędziłaś swą babkę z domu dla jakiejś pijaczki.

Potem nie czekając na odpowiedź Virginii zawróciła znowu i poszła na górę.

Virginia wezwała służącą i niebawem zajęła się Loreeną, która szybko zapadała w smutny stan. W ciągu krótkiej sceny w sieni trzymała się Virginii tak mocno, że ramię Virginii miało wyciśnięte ślady jej palców.

Virginia nie wiedziała, czy babka istotnie opuści dom czy nie. Posiadała swe własne obfite środki utrzymania, była zupełnie zdrowa i rzeźka, jakoteż zdolna myśleć o sobie. Miała siostry i braci na południu i miała spędzać u nich po kilka tygodni co roku. Pod tym względem więc Virginia nie miała o nią żadnych obaw, ale rozmowa z nią sprawiła jej przykrość. Rozmyślając nad nią przed zejściem na dół do herbaty, nie mogła jednakże znaleźć powodu do żałowania swego kroku. "Jakby Chrystus postąpił?" Virginia nie miała żadnej wątpliwości co do tego, że postąpiła zupełnie słusznie. Jeżeli popełniła jaki błąd, to chyba błąd sądu, ale nie serca. Gdy dzwonek oznajmił czas herbaty, zeszła na dół, ale babka nie zjawiła się. Posłała więc służącego do jej apartamentu, który objaśnił za powrotem, że madame Page była nieobecna. W kilka chwil potem zjawił się Rollin i uwiadomił, że babka pojechała najbliższym pociągiem na południe. Był właśnie na stacyi dla odprowadzenia kilku przyjaciół i spotkał przypadkiem babkę, która powiedziała mu dlaczego jedzie.

Virginia i Rollin spotkali sie przy herbacie w poważnych usposobieniach.

—Rollinie—rzekła Virginia, przyczem po raz pierwszy prawie od czasu jego nawrócenia spostrzegła, jak ważną dla niej sprawą była zmiana, której uległ brat.—Czy ty mnie ganisz? Czy nie mam racyi?

—Nie, moja droga, nie zdaje mi się, żebyś nie miała racyi. Bolesna to dla nas rzecz. Lecz skoro sądzisz, że to biedne stworzenie, zawdzięcza swe ocalenie i zbawienie twej osobistej opiece, nie mogłaś inaczej postąpić. Oh, Virginio, pomyśl jeno, żeśmy przez tyle lat używali naszego pięknego domostwa i tych zbytków samolubnie, nie pomni tłumów do tej kobiety podobnych. Niewątpliwie Chrystus na naszem miejscu byłby to samo uczynił, co ty!

Tak więc Rollin pocieszył Virginię i naradzał się z nią tegoż wieczora. Ze wszystkich cudownych zmian, jakim Virginia miała uledz z powodu swego ślubu, nic nie wpłynęło na nią tak potężnie jak myśl o zmianie, jaka zaszła w życiu Rollina. Zaprawdę ten człowiek w Chrystusie stał się nową istotą. Stare rzeczy minęły bezpowrotnie. Wszystko uległo w nim odnowieniu.

Dr. West stawił się tegoż wieczora na wezwanie Virginii i zrobił dla włóczęgi wszystko, co było potrzeba. Dostała ona niemal "deliryum" z opicia się. Najpożądańszą dla niej obecnie rzeczą było spokojne pielęgnowanie, troskliwość i miłość. Tak więc w pięknym pokoju, z obrazem, przedstawiającym Chrystusa nad brzegiem jeziora, leżała Loreena, zdążając, sama nie wiedziała jak, ku tej przystani; a Virginia zbliżyła się do mistrza bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, gdy serce swe skierowała ku temu rozbitkowi, który miotany strudzeniem legł u jej stóp.

Tymczasem czworobok oczekiwał wyniku wyborów z więcej, niż zwykłem zainteresowaniem.

Gray razem z żoną płakali nad politowania godnemi stworzeniami, które po walce z otoczeniem, codzień kuszącem je, zbyt często nurzyły się tąż walką i jak Loreen wznosiły w górę ramiona i zapadały się w wirującą otchłań swego poprzedniego położenia.

Dodatkowy mityng w Pierwszym kościele odbywał się teraz już regularnie. Henryk Maxwell wszedł do sali odczytowej w najbliższą niedzielę po zgromadzeniu przedwyborczem i został powitany z entuzyazmem, pod wpływem którego zadrżał. Tu zauważył znowu nieobecność Jaspera Chase; ale wszyscy inni byli obecni i zdawali się nawet być bardzo ściśle połączeni węzłem wspólności, wynikłej z wzajemnego zaufania. Ogólnie odczuwano, że duch Chrystusa był duchem otwartego, szczerego wyznania swych doświadczeń życiowych. Zdawało się rzeczą najnaturulniejszą pod słońcem, że Edward Norman odkrywał przed resztą zebranych szczegóły swych spraw dziennikarskich.

Faktem jest, że straciłem dużo pieniędzy w ciągu ostatnich trzech tygodni. Nie umiem nawet powiedzieć, jak dużo. Codzień tracę sporo abonentów.

—Jakiż abonenci podają powód zaniechania prenumeraty?—pytał Henryk Maxwell.

Reszta słuchała chciwie.

—Podają mi wiele różnych powodów. Jedni powiadają, że potrzebują pisma, pomieszczającego wszystkie wiadomości, przez które rozumieją szczegóły zbrodni, senzacyjne sprawy w rodzaju zapasów atletycznych, skandale i obrzydliwości różnego ro-

dzaju, a innym niepodoba się zawieszenie wydania niedzielnego. Przez ten postępek utraciłem setki abonentów, jakkolwiek ułożyłem się z wieloma w sposób zadowalniający, dając im nawet więcej w osobnym dodatku sobotnim, niżeli poprzednio w wydaniu niedzielnem. Największa moja strata wynikła z ubytku ogłoszeń i ze stanowiska, jakie uważałem sobie za obowiązek zająć w kwestyach politycznych. Ta ostatnia akcya kosztowała mnie zaiste więcej, niż cokolwiekbądź innego. Większość moich abonentów ma wybitne partyjne usposobienie. Mogę wam wszystkim całkiem otwarcie powiedzieć, że jeżeli będę dalej obstawać przy planie, który według mnie przyjąłby i Chrystus, to jest przy planie traktowania wszystkich spraw politycznych z niepartyjnego i etycznego punktu widzenia, to The News nie będzie w stanie opędzić swych kosztów, chyba żeby można było liczyć na jeden czynnik w Raymondzie.

Zatrzymał się chwilę, choć wszyscy słuchali go spokojnie. Virginia zdradzała szczególne zainteresowanie, tak, że aż twarz jej płonęła. Wyglądało tak, jakby ona myślała właśnie o tem samem, co Norman miał teraz poruszyć.

—Tym czynnikiem jest element chrześcijański Raymondu. Powiedzmy, że News poniosły ciężką stratę wskutek odpadnięcia tych, którym nie zależy na chrześcijańskim dzienniku, jakoteż innych, uważających pismo po prostu jako dostawcę wszelkich rozrywek—a teraz, czy jest w Raymondzie dostateczna ilość rzetelnych chrześcijan, którzy pospieszą poprze[illegible]pismo takie, jakieby prawdopodobnie i Chrystus [illegible]dagował, albo czy zwyczaje ludzi tak są usta-

lone w kierunku pożądania zwyczajnego typu dziennikarskiego, że nie wezmą do ręki pisma, chyba że jest w znacznym stopniu pozbawione chrześcijańskiego i etycznego celu? Na tem poufnem zgromadzeniu mogę też oświadczyć, że dzięki komplikacyom w moich interesach niezależnych od pisma, zniewolony byłem stracić znaczną część mego majątku. Musiałem zastosować tę samą zasadę prawdopodobnego zachowania się Chrystusa do pewnych transakcyi z innymi którzy się tej zasady trzymać nie chcieli, wskutek czego straciłem dużo pieniędzy. O ile rozumiem nasz ślub, nie mamy stawiać nigdy pytania, czy się coś opłaci, lecz musimy oprzeć całe nasze postępowanie na pytaniu: "Jakby Chrystus postąpił." Opierając swoje działanie na tej podstawie byłem zniewolony stracić wszystkie prawie moje pieniądze, jakie zgromadziłem w piśmie. Nie potrzebuję wchodzić w szczegóły. Co do mnie, to po trzech tygodniach doświadczenia jestem przekonany, że wielu ludzi musiałoby stracić znaczne sumy pieniężne przy dzisiejszym systemie prowadzenia interesów, gdyby miano uczciwie trzymać się tej zasady Chrystusa. Wspominam o mej stracie tutaj dlatego, ponieważ żywię silną nadzieję w ostateczne powodzenie pisma codziennego, prowadzonego w dopiero co wyłożony sposób, to też postanowiłem poświęcić cały swój majątek dla osiągnięcia tego powodzenia. Jak sprawa dziś stoi, to nie będę w stanie prowadzić pisma w obecny sposób, chyba że chrześcijanie Raymondu, członkowie kościoła i wyznawcy moralności, zechcą poprzeć pismo finansowo.

Virginia postawiła jedno pytanie. Słuchała ona

wyznania Normana z niesłychaną uwagą.

—Czy sądzisz pan, że chrześcijański dziennik powinien otrzymać znaczniejsze wsparcie pieniężne na wzór chrześcijańskiego kollegium, aby módz w ten sposób egzystować?

—To jest właśnie moje zdanie. Ułożyłem plan pomieszczenia w piśmie takiej rozmaitości materyału. w taki interesujący sposób, że wynagrodzę z nadwyżką to, co wyrzuciłem ze szpalt jako rzeczy niechrześcijańskie. Ale przeprowadzenie mego planu wymaga wielkiej ilości pieniędzy. Jestem pewien, że dziennik chrześcijański, jakiby Chrystus pochwalił, zawierający to tylko, co Onby pomieścił, może mieć finansowe powodzenie, jeżeli tylko zostanie właściwie poprowadzony. Ale do przeprowadzenia tego planu trzeba dużo pieniędzy.

—Ile, jak się panu zdaje?—spytała Virginia spokojnie.

Edward Norman spojrzał na nią badawczo, a twarz jego oblał na chwilę rumieniec, gdy myśl o zamiarach Virginii przeszła mu przez głowę. Znał ją od małej dziewczynki, a z ojcem jej pozostawał w ścisłych stosunkach materyalnych.

—Około pół miliona dolarów w mieście takiem jak Raymond mogłoby wystarczyć na prowadzenie pisma, o jakiem myślę—odparł redaktor.

Głos jego zadrżał nieco z radości na myśl o owocach, jakieby mógł w danym razie osiągnąć jako dziennikarz.

—W takim razie—rzekła Virginia, mówiąc tak, jakby rzecz zupełnie już rozważyła—ja jestem gotowa włożyć w pismo tę sumę pieniędzy pod jednym

warunkiem, oczywiście, że będzie dalej tak samo prowadzone jak do tej pory.

—Bogu dzięki—zawołał Henryk Maxwell.

Edward Norman zbladł, reszta patrzyła na Virginię, która miała jeszcze coś więcej do powiedzenia.

—Moi drodzy przyjaciele—ciągnęła—w głosie jej przebijał się smutek, czyniący na słuchaczach wrażenie, które się pogłębiało w miarę rozmyślania nad niem—nie życzę sobie, aby ktokolwiekbądź z was przypisał mi czyn szlachetny lub filantropijny. Przyszłam ostatniemi czasy do przekonania, że pieniądze, które uważałem za własne, nie należą do mnie, lecz do Boga. Jeżeli więc ja, jako Jego sługa, widzę sposób rozumnego zużytkowania Jego pieniędzy, to nie zasługuję z niczyjej strony na pochwałę lub podziękowanie z powodu, żem okazała się uczciwą w administracyi funduszów, których On mi polecił używać na Jego chwałę. Rozmyślałam sama nad tym planem od jakiegoś czasu. Faktem jest, kochani przyjaciele, że w zbliżającej się walce ze zwolennikami alkoholu w Raymondzie—będziemy potrzebowali poparcia ze strony pisma The News. Wiemy, że wszystkie inne pisma będą po stronie szynków. Jak długo szynk istnieje, praca ratowania dusz ginących w czworoboku prowadzi się w niekorzystnych warunkach. Cóż może Mr. Gray osiągnąć swymi mityngami, skoro połowa przez niego nawróconych pije, kuszona codzień na każdym rogu przez obrzydłą knajpę? Chrześcijański dziennik musimy mieć koniecznie. Dopuścić do upadku The News znaczyłoby poddanie się nieprzyjacielowi. Pokładam wielkie zaufanie w zdolnościach p. Normana. Nie znam jego

planów, ale ufam, że pismo powiedzie się, byle było prowadzone na dostatecznie dużą skalę. Nie wierzę, aby chrześcijańska zdolność była w dziennikarstwie gorsza od niechrześcijańskiej, nawet jeżeli chodzi o to, żeby się pismo opłaciło finansowo. To więc jest powodem włożenia pieniędzy—boskich a nie moich—w ten potężny czynnik, mający działać na wzór Chrystusa. Jeżeli uda się nam prowadzić takie pismo przez rok, godzę się na użycie tej sumy pieniężnej na przeprowadzenie doświadczenia. Nie dziękujcie mi, nie uważajcie mego przyrzeczenia za coś nadzwyczajnego. Cóż bowiem czyniłam dotąd z boskimi pieniądzmi poza zaspokajaniem mych własnych samolubnych, cielesnych, osobistych pragnień? Cóż mogę uczynić z resztą, jeżeli nie starać się o zadośćuczynienie za skradzione Bogu pieniądze? Oto sposób w jaki się na to obecnie zapatruję, bo wierzę, że Chrystus takby właśnie postąpił.

Nad salą odczytową dała się czuć niewidzialna obecność Ducha Bożego. Wszyscy milczeli przez chwilę. Henryk Maxwell stojąc tam, dokąd zwróciły się spojrzenia wszystkich obecnych czuł to samo, czego doznawał już poprzednio—to jest powrotu dziewiętnastego stulecia ku pierwszemu, kiedy to uczniowie posiadali wszystko wspólnie, a kiedy wiał między nimi duch, jakiego członkowie Pierwszego kościoła nigdy nie znali. Do jakiegóż to stopnia członkowie jego kościoła poczuwali się do wspólności interesów życia codziennego przedtem, nim ta mała grupa nie postanowiła czynić tak, jakby czynił Chrystus? Z trudnością mógł myśleć o obecnym wieku i jego warunkach. Ta sama myśl zajmowała i resztę obec-

nych. W sali zapanowało nieznane przedtem uczucie kamraderyi, którego doznawali tak samo podczas przemówienia Virginii jakoteż—podczas następnego milczenia. Gdyby ktokolwiek chciał je definiować, byłby to zapewne uczynił w takiej mniej więcej formie: "Jeżeli wskutek posłuszeństwa memu przyrzeczeniu narażę się w świecie na stratę lub zmartwienie, to mogę polegać na rzetelnej, praktycznej sympatyi i wspólności każdego chrześcijanina w tej izbie, który uczynił ze mną te sam ślub postępowania według zasady: "Jakby Chrystus postąpił?"

Wszystko to wyrażała dokładnie ta duchowa fala; wywierała ona taki sam wpływ, jaki na pierwszych uczni mógł mieć cud materyalny, dając im zaufanie w Panu, który pomógł im znieść straty i męczeństwo odważnie a nawet radośnie.

Nim się tym razem rozeszli nastąpiło jeszcze kilka wyznań w rodzaju Normana. Kilku młodych ludzi objaśniło o utracie posad dzięki posłuszeństwu uczynionemu ślubowi. Aleksander Powers objaśnił pokrótce fakt, że komisya przyrzekła zająć się sprawą w najbliższym terminie, on zaś zajmował się znowu telegrafowaniem, jak dawniej. Od czasu jego podziękowania za posadę ani jego żona ani córka nie pokazywały się w towarzystwie. Nikt tak gorzko jak on sam nie odczuwał tego niezrozumienia jego pobudek. Wielu uczni obecnych na mityngu miało takie same zmartwienia. To były jednak sprawy, o których nie mogli mówić. Henryk Maxwell wskutek znajomości swych ludzi mógł wiedzieć na pewne, że posłuszeństwo uczynionemu ślubowi, wywołało w sercach rodzin zanik sympatyi, a nawet zrodziło nie-

przyjaźń i nienawiść. Zaiste "wrogami człowieka są jego właśni domownicy," gdy jedni słuchają Chrystusa, a drudzy nie, Chrystus jest wielkim kierownikiem życia, albo trzeba iść równolegle z Nim, albo też całkiem w poprzek Jego ścieżki.

Lecz więcej od jakiegokolwiek innego uczucia wzmagała się fala jedności wśród uczestników mityngu. Henryk Maxwell patrzył na to, pragnąc dożyć najwyższego tej fali wzniesienia, na co atoli czas jeszcze nie nadszedł; a gdy nadejdzie, dokąd ich ten nastrój zaprowadzi; myśl o tem nabawiała go strachu. Pilnie studyował on wpływ, uczynionego ślubu na życie tych różnych ludzi. Wyniki tego wpływu odczuwało się już w całem mieście. Któż był zdolen przewidzieć stan rzeczy przy końcu roku?

Jednym praktycznym wynikiem tej wspólności było zapewnienie poparcia, otrzymane przez Normana. Po skończonym mityngu otoczono go ze wszech stron, ponieważ ta mała grupka ludzi rozumiała doskonale jego apel do chrześcijańskich obywateli Raymondu. Wartość takiego pisma w ogniskach domowych i poparcie przez niego dodatnich uczuć obywatelskich, były zwłaszcza w obecnym kryzysie nieocenione. Należało obecnie tylko przekonać się, co można zrobić wobec uzyskanych na prowadzenie pisma środków. Ale ustawicznie jeszcze, jak Edward Norman twierdził, było prawdą, że sam pieniądz nie mógł uczynić pisma potęgą. Potrzebowało ono jeszcze sympatyi i poparcia prawdziwych chrześcijan Raymondu, aby można The News zaliczyć do ważnych czynników w chrześcijańskiem życiu miasta.

Tydzień, który nastąpił po tym mityngu niedziel

nym, był czasem wielkiego podniecenia w Raymondzie, był to bowiem czas wyborów. Donald Marsh, wierny przyrzeczeniu, wziął swój krzyż i dźwigał go po męsku, chociaż z wstrętem, z jękiem a nawet łzami, gdyż w grę weszły jego najgłębsze przekonania, on zaś sam zmuszony był wyrwać się ze swej wieloletniej ciszy uczonego z bólem i cierpieniem, które go więcej kosztowały, niż cokolwiek innego, co do tej pory uczynił jako zwolennik Chrystusa. Razem z nim szło kilku profesorów kollegialnych, którzy także uczynili ślub w Pierwszym kościele. Ich doświadczenia i cierpienia były te same co i prezydenta; ponieważ w taki sam sposób zaniedbywali swe obowiązki obywatelskie. To samo odnosiło się też i do Henryka Maxwella, który zanurzył się w tę walkę przeciwko wódce, oraz jej zwolennikom z uczuciem obawy przed spotkaniem i utarczką. Nigdy bowiem nie miał takiego krzyża. Chwiał się pod nim, a w krótkich przerwach, w których wycofywał się z walki, szukając wytchnienia w ciszy swego gabinetu, pot występował mu na czoło z obawy przed niewidzianemi i znieznanemi straszydłami. Patrząc potem poza siebie, zdumiony był swem doświadczeniem. Nie był tchórzem, a mimo to doznawał obawy, jaką czuje każdy człowiek jego zwyczajów, gdy się nagle znajdzie wobec obowiązków, wymagających wykonywania pewnych rzeczy tak mu obcych, że szczegóły roboty zdradzają ignorancyą i napełniają go wstydem, oraz upokorzeniem.

Gdy nadeszła sobota, to jest dzień wyborów, wzburzenie dosięgło szczytu. Usiłowano zamknąć wszystkie szynki. Rzecz udała się częściowo. Ale

mimo to pito obficie przez cały dzień. Czworobok kipiał, kotłował się, przeklinał i wystawiał swe najgorsze strony na widok miasta. Gray prowadził swoje mityngi w ciągu tygodnia, a skutki przeszły nawet jego najśmielsze nadzieje. Gdy nadeszła sobota, zdawało mu się, że nastąpił też i kryzys w jego pracy. Duch św. i szatan rumu stanęli do rozpaczliwej walki. Większemu zainteresowaniu się mityngami odpowiadało większe zdziczenie poza namiotem. Szynkarze nie ukrywali dłużej swych uczuć. Posypały się jawnie groźby gwałtu. Raz w ciągu tygodnia Gray i garstka jego pomocników zostali obrzuceni różnego rodzaju pociskami przy opuszczeniu namiotu późnym wieczorem. Policya wysłała specyalną straż. Virginia zaś i Rachela były zawsze pod opieką Rollina i Dr. Westa. Siła śpiewu Racheli nie zmniejszyła się, raczej rosła i potężniała z każdym mityngiem.

Z początku Gray wahał się czy odbywać mityng tego wieczora. Posiadał atoli bardzo prostą zasadę postępowania, której zawsze się trzymał. Duch zdawał się nakłaniać do kontynuowania mityngów, wskutek tego zebranie sobotnie odbyło się jak zwykle.

Wzburzenie w całem mieście dosięgło szczytu, gdy urny wyborcze zostały zamknięte o szóstej. Nigdy jeszcze nie było w Raymondzie takiej walki. Sprawa konsensu lub jego zniesienia nie była nigdy rozstrzygana wśród takich okoliczności. Nigdy bowiem przedtem nie stanęły naprzeciwko siebie takie żywioły miejskie. Było rzeczą niesłychaną, żeby prezydent Kollegium Lincolna, proboszcz Pierwszego kościoła, dziekan katedralny, ludzie zawodowi, zamieszkujący

piękne domy na bulwarach, przybyli osobiście do swych dzielnic i starali się swą obecnością i przykładem poprzeć usiłowania chrześcijańskie. Politycy dzielnicowi byli zdumieni tym widokiem. Ale zdumienie wcale nie odebrało im rzutkości. Walka stawała się z każdą chwilą gorętszą; gdy szósta uderzyła, żadna strona nie miała pojęcia, jaki będzie rezultat. Każdy godził się, że nigdy dotąd nie było takich wyborów w Raymondzie i obie strony oczekiwały ogłoszenia wyników z największem zainteresowaniem.

Mityng w namiocie skończył się dopiero po dziesiątej. Był to dziwny, a pod pewnym względem i zdumiewający mityng. Henryk Maxwell stawił się znowu na życzenie Graya. Był on całkiem wyczerpany pracą dnia, lecz apel Graya przyszedł w takiej formie, że nie mógł mu odmówić. Donald Marsh, był też obecnym. Nie widział nigdy czworoboku, a ciekawość jego podnieciły wyniki misyonarza, jakie osiągnął w najgorszej części miasta. Dr. West i Rollin przyszli z Rachelą i Virginią; a Loreena, mieszkająca u Virginii, umieściła się blizko organu, trzeźwa, pokorna i trzymająca się Virginii jak pies. Przez cały czas służby Loreena siedziała ze spuszczoną głową, płacząc przez jakiś czas, łkając, gdy Rachela zaśpiewała: "Byłam zbłąkaną owcą," trzymając się z widocznem, niemal dotykalnem utęsknieniem jedynej nadziei, jaką znalazła, słuchając modlitw i wezwań i wyznań wokoło siebie jak ktoś, co jest częścią nowego świata, a jednak obawia się wziąć w nim pełnego udziału.

Namiot był natłoczony. Na zewnątrz namiotu zaś

panowało zamieszanie, które rosło z postępem wieczoru, a Gray uważał za rozsądną, nie przedłużać służby Bożej. Coraz wpadały do namiotu okrzyki tłumu. Zaczęto otrzymywać wiadomości wyborcze, a wszystkie domy, nory i jaskinie czworoboku, wysypały swych mieszkańców na ulicę.

Pomimo niepokoju śpiew Racheli wstrzymał tłum w namiocie od rozsypania się. Tym razem nastąpiło około dwanaście nawróceń się. Wreszcie tłum stawał się niecierpliwy, a Gray zakończył służbę Bożą, zatrzymując się na chwilę z nawróconymi.

Rachela, Virginia, Loreena, Rollin i doktór, prezydent Marsh i Henryk Maxwell, wyszli razem, z zamiarem udania się jak zwykle do stacyi tramwajowej. Wyszedłszy z namiotu zrozumieli odrazu, że czworobok znajdował się w chwili wybuchu pijackiego szału, a gdy się przeciskali przez gromadzący się na wązkich ulicach motłoch, zauważyli, że sami byli przedmiotem wielkiej uwagi.

—Macie go, tego faceta w wysokim kapeluszu; on jest przywódcą!—zawołał ochrypły głos.

Prezydent Marsh odznaczał się w małej grupce prostą, imponującą postawą.

—Jak poszły wybory? Jeszcze za wcześnie na ogłoszenie wyroku co?—zapytał głośno, a ktoś odparł: —powiadają, że druga i trzecia dzielnica głosowały niemal solidarnie przeciw konsensom. Jeżeli tak jest istotnie, przyjaciele wódki zostali pobici.

—Bogu dzięki! Ufam, że tak jest—zawołał Henryk Maxwell.—Marsh, ale myśmy tu w niebezpieczeństwie. Czy rozumiesz nasze położenie? Musimy zaprowadzić panie do bezpiecznego miejsca.

—To prawda—rzekł Marsh poważnie.

W tejże chwili obsypał ich grad kamieni, oraz innych pocisków. Wązka ulica i chodnik były przed nimi całkowicie zatłoczone najgorszym żywiołem czworoboku.

—To wygląda poważnie—rzekł Maxwell.

Razem z Marshem, Rollinem i Dr. Westem zaczął iść naprzód przez mały otwór, Virginia zaś, Rachela i Loreena postępowały tuż za nimi pod ochroną mężczyzn, którzy zaczęli pojmować grożące niebezpieczeństwo. Czworobok był pijany i podrażniony. W Donaldzie, Marshu i Henryku Maxwellu widział on dwóch przywódców walki wyborczej, którzy pozbawili go może jego ulubionego szynku.

—Precz z arystokracyą—zawołał ostry głos, raczej kobiecy, niż męski.

Grad błota i kamieni powtórzył się. Rachela przypomniała sobie potem, że Rollin skoczył prosto przed nią i przyjął na głowę i piersi mnóstwo pocisków, które byłyby prawdopodobnie dosięgły jej, gdyby jej nie był sobą zasłonił.

Nim policya się zjawiła, Loreena przyskoczyła do boku Virginii, odpychając ją, poczem krzyknęła. Stało się to wszystko tak nagle, że nikt nie wiedział, skąd krzyk wyszedł. Z okna otwartego nad szynkiem, z którego tydzień przedtem wyszła Loreena, wyrzucił ktoś ciężką butelkę, która ugodziła Loreenę w głowę tak mocno, że upadła na ziemię. Virginia zawróciła na miejscu i uklękła przy niej. W tej chwili zjawili się też i urzędnicy policyjni.

Donald Marsh wzniósł dłoń i krzyknął przez ogłuszający hałas tłumu:

—Stójcie! Zabiliście kobietę!

—Stójcie! Zabiliście kobietę!

Wiadomość ta otrzeźwiła motłoch częściowo.

Czyż istotnie?

Henryk Maxwell pytał, gdy Dr. West ukląkł po drugiej stronie Loreeny, podtrzymując ją.

Umiera—rzekł Dr. West krótko.

Loreena otwarła oczy i uśmiechnęła się do Virginii, która otarła krew z jej twarzy, potem nachyliła się nad nią i pocałowała. Loreena uśmiechnęła się znowu, a za chwilę dusza jej była w raju.

A jednak jest to zaledwie jedna kobieta z tysięcy, uśmiercanych przez tego szatana gorzałki. Precz teraz wy mężczyźni i kobiety z tej brudnej ulicy! Dozwólcie przenieść te szanowne śmiertelne szczątki przez wasze ogłupiałe, ale wytrzeźwione na chwilę szeregi. Było to jedno z waszych własnych dzieci. Czworobok wycisnął na niej piętno bydlęcia. Dziękujcie Temu, który zmarł za grzeszniki, że obraz odrodzonej duszy wyziera z tej bladej gliny! Precz tłumie! Miejsca! Przepuśćcie ją z szacunkiem, otoczoną, płaczącą i przerażoną grupą chrześcijan! Wyście ją zabili, pijani mordercy! A jednakże, o chrześcijańska Ameryko! Któż zabił tę kobietę? Stójcie! Milczcie! Zabito kobietę! Kogo? Loreenę, dziecko ulicy. Biedną, pijaną, nędzną grzesznicę! O Boże, dokądże jeszcze? Tak. Szynk ją zabił, czyli chrześcijanie Ameryki, głosujący za konsensem na szynki. Tylko Sąd ostateczny rozstrzygnie, kto był właściwie mordercą Loreeny.

ROZDZIAŁ VII.

Ten, który pójdzie za Mną nie będzie kroczył w ciemności.

Ciało Lorecny leżało na katafalku w rezydencyi panny Page na Avenue. Było to w niedzielę rano, a czyste orzeźwiające powietrze, roznoszące właśnie ponad miastem woń rozwierających się pęków kwiatowych wśród lasów i pól, przepłynęło ponad trumną z otwartego okna w końcu wielkiej sali. Dzwony kościelne dzwoniły, a ludzie przechodzący przez Avenue na służbę Bożą zwracali ciekawie badawczy wzrok na wielki dom i szli dalej, rozprawiając o świeżych wypadkach, które tak dziwnie zaczęły kształtować dzieje miasta.

W Pierwszym kościele Henryk Maxwell ze śladami wzruszenia, doznanego poprzedniego wieczoru, stanął wobec ogromnej kongregacyi, przemawiając do niej z uczuciem i siłą, płynącą naturalnie z głębokich doświadczeń poprzedniego dnia, tak że słuchacze doznawali z jego powodu pewnego uczucia dumy, jakie w nich ongi wywoływały jego dramatyczność. Przez ciąg całej służby Bożej brzmiała nuta smutku i nagany i surowego potępienia, od którego wielu członków kongregacyi bladło, już to oskarżając siebie samych, już też gniewając się na siebie.

Raymond bowiem dowiedział się tego ranka, że miasto pomimo wszystko oświadczyło się za koncesyą szynkową. Pogłoska, która kursowała po czworoboku, że druga i trzecia dzielnica głosowały przeciwko szyn-

kom, okazała się fałszywą. Prawda, że zwycięstwo odniesiono przy pomocy bardzo małej większości. Ale rezultat był taki sam, jak gdyby większość była olbrzymia. Raymond uchwalił kontynuować szynki przez jeden rok jeszcze. Wynik ten był wyrokiem potępienia na chrześcijan Raymondu. Więcej niż stu chrześcijan, uważających się za uczniów, nie poszło do urny wyborczej, a więcej niż stu głosowało razem z szynkarzami. Gdyby wszyscy członkowie kościołów w Raymondzie byli głosowali przeciwko knajpom, byłyby one dziś zdetronizowane, zamiast dalej królować w całej gminie. To bowiem było od lat faktem w Raymondzie; szynk rządził. Nikt tego nie zaprzeczał. Jakby Chrystus postąpił? A cóż powiedzieć o kobiecie, co została tak brutalnie powalona o ziemię przez tę samą dłoń, która przyczyniła się tak do jej ziemskiej ruiny? Czyż fakt ten był czemś więcej, niż logicznem następstwem całego strasznego systemu konsensów, wskutek czego szynk, który przyjmował ją często i osłaniał jej poniżenie, z którego wypadł pocisk, co ją uśmiercił, otworzy jutro swe podwoje, poparty chrześcijańskimi głosami Raymondu, aby skazać na doczesną i wieczną zgubę sto Loreen, nim rok dobiegnie swego krwawego kresu.

Wszystko to wyrzucił z siebie Henryk Maxwell tego ranka niedzielnego na swych słuchaczy i to głosem, który dźwięczał i drżał i łamał się w łkaniach bólu, sprawionego ujemnym wynikiem głosowania. Mężczyzni i kobiety płakali pod wpływem jego słów. Donald Marsh był obecny, lecz jego miły zazwyczaj i pewny siebie sposób trzymania się zniknął całkowicie; głowa zwisła mu na piersi; wielkie łzy toczyły się po

policzkach, choć nigdy przedtem nie okazywał publicznie wewnętrznego wzruszenia. Tuż obok siedział Edward Norman prosto, ale wargi jego drżały, a ręce chwytały kurczowo krawędź ławki pod wpływem wzruszenia, jakie w nim wywoływały słowa Maxwella. Nikt więcej niż Norman nie ofiarował i nie wycierpiał ubiegłego tygodnia dla wywarcia wpływu na opinię publiczną. Myśl, że sumienie chrześcijańskie zostało rozbudzone za późno lub za słabo ciężyła jak ołów na sercu redaktora. Gdyby był zaczął iść za wzorem Chrystusa od dawna? Któż wie, coby się było dało przez ten czas osiągnąć. Tam na chórze Rachela Winslow z głową zwieszoną nad dębową baryerą oddała się uczuciu, któremu nie pozwoliła się jeszcze opanować; lecz mimo to uległa takiemu rozdraźnieniu, iż gdy Henryk Maxwell skończył, o ona wstała do zaśpiewania końcowego solo po modlitwie, głos jej odmówił i po raz pierwszy w życiu była zniewolona usiąść i płakać zamiast śpiewać.

W całym kościele rozległo się łkanie i płacz wśród ciszy, wywołanej tą dziwną sceną. Kiedyż to Pierwszy kościół poddał się takiemu chrztowi łez? Cóż się stało z tym regularnym, ścisłym, zimnym, konwencyonalnym porządkiem służby Bożej, niezakłóconej żadnem wulgarnem wzruszeniem, niezamąconej żadnem niedorzecznem wzburzeniem? Lecz w ostatnich czasach najgłębsze przekonania ludzi uległy zmianie. Tak długo żyli swemi powierzchownemi uczuciami, że zupełnie zapomnieli o głębszych źródłach życia. Teraz zaś, gdy te źródła wytrysnęły na powierzchnię, wszyscy pojęli znaczenie swego uczennictwa.

Henryk Maxwell nie prosił tym razem ochotników,

aby się przyłączyli do tych, co już postanowili wstępować w ślady Chrystusa. Lecz gdy się nareszcie kongregacya rozeszła, a on wszedł do sali odczytowej, wystarczył mu tylko jeden rzut oka na to, aby się przekonać, że pierwotna liczba zwolenników znacznie wzrosła. Zebranie było ciepłe, promieniało obecnością Ducha i dyszało silnem, oraz trwałem postanowieniem rozpoczęcia wojny z żywiołami szynkowymi w Raymondzie dla zniesienia ich panowania. Od owej niedzieli, kiedy to po raz pierwszy kompania ochotników ślubowała postępować śladami Chrystusa, różne mityngi odznaczały się ściśle określonymi impulsami lub impresyami. Dzisiaj cała siła zgromadzenia zdawała się być skierowana w stronę tego jednego wielkiego celu. Było to zebranie pełne przerywanych modlitw, skruchy, wyznań, dziwnej tęsknoty za lepszem życiem miejskiem. A po przez to wszystko przedzierało się jedno ogólne wołanie o uwolnienie od knajpy i jej strasznej klątwy.

Ale jeżeli Pierwszy kościół był mocno wzburzony wypadkami ubiegłego tygodnia, to czworobok czuł się też mocno wzruszony na swój sposób. Śmierć Loreeny nie była sama w sobie tak wybitnym faktem. Świeża jej znajomość z ludźmi z miasta wyniosła ją na specyalne stanowisko i nadała jej śmierci więcej niż zwykłego znaczenia. Każdy w czworoboku wiedział, że Loreena w tejże chwili znajdowała się w rezydencyi panny Page na Avenue. Przesadzone wieści o wspaniałości trumny dostarczyły obfitego materyału do plotek. Czworobok pragnął dowiedzieć się szczegółów pogrzebu. Czy będzie publiczny? Co zamierzała uczynić miss Page? Czworobok nigdy jeszcze nie

zmieszał się nawet w tak odlegle osobisty sposób z arystokracyą bulwarową. Sposobność potemu nie nadarzała się często. Gray i jego żona byli zasypywani pytaniami o tem, co przyjaciele i znajomi Loreeny zamierzają uczynić z okazyi ostatniej posługi. Gdyż znajomości jej były liczne, a wielu ze świeżo nawróconych liczyło się do jej przyjaciół.

Temu to należy zawdzięczać, że w poniedziałek popołudniu, w namiocie nabożeństwo żałobne za Loreenę odbyło się wobec bardzo licznego audytoryum, wypełniającego namiot po brzegi, przekraczającego rozmiary poprzednich zebrań. Gray udał się do Virginii, a po konferencyi z nią i Henrykiem Maxwellem cały plan został ułożony.

—Jestem i byłem zawsze przeciwnikiem wielkich pogrzebów publicznych—rzekł Gray, którego zupełna prostota charakteru była jednem z wielkich źródeł siły—ale wołanie nieszczęsnych stworzeń, które znały Loreenę, tak jest poważne, że nie wiem jakbym mógł odmówić ich życzeniu widzenia jej i oddania jej biednym zwłokom ostatniej skromnej posługi. Co myślisz o tem, panie Maxwell? Pański sąd będzie kierował mną w tej sprawie. Jestem pewien, że co pan i miss Page uznają za najlepsze będzie istotnie słuszne.

—Ja jestem tego samego co i pan zdania—odparł mr. Maxwell.—Najczęściej żywię niechęć do ostentacyi wśród takich okoliczności. Ale tym razem położenie jest odmienne. Mieszkańcy czworoboku nie stawią się tu na służbę Bożą. Zdaje mi się, że postąpimy sobie najbardziej po chrześcijańsku, jeżeli urządzimy służbę Bożą w namiocie. Czy nie takie twoje zdanie, Virginio?

—Owszem—rzekła Virginia ze smutkiem.—Biedaczka! Wszakże ona niewątpliwie swojem życiem okupiła moje. Nie użyjemy niewątpliwie tej sposobności do wulgarnej ostentacyi. Pozwólmy jej przyjaciołom zaspokoić swoje życzenia. Nie widzę w tem nic złego.

Z pewnemi trudnościami urządzono służbę Bożą w namiocie; Virginia z wujem i Rollinem w towarzystwie Maxwella, Racheli, prezydenta Marsha i kwartetu z Pierwszego kościoła, udała się do namiotu dla zobaczenia jednej z najdziwaczniejszych scen swego życia.

Zdarzyło się właśnie, że tego dnia znany korespondent do pism przejeżdżał przez Raymond na zjazd dziennikarski w jednem z miast sąsiednich. Posłyszał i zapowiedzianej służbie Bożej w namiocie, na którą też przybył tego popołudnia. Opis obrzędu, oddany przez niego żywym i barwnym stylem, zwrócił na siebie uwagę wielu czytelników następnego dnia. Część tegóż opisu należy do przedstawianej tu historyi Raymondu.

—Jedyna w swoim rodzaju i niezwykła służba Boża odbyła się dziś popołudniu w namiocie pewnego misyonarza, wiel. Johna Graya, znajdującego się w biednej dzielnicy, zwanej "Czworobokiem." Rzecz została wywołana zabiciem kobiety podczas rozruchów wyborczych, zaszłych zeszłej soboty wieczorem. Zdaje się, że została ona świeżo nawrócona w czasie mityngów i zabita w powrócie z jednego takiego mityngu w towarzystwie innych nawróconych, oraz kilku przyjaciół. Była to zwykła pijaczka uliczna, a jednak służba Boża w namiocie czyniła takie same

wrażenie jak służby miane w kościele metropolitalnym dla najwytworniejszych obywateli.

Przedewszystkiem wyćwiczony chór odśpiewał wyborną antyfonę. Jako obcego w tej miejscowości uderzył niepomiernie fakt usłyszenia na podobnym mityngu głosów, które zwykle słyszy się tylko w wielkich kościołach lub na koncertach. Najosobliwszą częścią muzyki było solo, śpiewane przez uderzająco piękną i młodą kobietę, miss Winslow, która, jeżeli sobie dobrze przypominam, jest właśnie tą młodą śpiewaczką, której poszukiwał Corandal, dyrektor "Opery narodowej" i która z jakichś powodów odmówiła wstąpienia na scenę. Odznacza się ona zdumiewającym sposobem śpiewania, tak że wszyscy się popłakali, zanim kilka słów odśpiewała. To oczywiście nie jest wcale tak osobliwym efektem na mszy żałobnej, ale głos jest niewątpliwie rzadkiem zjawiskiem. O ile wiem miss Winslow śpiewa w Pierwszym kościele i mogłaby jako śpiewaczka uzyskać na scenie czy na estradzie niemal każdą cenę. Wkrótce zapewne usłyszymy ją. Taki głos może wszędzie liczyć na powodzenie.

Abstrahując od śpiewu służba Boża była bardzo osobliwa. Misyonarz, człowiek pozornie bardzo prosty i bezpretensyonalny, przemówił kilka słów, poczem wystąpił bardzo wytworny mężczyzna, wiel. Henryk Maxwell, z kościoła w Raymond. Mr. Maxwell mówił o tem, że nieboszczka była zupełnie przygotowana do odejścia i podniósł w szczególniej uderzający sposób wpływ, jaki wywiera alkohol na życie mężczyzn i kobiet jej podobnych. Raymond jako stacya kolei żelaznej, oraz ognisko wielkich interesów przewozowych

tej okolicy, posiada mnóstwo knajp. Z uwag duchownego wywnioskowałem, że świeżo dopiero zmienił swoje stanowisko w sprawie koncesyi. Wygłosił on niewątpliwie bardzo osobliwe a jednak bynajmniej nie niewłaściwe przemówienie pogrzebowe.

Teraz nastąpiła dziwaczna część tej osobliwej służby Bożej. Kobiety znajdujące się w namiocie, a przynajmniej znaczna ich część, stojąca przy trumnie, zaczęła śpiewać miękkim, płaczliwym tonem: "Byłam błądzącą owcą."

Dalej podczas śpiewu jeden szereg kobiet powstał i przesunął się koło trumny, a każda przechodząc, złożyła na niej kwiat. Gdy ten szereg usiadł, podniósł się drugi czyniąc to samo. Przez cały czas delikatny śpiew nie ustawał ani na chwilę. Był to najprostszy a zarazem najbardziej wzruszający widok, jaki kiedykolwiek widziałem. Boki namiotu podniesiono, a setki narodu, które nie mogły się zmieścić wewnątrz, stały nazewnątrz pogrążone w śmiertelnej ciszy, dziwnym smutku i niezwykłym u takich surowych ludzi uroczystym nastroju. Musiały tam być setki owych kobiet, a wiele z nich, jak mnie objaśniono, nawróciło się właśnie podczas tego mityngu. Nie umiem opisać efektu tego śpiewu. Ani jeden mężczyzna nie śpiewał. Były to wszystko głosy kobiece, miękkie a jednakże tak wyraźne, że wrażenie było uderzające.

Służbę Bożą zakończyło drugie solo miss Winslow, która zaśpiewała: "Było ich dziewięćdziesiąt dziewięć." Wtedy misyonarz wezwał wszystkich do pochylenia głów podczas swojej modlitwy. Aby się nie spóźnić na pociąg musiałem wyjść podczas modlitwy, a kiedy pociąg mijał warsztaty, ostatnia scena, jaką

widziałem, to był widok ogromnego tłumu, wylewającego się z namiotu i tworzącego otwarty szpaler, przez który sześć kobiet wyniosło trumnę. Dawno już nie widziałem takiego obrazu w naszej niepoetycznej rzeczpospolitej.

Jeżeli pogrzeb Loreeny sprawił takie silne wrażenie na obcym, to nie trudno wyobrazić sobie głębokie uczucie tych, którzy tak ściśle byli związani z jej życiem i śmiercią. Nic jeszcze nie wzruszyło czworoboku tak bardzo jak ciało Loreeny w trumnie. Duch św. zdawał się błogosławić w szczególniejszy sposób znaczenie martwego ciała. Tego bowiem właśnie wieczora zyskał przeszło dwadzieścia dusz, przeważnie kobiecych dla owczarni dobrego Pasterza.

Należałoby w tem miejscu zaznaczyć, że twierdzenie Henryka Maxwella odnośnie do otworzenia knajpy, z której okien Loreena została zabita, sprawdziło się niemal dosłownie. Była ona formalnie zamknięta w poniedziałek i wtorek, kiedy władza aresztowała właściciela, oskarżonego o zabójstwo. Ale nie można było nikomu niczego dowieść, to też przed sobotą tego jeszcze tygodnia knajpa została otwarta jak zwykle. Nikt ze śmiertelnych nie został skazany przez ziemskie sądy za zabójstwo Loreeny.

Nikt w całym Raymondzie, nie wyłączając czworoboku, nie czuł śmierci Loreeny tak bardzo jak Virginia. Odczuła ją bowiem jak gdyby stratę osobistą. Ten krótki tydzień, który Loreena spędziła u niej w domu, odkrył przed sercem Virginii nowe życie. Na drugi dzień po pogrzebie mówiła o tem z Rachelą. Siedziały obie w sali rezydencyi Pageów.

—Muszę użyć swych pieniędzy na polepszenie życia tych kobiet.

Virginia rzuciła okiem na koniec sali, gdzie dniem przedtem leżało ciało Loreeny.

—Zdaje mi się, że zdecydowałam się na dobry plan. Omówiłam go z Rollinem. On też poświęci znaczną część swoich pieniędzy na ten cel.

—Ileż pieniędzy zamierzasz poświęcić w ten sposób?—spytała Rachela.

Dawniej nie byłaby nigdy spytała o kwestyę tak osobistą. Obecnie zdawało się jej rzeczą naturalną mówić tak samo swobodnie o pieniądzach, jak i o innych rzeczach do Boga należących.

—Mam do rozporządzenia co najmniej czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Rollin posiada drugie tyle. Czyni on sobie teraz gorzkie wyrzuty za to, że przed jego nawróceniem się ekstrawagantny sposób życia pochłonął mu połowę spuścizny po ojcu. Pragniemy oboje dać kompletne zadośćuczynienie. "Coby Chrystus uczynił z tym groszem?" Pragniemy odpowiedzieć na to pytanie uczciwie i mądrze. Pieniądze, które włożę w pismo The News, będą zapewnie użyte w myśl Chrystusa. Musimy mieć w Raymondzie chrześcijańskie pismo codzienne, zwłaszcza teraz, kiedy przyjdzie nam walczyć z wpływem knajpy, jak musimy mieć kościół lub kollegium. Jestem więc pewna, że pięćset tysięcy dolarów, których mr. Norman będzie umiał użyć, staną się w Raymondzie poważnym czynnikiem w myśl postępowania Chrystusa.

—Co do mego drugiego planu, to pragnę Rachelo, abyś zabrała się razem ze mną do pracy. Rollin i ja zamierzamy nabyć wielką część własności ziemskiej

w czworoboku. Pole, na którem stoi namiot, było od lat w procesie. Zamierzamy zapewnić dla siebie cały szmat jak skoro tylko sąd ustanowi prawo tytułu. Od jakiegoś czasu studyowałam różne formy osad szkolnych w sercu wielkich, nędznych dzielnic miejskich. Nie powiem, żebym już wiedziała, jaka byłaby najmądrzejsza i najskuteczniejsza praca w Raymondzie. Ale tyle wiem, że mój pieniądz (to jest pieniądz, który mi Bóg dał do użytkowania), może zbudować zdrowe domy mieszkalne, schronienia dla biednych kobiet, azyla dla dziewcząt sklepowych i wielu wielu tak zbłąkanych jak Loreena. Pragnę być jeno zarządcą tych pieniędzy. Boże, udziel mi swej pomocy! Ja się chcę sama zaprządz do pracy. Ale czy wiesz, Rachelo, że nieustannie doznaję takiego uczucia, iż wszystko to, co nieograniczone pieniądze i nieograniczona służba osobista jest w stanie dokonać, nie zmniejsza w istocie strasznego położenia czworoboku, jak długo knajpa ma tam swe prawne siedlisko. Sądzę, że to samo da się powiedzieć o każdej pracy chrześcijańskiej w jakiemkolwiek mieście. Knajpa dostarcza materyału, który należy ratować prędzej, niż kolonia czy praca misyjna jest w stanie uratować.

Virginia powstała nagle i zaczęła chodzić po sieni. Rachela odparła ze smutkiem, a jednak z nutą nadziei w głosie.

—To prawda. Lecz oh, Virginio! jaka to zdumiewająca ilość szczęścia i siły może się wydobyć z tych pieniędzy! A knajpa nie może trwać tu na zawsze. Nastanie czas, w którym chrześcijańskie siły miasta zatryumfują.

Virginia zatrzymała się obok Racheli, a jej blada,

poważna twarz zajaśniała.

—Ja też w to wierzę. Liczba tych, którzy ślubowali naśladować Chrysusa wzrasta. Z chwilą kiedy osiągniemy w Raymondzie liczbę pięciuset takich uczniów, knajpa zostanie zniesiona. Ale teraz, moja droga, chcę, abyś przyjrzała się swojej roli w planie ujęcia i zbawienia czworoboku. Głos twój jest potęgą. W ostatnich czasach wiele myśli przychodziło mi do głowy. Oto jedna z nich. Dla dziewcząt mogłabyś zorganizować instytut muzyczny. Udziel im dobrodziejstwa swojej instrukcyi. Wśród tych głosów jeszcze surowych znajdują się i wcale piękne. Któż kiedy słyszał taki śpiew jak tych kobiet wczoraj? Rachelo, co za pyszna sposobność! Ty będziesz miała najlepszą możność w kierunku organów i orkiestry jaką pieniądze mogą dostarczyć; a ileż da się osiągnąć zapomocą muzyki dla skłonienia ludzi do wyższego, lepszego i czystszego życia?

Zanim Virginia przestała mówić, twarz Racheli uległa zupełnej zmianie pod wpływem myśli o zadaniu życia. Płynęła, ona w jej serce i w jej umysł jak rzeka, a prąd uczucia wylewał się łzami, których nie mogła powstrzymać. Było to właśnie to samo, o czem sama już marzyła. Było to coś, co według jej poczucia stanowiło właściwe użycie jej talentu.

—Tak—rzekła, wstając i obejmując ramionami Virginię, z którą przechadzała się razem po sali pod wpływem silnego wzruszenia—tak, chętnie poświęcę swoje całe życie takiej pracy. Wierzę, że Chrystus pragnie, abym w ten sposób zużyła swe życie. O Virginio, jakichże to cudów zdołamy dokazać, mając za dźwignię pieniądze.

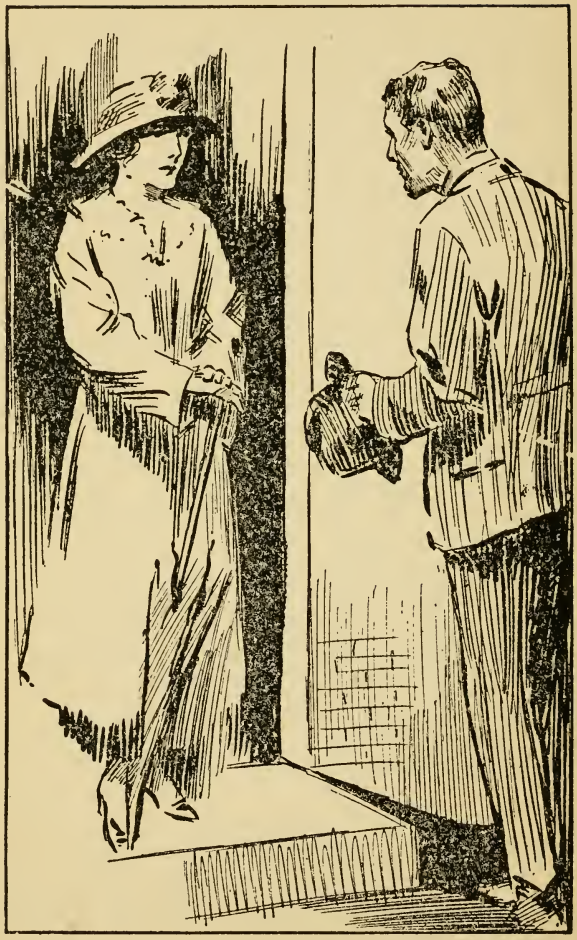

Zanim Rachela mogła odpowiedzieć, wszedł Rollin.

—Dodaj do tego święty zapał osobisty na wzór twego, a napewne da się osiągnąć wiele—rzekła Virginia z uśmiechem.

Zanim Rachela mogła odpowiedzieć, wszedł Rollin.

Zawahał się chwilę, i już wychodził ze sali do biblioteki, gdy Virginia zawołała go i postawiła kilka pytań, odnoszących się do jego pracy.

Rollin wrócił i usiadł, poczem we troje zaczęli roztrząsać swoje plany. Rollin był pozornie zupełnie wolny od zakłopotania w obecności Racheli, jak długo Virginia pozostawała razem z nimi. Tylko sposób zachowania się jego z nią był sztywny, jeżeli nie zimny. Przeszłość zdawała się zupełnie zatarta przez jego cudowne nawrócenie się. Nie zapomniał jej, ale chwilowo zdawał się być zupełnie pochłonięty nowym celem swego życia.

Po chwili wywołano Rollina, a Rachela i Virginia zaczęły mówić o innych rzeczach.

—Ale, ale, cóż się stało z Jasperem Chase?—Virginia zapytała całkiem niewinnie, ale Rachela zarumieniła się, poczem Virginia dodała z uśmiechem—Przypuszczam, że pisze nową książkę. Czy i w tej znajdzie się miejsce dla ciebie, Rachelo? Wiesz, iż zawsze podejrzywałem Jaspera Chase o umieszczenie ciebie w swej pierwszej powieści.

—Virginio!—Rachela mówiła z otwartością, jaka zawsze między dwiema przyjaciółkami panowała — Jasper powiedział mi onegdaj wieczór, a właściwie oświadczył mi się, albo byłby tak uczynił, gdybym.....

Rachela urwała i usiadła z rękami złożonemi na podołku, ze łzami w oczach.

—Virginio, niedawno zdawało mi się, że go ko-

cham, jak on kochał mnie. Ale gdy przemówił do mnie, serce moje uczuło wstręt i powiedziałam to, co powiedzieć musiałam. Powiedziałam mu: Nie. Od tej pory nie widziałam go. Było to pierwszego wieczora nawracań się w czworoboku.

—Cieszy mnie to rzekła Virginia spokojnie.

—Dlaczego?—spytała Rachela nieco zdziwiona.

—Ponieważ nigdy nie lubiłam Jaspera Chase. Jest on za zimny; nie chcę go sądzić, ale nie ufałam jego szczerości, gdy razem z innymi uczynił ślub w kościele.

Rachela spojrzała na Virginię w zamyśleniu.

—Jestem pewna, że mu nigdy nie dawałam swego serca. Dotknął mej strony emocyonalnej, a zresztą podziwiałam jego talent pisarski. Czasami zdawało mi się, że mi na nim wiele zależy. Zdaje mi się, że gdyby był przemówił do mnie każdej innej chwili, a nie tej, którą właśnie obrał, to mogłabym się była sama przekonać, że go kocham. Ale teraz rzecz skończona.

Znowu Rachela nagle urwała, a kiedy podniosła oczy na Virginię, łzy płynęły po jej policzkach. Virginia podeszła ku niej i objęła ją czule ramionami.

Gdy Rachela dom opuściła, Virginia usiadła w sali, myśląc o zaufaniu, jakie jej przyjaciółka tylko co okazała.

Virginia wnioskowała z całego zachowania się Racheli, że coś zostało niedomówionego, ale to przemilczenie ze strony Racheli wcale jej nie dotknęło. Poprostu czuła tylko tyle, że Rachela nie wypowiedziała się kompletnie.

Rollin wrócił wkrótce i zaczął z Virginią chodzić

po sali ręka w rękę, jak to zwykli byli czynić zawsze w ostatnich czasach.

Łatwo im przyszło rostrzygnąć ostatecznie, jaką rolę ma zająć Rachela w planie nabycia posiadłości w czworoboku.

—Czyś ty znał kiedykolwiek dziewczynę tak istotnie utalentowaną w kierunku śpiewu, któraby chciała podobnie jak Rachela poświęcić swoje całe życie dla ludu? Zamierza ona dawać w mieście lekcye muzyki, czyli mieć prywatne uczennice, aby się módz utrzymać, a potem oddać mieszkańcom czworoboku cały zysk ze swych studyów i swego głosu.

—Jest to niewątpliwie bardzo dobry przykład poświęcenia się—odparł Rollin nieco oschle.

Virginia spojrzała na niego bystro.

—Ale czyż nie sądzisz, że to bardzo niepospolity przykład. Czy możesz sobie wyobrazić—tu Virginia wymieniła pół tuzina głośnych śpiewaczek operowych —żeby która z nich uczyniła coś podobnego?

—Nie, nie mogę—odparł Rollin zwięźle.

—Nie mogę sobie też wyobrazić, żeby miss—wymienił nazwisko panny z czerwoną parasolką, która prosiła Virginię o zabranie jej razem z towarzyszkami do czworoboku—uczyniła to samo, co ty czynisz, Virginio!

—Niemniej i ja nie mogę sobie wyobrazić, żeby mr.....—Virginia wymieniła młodego lwa salonowego —chodził po klubach i czynił w nich to samo, co ty Rollinie.

Oboje szli w milczeniu przez całą długość sali.

—Wracając do Racheli—zaczęła Virginia—powiedz mi Rollinie, czemu ty ją traktujesz w taki szty-

wny, oschły sposób? Zdaje mi się, że ją to boli. Wszakże dawniej byłeś z nią na swobodnej stopie. Nie zdaje mi się, ażeby ta zmiana przypadała Racheli do gustu.

Rollin stanął nagle. Zdawał się być mocno wzburzony. Uwolnił się od ramienia Virginii i poszedł aż na koniec sali. Potem wrócił z rękami w tył założonemi, a stając przed siostrą, rzekł:

—Czyż ty Virginio nie znasz mej tajemnicy?

Virginia zmieszała się, a potem przesunął się po jej twarzy niezwykły rumieniec, dowodzący, że zrozumiała o co chodzi.

—Nigdy nie kochałem innej oprócz Racheli Winslow.—Rollin mówił dosyć spokojnie.—Tego dnia, kiedyś mówiła z nią o jej odmowie, danej towarzystwu koncertowemu, prosiłem ją, aby została moją żoną. Było to tam na Avenue. Dała mi odmowną odpowiedź, jak się tego spodziewałem. Jako powód odmowy podała bezcelowość mego życia, co nie ulegało wątpliwości. Teraz, kiedy życie moje ma już cel, kiedy stałem się nowym człowiekiem, czyż nie widzisz, Virginio, jak mi trudno odezwać się z czemkolwiek? Nawrócenie swoje zawdzięczam głosowi Racheli. A jednak uczciwie mogę powiedzieć, że tego wieczora podczas śpiewu nie myślałem o jej głosie inaczej, niż o głosie Bożym. Wierzę, że cała moja miłość dla niej utonęła w danej chwili w miłości Boga i Zbawiciela.

Rollin zamilkł, potem ciągnął z większem jeszcze wzruszeniem:

—Ja ją ciągle jeszcze kocham, Virginio. Ale nie zdaje mi się, aby ona mnie mogła kiedykolwiek pokochać.

Urwał i spojrzał siostrze w oczy ze smutnym uśmiechem.

—Nic o tem nie wiem—rzekła Virginia sama do siebie.

Patrzyła na przystojną twarz Rollina, na ledwie dostrzegalne jeszcze ślady życia hulaszczego, na zaciśnięte wargi, dowodzące męzkości i odwagi, na jasne oczy, patrzące na nią tak szczerze, na całą postać silną i pełną wdzięku. Rollin był teraz mężczyzną. Dlaczegóż Rachela nie miałaby go z czasem pokochać? Niewątpliwie oboje pasowali do siebie, zwłaszcza obecnie, kiedy ich życie miało ten sam chrześcijański cel.

Powiedziała słów kilka o tem wszystkiem Rollinowi, ale to go nie wiele pocieszyło. Gdy skończyli rozmowę, Virginia odniosła wrażenie, że Rollin zamierzał iść swoją drogą w kierunku obranej pracy, usiłując dosięgnąć modnisiów klubowych, przytem zaś ani unikać Racheli, ani szukać sposobności widzenia jej. Nie ufał, aby miał dość siły dla zapanownia nad swem uczuciem. Virginia czuła, że drżał na samą myśl o powtórnej odmowie ze strony Racheli w razie, gdyby jej miał raz jeszcze wyznać swą miłość.

Następnego dnia poszła do biura The News dla zobaczenia się z Edwardem Normanem i ułożenia szczegółów swego udziału w założeniu pisma na nowych podstawach. Henryk Maxwell był obecny przy tej konferencyi, a wszystko troje zgodzili się, że cokolwiek Chrystus uczyniłby w szczegółach jako redaktor pisma codziennego, to kierowałaby Nim ta sama ogólna zasada, jaka Nim kierowała jako Zbawca świata.

—Starałem się sformułować konkretnie niektóre rzeczy, które, jak mi się zdawało, Chrystus uczyniłby —rzekł Edward Norman.

Czytał pismo, leżące przed nim na biurku, a to przypomniało znowu Henrykowi Maxwellowi jego własny wysiłek pisemnego sformułowania swej własnej koncepcyi o prawdopodobnej działalności Chrystusa, jakoteż usiłowania Miltona Wrighta w handlu.

—Zatytułowałem to tak: Coby uczynił Chrystus jako Edward Norman, redaktor pisma codziennego w Raymondzie?

1) Nie dopuściłby nigdy w swem piśmie zdania lub ilustracyi, któreby można nazwać złemi, ordynarnemi czy nieczystemi w jakimkolwiek kierunku.

2) Prowadziłby zapewne polityczną część dziennika ze stanowiska niepartyjnego patryotyzmu, ustawicznie patrząc na wszystkie kwestye polityczne w świetle ich stosunku do pomyślności ludu, ciągle wychodząc z zasady słuszności, a nigdy z zasady interesu tej lub owej partyi. Innemi słowy, każdy przedmiot polityki traktowałby ze stanowiska postępu Królestwa Bożego na ziemi.

Edward Norman oderwał na chwilę oczy od pisma.

—Pojmujecie, że to jest moja interpretacya prawdopodobnej działalności Chrystusa w dziale politycznym pisma codziennego. Nie wydaję wcale sądu na innych dziennikarzy, którzy mogą mieć inne niż ja pojęcie o prawdopodobnej działalności Chrystusa. Ja staram się jedynie odpowiedzieć uczciwie na pytanie: Coby Chrystus uczynił jako Edward Norman? A znalezioną odpowiedź tak właśnie formułuję.

3) Celem pisma codziennego, redagowanego przez

Chrystusa, byłoby spełnianie woli Boga. To znaczy, że Jego głównym celem w prowadzeniu pisma byłoby nie robienie pieniędzy, lub zyskanie wpływu politycznego, lecz wykazanie swym abonentom, że przedewszystkiem stara się przy pomocy swego pisma osiągnąć Królestwo Boże na ziemi. Ten cel byłby tak jasny i nieulegający wątpliwości, jak cel duchownego, lub misyonarza, lub wreszcie jakiegokolwiek niesamolubnego męczennika idei chrześcijańskiej.

4) Wszystkie podejrzane inseraty byłyby niedopuszczalne.

5) Stosunek Chrystusa do ludzi w piśmie zajętych, nosiłby cechy miłości.

—Jak dotąd—rzekł Norman, podnosząc znowu wzrok—jestem zdania, że Chrystus użyłby w praktyce którejkolwiek z form kooperacyi, któraby przedstawiała idę wzajemnej korzyści w interesie, w którym wszyscy dążyliby wspólnie do jednego wielkiego celu. Wypracowuję taki plan i ufam, że mi się rzecz powiedzie. W każdym razie wprowadźmy raz do takiego interesu pierwiastek miłości osobistej, usuńmy egoistyczny pierwiastek prowadzenia go dla osobistej korzyści jednego człowieka lub kompanii, a nie widzę nic innego, jak tylko pełen miłości stosunek pomiędzy redaktorem, reporterami, drukarzami i wszystkimi, którzy przyczynili się w jakikolwiek sposób do istnienia pisma. A stosunek ten objawiłby się nietylko w osobistej miłości i sympatyi, ale i w dzieleniu się zyskami przedsiębiorstwa.

6) Jako redaktor dzisiejszego pisma codziennego Chrystus udzieliłby dużo miejsca pracy świata chrześcijańskiego. Poświęciłby prawdopodobnie stronę pi-

sma różnym reformom, zagadnieniom społecznym, pracy kościelnej i podobnym ruchom współczesnym.

7) Czyniłby wszystko, co leży w Jego mocy, dla zwalczenia szynku jako wroga rodzaju ludzkiego i zbytecznego wytworu naszej współczesnej cywilizacyi. Czyniłby to bez względu na publiczny sentyment w tej sprawie i bez względu na wpływ, jakiby to wywarło na listę abonentów.

Znowu Edward Norman podniósł głowę.

—Formułuję swe uczciwe przekonanie na tym punkcie. Nie wydaję oczywiście sądu o innych chrześcijanach, redagujących w naszych czasach inne rodzaje pism. Lecz o ile rozumiem Chrystusa, sądzę, że użyłby wpływu swego pisma dla zupełnego usunięcia knajpy z politycznego i społecznego życia narodu.

8) Chrystus nie redagowałby wydania niedzielnego.

9) Drukowałby takie wiadomości, jakie ludzie powinni znać. W pośród rzeczy, których znać nie potrzebują, któreby więc nie były publikowane, znalazłyby się brutalne zapasy atletów, długie opisy zbrodni, skandale prywatne, lub jakiekolwiek inne zdarzenia, któreby w jakikolwiek sposób stały w konflikcie z pierwszym punktem tutaj wymienionym.

10) Gdyby Chrystus miał do włożenia w pismo taką ilość pieniędzy, jaką my mamy, zapewniłby sobie niezawodnie najlepszych i najsilniejszych chrześcijan płci obojga do współpracownictwa w piśmie. To będzie też i moim celem, jak tego dowiodę za kilka dni.

11) Czegokolwiek szczegóły pisma wymagałyby w miarę rozwoju pisma, według określonego planu, głównym celem kierującym byłoby ustanowienie Kró-

lestwa Bożego na ziemi. Ten wielki cel ogólny warunkowałby koniecznie szczegóły.

Edward Norman ukończył czytanie swego planu i popadł w zamyślenie.

—Nakreśliłem zaledwie bardzo słaby szkic. Mam setki idei uczynienia pisma potężnem, idei w całości jeszcze nie przemyślanych. To jest jeno wskazówka ogólna. Omówiłem rzecz z innymi dziennikarzami. Niektórzy z nich twierdzą, że pismo moje będzie blade i niezajmujące jak szkółka niedzielna. Gdyby jeno było takie, byłbym bardzo zadowolony. Dlaczego ludzie chcąc określić cokolwiek jako szczególniej słabe używają zawsze szkółki niedzielnej jako porównania, podczas gdy powinniby wiedzieć, że szkółka niedzielna jest jednym z najsilniejszych, najpotężniejszych wpływów w cywilizacyi naszego kraju za dni dzisiejszych? Ale pismo nie będzie słabe dlatego, że jest dobre. Dobre rzeczy są potężniejsze od złych. Dla mnie kwestyą jest poparcie ze strony prawdziwych chrześcijan Raymondu. W mieście naszem jest przeszło dwadzieścia tysięcy członków kościoła. Gdyby jeno połowa poparła The News, byt pisma byłby zapewniony. Cóż pan myślisz, panie Maxwell, czy jest możliwość takiego poparcia?

—Za mało wiem w tej sprawie, aby udzielić zadowalającej odpowiedzi. Co do mnie całem sercem stoję po stronie pisma. Jeżeli przetrwa rok, jak powiedziała miss Virginia, nie można przewidzieć, czego zdoła dokazać. Główną rzeczą będzie wydawać pismo takie, jakie według naszego najlepszego sądu wydawałby Chrystus i włożyć weń wszystkie elementy chrześcijańskich mózgów, inteligencyi, zmysłu i na-

kazać dlań szacunek przez unikanie bigoteryi, fanatyzmu, ciasnoty i wszystkiego tego, co jest przeciwne duchowi Chrystusa. Takie pismo będzie apelować do najlepszych myśli i czynów ludzkich. Największe umysły świata będą wysilać do ostateczności swoje umysły, aby tylko wydawać chrześcijański dziennik.

—Tak—mówił pokornie Edward Norman.—Niewątpliwie będę popełniał wielkie błędy. Potrzeba mi dużo mądrości. Ale pragnę czynić tak jakby Chrystus postąpił. "Jakby On sobie postąpił?" Stawiałem sobie to pytanie codzień, i będę czynił tak nadal i obstawiać przy rezultatach.

—Zdaje mi się, że zaczynamy rozumieć—rzekła Virginia—znaczenie przykazania. Wyrastajcie w łasce i wiadomości naszego Pana Zbawcy Jezusa Chrystusa. Jestem pewna, że nie zdołam pojąć szczegółowo, jakby On sobie postąpił, dopóki nie poznam Go lepiej.

—To szczera prawda—rzekł Henryk Maxwell.—Zaczynam pojmować, że nie jestem w stanie interpretować prawdopodobnej działalności Chrystusa, dopóki nie poznam lepiej Jego ducha. Mojem zdaniem najważniejsze pytanie w życiu ludzkości opiewa: Jakby Chrystus postąpił? Stawiając je, staramy się też odpowiedzieć na nie przez coraz lepszą znajomość samego Chrystusa. Musimy poznać Chrystusa wpierw, nim zdołamy Go naśladować.

Gdy układ stanął między Virginią a Edwardem Normanem, ten ostatni znalazł się w posiadaniu kwoty pięciuset tysięcy dolarów, oddanych mu wyłącznie na prowadzenie chrześcijańskiego pisma codziennego. Gdy Virginia i Henryk Maxwell wyszli, Norman zam-

knął drzwi i sam w obecności Boskiego Ducha prosił jak dziecko o pomoc swego Wszechmocnego Ojca. Przez cały ciąg modlitwy, brzmiała mu w uszach obietnica: Jeżeli komukolwiek brak mądrości, niech poprosi o nią Boga, który udziela jej wszystkim ludziom szczodrze i da jemu także. Napewne prośba jego zostanie wysłuchana a Królestwo zostanie zbliżone przez to narzędzie potęgi Bożej, tę wpływową prasę, która przeważnie zniżyła się do występnej służby w celach ludzkiej chciwości i ambicyi.

Dwa miesiące minęły. Były one pełne ożywionej działalności i jej wyników w Raymondzie, a zwłaszcza w Pierwszym kościele. Pomimo zbliżających się upałów sezonu letniego, dodatkowe mityngi tych uczniów, którzy ślubowali postępować tak, jakby Chrystus postępował, odbywały się dalej z entuzyazmem i siłą. Gray ukończył swą pracę w czworoboku, a obojętny widz, przechodzący przez tę dzielnicę, nie byłby spostrzegł żadnej zmiany w dawnych warunkach, jakkolwiek nastąpiła istotna zmiana u setek ludzi. Ale knajpy, jaskinie, nory, domy gry istniały dalej, wlewając truciznę w życie nowych ofiar, które miały zająć miejsce tych, przez misyonarza uratowanych. Szatan rekrutował swe szeregi bardzo szybko.

Henryk Maxwell nie wyjechał za granicę. Zamiast tego wziął pieniądze, które oszczędzał na podróż i urządził letnie wakacye całej rodzinie, żyjącej w czworoboku, która nigdy nie wyjrzała poza ten zgniły dystrykt tenementów. Proboszcz Pierwszego kościoła nigdy nie zapomni tygodnia, który spędził z tą rodziną, czyniącą przygotowania. Pewnego upalnego dnia, kiedy to straszne gorąco tenementów za-

częło się dawać we znaki, udał się on do czworoboku i pomógł owej rodzinie dostać się do stacyi, a potem udał się z nią do przepysznego miejsca na wybrzeżu, gdzie w domu po chrześcijańsku myślącej kobiety, ci biedni mieszkańcy miasta odetchnęli po raz pierwszy chłodnem słonem powietrzem i poczuli wokoło siebie wonią sosen nasycony powiew nowej epoki życia.

Było tam u matki chorowite niemowlę. Zresztą troje dzieci—jedno kaleka. Ojciec, który nie miał pracy aż wreszcie, jak to wyznał poźniej Maxwellowi, zamierzał kilkakrotnie popełnić samobójstwo—siedział z niemowlęciem na rękach podczas podróży, a kiedy Maxwell wybierał się z powrotem do Raymondu po urządzeniu pobytu dla rodziny, mężczyzna ów trzymał jego dłoń przy rozstaniu, dławił się wzruszeniem, wreszcie ku wielkiemu pomieszaniu Maxwella wybuchnął płaczem. Matka, zmożona, sterana kobieta, która utraciła rok temu troje dzieci na epidemię gorączkową, jaka panowała w czworoboku, siedziała cały czas przy oknie wagonu i wchłaniała rozkosze morza, firmamentu i pól. Wszystko to było dla niej jakby cudem. A Henryk Maxwell przybywając w końcu tego tygodnia do Raymondu i czując palący, osłabiający skwar o tyle więcej, że zakosztował nieco powiewu morskiego, dziękował Bogu za radość, jaką widział i wstąpił na drogę swego uczennictwa z pokornem sercem, poznawszy niemal po raz pierwszy w swem życiu ten rodzaj poświęcenia. Gdyż nigdy przedtem nie odmówił on sobie swej zwykłej letniej podróży zdala od upałów Raymondu, bez względu na to, czy doznawał wielkiej potrzeby wypoczynku czy też nie.

—Faktem jest—rzekł w odpowiedzi na kilka pytań ze strony swego kościoła—że nie czuję tego roku potrzeby wakacyi. Czuję się bardzo dobrze i wolę zostać w mieście.

Wielką radość sprawił mu fakt, że udało mu się przed wszystkimi z wyjątkiem żony ukryć to, co uczynił dla owej biednej rodziny. Czuł potrzebę zrobienia czegoś podobnego bez ostentacyi lub uznania ze strony obcych.

Tak mijało lato, a Henryk Maxwell rósł w coraz większej znajomości Pana. Duch ustawicznie jeszcze władał Pierwszym kościołem. Maxwell zdumiewał się tem trwaniem jego pobytu. Wiedział bardzo dobrze, iż od samego początku nic, jak tylko obecność Ducha chroniła Kościół od rozpadnięcia się wskutek tego zdumiewającego doświadczenia, otrzymanego od swych uczniów. Nawet i teraz jeszcze było wielu wśród tych, co nie uczynili ślubu, uważających cały ruch tak, jak mr. Winslow jako fanatyczną interpretacyę obowiązków chrześcijańskich i wyglądali powrotu dawnych starych stosunków. Tymczasem cała masa uczniów znajdowała się pod wpływem Ducha, a Henryk Maxwell kroczył tego lata dalej swoją drogą, spełniając swą pracę parafialną z wielką radością, utrzymując mityngi z robotnikami kolejowymi stosownie do przyrzeczenia, danego Aleksandrowi Powersowi, nabierając codzień lepszej znajomości Mistrza.

Pewnego wczesnego wieczoru sierpniowego po dniu oświeżającego chłodu, który nastąpił po długim peryodzie skwaru, Jasper Chase podszedł do okna swego pokoju w domu, stojącym na Avenue i wyjrzał przez nie.

Na biurku leżał spory rękopis. Od owego wieczoru, kiedy rozmawiał z Rachelą Winslow, nie widział jej wcale. Jego szczególniej wrażliwa natura, wrażliwa aż od gniewu, gdy mu coś w drodze stanęło, kazała mu żyć w odosobnieniu, powiększonem przez zwyczaje autorskie.

Przez cały ciąg upałów letnich pisał. Książka była już niemal skończona. Cisnął się do stworzenia jej z gorączkową siłą, która groziła każdej chwili opuszczeniem go i ubezwładnieniem. Nie zapomniał on swego ślubu, uczynionego z innymi członkami Pierwszego kościoła. Narzucał się on ciągle jego uwadze podczas pisania, a zwłaszcza od czasu odmownej odpowiedzi Racheli. Pytał się tysiąc razy: "Czyby Chrystus tak postąpił?" "Czyby napisał tę powieść?" Była to powieść na tle życia towarzyskiego, pisana sposobem, który był popularnym. Nie miała ona innego celu jak tylko bawić. Jej morał nie był zły, ale nie był też w żaden sposób morałem chrześcijańskim. Jasper Chase wiedział, że taka powieść pójdzie w handlu. Miał on świadomość przymiotów swego talentu, które świat towarzyski lubił i podziwiał. Coby Chrystus uczynił? Pytanie to narzucało się jego umysłowi w najniewłaściwszej chwili. Drażniło go niepomiernie. Wzór Chrystusa jako autora był zanadto idealny. Chrystus użyłby oczywiście swych sił dla stworzenia czegoś pożytecznego, pomocnego, lub mającego jakiś cel. W jakimże celu pisał swą powieść on, Jasper Chase? Oczywiście w tym samym celu, w jakim pisał każdy autor: dla pieniędzy i sławy. Nie ukrywał wcale przed sobą, że taką była pobudka napisania tej nowej powieści. Nie był ubogim, nie miał

więcej pokusy pisania dla pieniędzy. Ale pragnienie rozgłosu było u niego silnym bodźcem. Musi pisać tego rodzaju rzeczy. Ale coby Chrystus uczynił? Pytanie to dręczyło go więcej nawet, niż odmowa Racheli. Czyż miałby złamać przyrzeczenie?

Gdy stał tak przy oknie Rollin Page wyszedł z domu klubowego naprzeciwko. Jasper zauważył jego przystojną twarz i szlachetną postać, sunącą w dół ulicy. Wrócił do swego biurka i przejrzał jakieś papiery. Potem znowu podszedł do okna i ujrzał Rollina z Rachelą Winslow—musiał ją dogonić wtedy, kiedy wychodziła od Virginii.

Jasper śledził obie postaci aż póki nie zniknęły w tłumie. Potem zawrócił do biurka i pracował dalej. Gdy ukończył ostatnią stronicę, ostatniego rozdziału książki, było już prawie ciemno. "Jakby Chrystus postąpił? Na pytanie to dał wreszcie odpowiedź przez zaparcie się swego Pana. Robiło się coraz ciemniej w pokoju Jaspera. Dobrowolnie wybrał swą drogę pod wpływem zawodu i straty.

...A Chrystus rzekł do niego: nikt przykładając rękę do pługa i obzierając się wstecz, nie jest zdolny do Królestwa niebieskiego...

ROZDZIAŁ VIII.

Czemże to jest dla ciebie:
idź za mną?

Gdy Rollin puścił się w dół ulicy tego popołudnia, kiedy Jasper wyzierał przez okno swego pokoju, nie myślał wcale o Racheli Winslow i nie spodziewał się wcale ujrzeć jej gdziekolwiek. Spostrzegł ją całkiem niespodziewanie, wchodzącą na Avenue, a na jej widok serce mu żywiej zabiło. Teraz szedł obok niej, radując się tą przelotną chwilą ziemskiej miłości, której nie był w stanie wygnać z siebie.

—Właśnie byłam u Virginii — rzekła Rachela.— Mówiła mi, że przeniesienie prawa własności w czworoboku już niemal skończone.

—Tak. Była to bardzo nudna sprawa sądowa. Czy Virginia pokazała pani wszystkie plany budynków?

— Przejrzeliśmy sporo planów. Dziwi mnie, skąd Virginia wzięła te wszystkie myśli o podobnej pracy.

— Virginia wie obecnie więcej o Arnoldzie Tombee, o wschodniej części Londynu i pracy kościelnej w Ameryce, niżeli wielu specyalistów w tym kierunku. Całe niemal lato spędziła na zbieraniu informacyi.

Rollin zaczynał uczuwać coraz więcej swobody podczas tej rozmowy o pracy ludzkości. Był to pewny grunt wspólny.

—A cóż pan robiłeś całe lato? Nie często pana widywałam—spytała nagle Rachela, a twarz jej oblał tropikalny rumieniec, jak gdyby bała się zdradzić za wielkie zainteresowanie się Rollinem, lub za wielki żal z powodu, że go nie widziała częściej.

— Byłem bardzo zajęty — odparł Rollin krótko.

—Powiedz mi pan coś o tem—nalegała Rachela. —Mówisz pan tak mało. Czy mam prawo pytać?

Postawiła to pytanie bardzo szczerze, zwracając się do Rollina z rzeczywistem zaciekawieniem.

—Zapewne — odparł z wdzięcznym uśmiechem. —Nie zdaje mi się, żebym mógł pani wiele powiedzieć. Starałem się znaleźć przystęp do ludzi, których kiedyś znałem i zyskać ich dla prowadzenia pożyteczniejszego życia.

Urwał nagle, jakby się obawiał mówić dalej. Rachela nie odzywała się wcale.

— Byłem członkiem tego samego towarzystwa, do którego należy pani i Virginia — ciągnął Rollin, zaczynając znowu. — Ślubowałem postępować tak, jakby mojem zdaniem postąpił Chrystus, a w odpowiedzi na ten ślub starałem się spełniać swoją pracę.

— Tego właśnie nie rozumiem. Virginia mowiła mi o tem. Zdaje mi się być rzeczą zdumiewającą, że pan usiłujesz dotrzymać tego ślubu razem z nami. Ale co pan możesz uczynić z klubowcami?

— Postawiłaś mi pani jasne pytanie, na które muszę teraz odpowiedzieć — odparł Rollin, śmiejąc się znowu.

— Widzi pani, zapytałem się sam siebie owego wieczora w namiocie, pamięta pani — mówił pospiesznie, a głos jego drżał nieco—jaki cel mógłbym

sobie teraz w życiu postawić dla powetowania go sobie i dla zadowolenia mej myśli o chrześcijańskiem uczennictwie. A im więcej myślałem, tem bardziej zbliżałem się do miejsca, z którego musiałem wziąć swój krzyż. Czyś pani pomyślała kiedykolwiek o tem, że ze wszystkich istot zaniedbanych w naszym systemie społecznym, nikt nie jest tak kompletnie zostawiony samemu sobie, jak rozpustni młodzi ludzie, napełniający kluby i trwoniący czas, oraz pieniądze tak, jak ja to czyniłem? Kościoły troszczą się o biedne, nędzne stworzenia, jak te n. p. w czworoboku, czynią pewne wysiłki w celu wywarcia wpływu na robotników, mają licznych zwolenników pomiędzy zwykłymi ludźmi zarobkującymi, posyłają pieniądze i misyonarzy do obcych pogan; lecz modni, rozpustni młodzieńcy, klubowcy, są zupełnie opuszczeni i zostawieni samym sobie. A jednak żadna klasa ludzi nie wymaga większego zajęcia się sobą. Powiedziałem więc sobie; znam tych ludzi, ich dobre i złe strony. Byłem jednym z nich. Nie potrafię wpłynąć na ludzi z czworoboku. Nie wiem jak. Ale sądzę, że mógłbym dosięgnąć niektórych z tych młodzieńców i chłopaczków, mających i pieniądze i czas. To więc usiłowałem czynić. Kiedym sobie tak jak pani postawił pytanie: Coby Chrystus uczynił? taką była moja odpowiedź. Był to także mój krzyż.

Głos Rollina tak przycichł przy ostatniem zdaniu, że Rachela z trudnością mogła je usłyszeć przez otaczający ich gwar. Ale wiedziała, co powiedział. Chciała jeszcze spytać go o metodę. Ale nie wiedziała, jak pytanie sformułować. Plany jego zajmowały ją więcej, niż przez samą ciekawość. Rollin

Page był obecnie tak różny od tego młodego modnisia, który pragnął ją posiąść jako swoją żonę, że nie mogła nie myśleć o nim i mówić z nim tak, jakby to była zupełnie nowa znajomość.

Zeszli z Avenue i posuwali się ulicą ku domowi Racheli. Była to ta sama ulica, na której Rollin pytał ją, dlaczego nie jest w stanie pokochać go. Oboje ogarnęła nagle dziwna nieśmiałość. Rachela nie zapomniała owego dnia, a i Rollin nie był w stanie tego uczynić. Wreszcie przerwała długie milczenie, pytając go o to, na co przedtem słów znaleźć nie mogła.

—Jakiego przyjęcia doznajesz pan w swej pracy od starych znajomych, klubowców? Jak się pan do nich zabierasz? Co oni na to wszystko mówią?

Rollin milczał, gdy Rachela mówiła. Po chwili odparł:

—Oh, to zależy od człowieka. Wielu z nich ma mnie za dziwaka. Zatrzymałem swe nazwisko na liście członków i mam dobrą opinię pod tym względem. Staram się być rozsądnym i nie wywoływać żadnej zbytecznej krytyki. Ale zdziwi panią wiadomość, że wielu z nich odpowiedziało na mój apel. Z trudnością tylko uwierzyłabyś pani, że zaledwie kilka dni temu tuzin młodych ludzi zawiązało uczciwą i poważną rozmowę na temat religijny. Miałem niewymowną radość widzenia kilku z nich porzucających złe obyczaje i zaczynających nowe życie. Jakby Chrystus postąpił? Nieustannie stawiam sobie to pytanie. Odpowiedź przychodzi powoli, gdyż ja dopiero badam swoją drogę. Jednę rzecz stanowczo uzyskałem. Towarzysze moi nie unikają rozpraw ze mną. Sądzę,

że to jest dobry znak. Inna rzecz znowu: kilku z nich zainteresowałem rzeczywiście w pracy około czworoboku, a gdy ona zostanie podjęta faktycznie, przyczynią się oni ze swej strony do jej spotęgowania. W dodatku do tego wszystkiego znalazłem sposób uchronienia młodych ludzi od hazardowych gier.

Rollin mówił z entuzyazmem. Twarz jego jaśniała z powodu zainteresowania się nowym przedmiotem, który stał się częścią jego życia. Rachela zauważyła znowu silny, męski, zdrowy ton jego mowy. Wiedziała, że wszystko to miało głęboki podkład poważnego traktowania rzeczy, czującego ciężar krzyża wtedy nawet, kiedy go dźwigało z radością. Gdy znowu przemówiła, to już z żywem uczuciem sprawiedliwości, należnej Rollinowi i jego nowemu życiu.

—Pamiętasz pan, jak to kiedyś czyniłam panu wymówki za brak celu w życiu — spytała, a piękna jej twarz zdawała się Rollinowi być jeszcze piękniejszą, niż zwykle. — Pragnę powiedzieć, że doznaję potrzeby powiedzenia panu sprawiedliwie, iż szanuję pana za pańską odwagę i posłuszeństwo uczynionemu ślubowi. Życie, które pan teraz prowadzisz jest bardzo szlachetne.

Rollin drżał. Podniecenie jego było większe od zdolności zapanowania nad niem. Rachela nie mogła nie zauważyć tego. Szli obok siebie w milczeniu. W końcu Rollin powiedział:

—Dziękuję pani. Nie mogę wyrazić, jaką rozkosz sprawiły mi te słowa w ustach pani.

Spojrzał w jej twarz przez chwilę. Ona odczytała w jego spojrzeniu miłość dla siebie. Ale on milczał.

Gdy się rozstali, Rachela weszła do domu, a usiadłszy w swym pokoju ukryła twarz w dłoni i rzekła sama do siebie:

—Zaczynam rozumieć, co to znaczy być kochaną przez szlachetnego mężczyznę. Przecież ja kocham Rollina Page. Co mówię! Rachelo Winslow, czyś zapomniała?

Powstała i zaczęła się przechadzać. Czuła się mocno wzruszona. Mimo to wiedziała dobrze, iż to nie było wzruszenie, spowodowane żalem lub smutkiem. Bądź co bądź nieznana dotąd radość zapanowała w jej sercu. Weszła w nową fazę doświadczenia życiowego, a tego jeszcze dnia cieszyła się silną i szczerą radością, że jej chrześcijańskie uczennictwo znalazło miejsce na ten kryzys uszucia. Była to istotnie część owego uczennictwa, gdyż jeżeli pokochała Rollina Page, to właśnie dlatego, że stał się chrześcijaninem. Dawny Rollin nie byłby nigdy sprawił w niej tak wielkiej zmiany.

Rollin na powrotnej drodze żywił nadzieję, której nie zaznał od dnia odmownej odpowiedzi ze strony Racheli. Z tą nadzieją brnął dalej w swej pracy z biegiem dni życia, a nigdy jeszcze nie cieszył się większem powodzeniem w wywieraniu wpływu na swych starych znajomych jak od chwili tego przypadkowego spotkania się z Rachelą Winslow.

Lato minęło, a miasto Raymond miało znowu doświadczyć surowości sezonu zimowego. Virginii udało się wykonać część swego planu "pojmania czworoboku," jak się sama wyrażała. Ale budowanie domów w polu, zamienienie pustkowia na pociągający park, co wszystko było objęte jej planem, było za wielką

pracą na to, aby dokonać w ciągu tej samej jesieni, której nabyła ziemię na własność. Ale milion dolarów w rękach osoby, ktora istotnie chce z nich zrobić taki użytek, jakiby zrobił Chrystus, musi dokonać cudów dla cierpiącej ludzkości w ciągu krótkiego czasu; to też Henryk Maxwell udawszy się pewnego popołudnia z robotnikami na pole nowej pracy, zdumiał się nad tem, jak wiele dokonano na zewnątrz.

Mimo to poszedł do domu, zatopiony w myślach, nie mogąc uwolnić się od problemu, jaki mu się nieustannie nasuwał z powodu knajpy. Ile do tej pory zdołano uczynić dla czworoboku? Wliczając nawet pracę Virginii, Racheli i Graya, gdzież można było spostrzedz namacalne rezultaty? Oczywiście mówił sobie, że zbawienna praca, zaczęta i prowadzona przez Ducha św. zapomocą cudownych objawów Jego siły w Pierwszym kościele i w namiocie podczas mityngów, wywierała swój wpływ na życie w Raymondzie. Ale mijając szynk za szynkiem i widząć wchodzące i wychodzące tłumy, widząć niezmniejszoną pozornie ilość nędznych nor, widząc brutalność, brud i jawną nędzę, oraz poniżenie na niezliczonych twarzach kobiet i dzieci, doznał uczucia żałości. Mimo woli postawił sobie pytanie, do jakiego stopnia może oczyścić taką kloakę włożony w nią milion dolarów? Czyż—jak długo szynki spełniały swą zabójczą, ale całkiem legalną pracę, czyż żywe źródło wszelkiej niemal ludzkiej nędzy, którą pragnęli usunąć, nie trwało nietknięte? Cóż mogło nawet tak niesomolubne chrześcijańskie uczennictwo, jak Virginii i Racheli, sprawić dla zmniejszenia strumienia zbrodni, jak długo to wielkie źródło zbrodni i występku płynęło

głębokie i potężne? Czyż nie było to marnotrawienie pięknych żywotów tych młodych kobiet, ciskających się w to ziemskie piekło, gdzie za każdą uratowaną przez nich duszę, szynk pachłaniał dwie ofiary, potrzebujące pomocy?

Nie mógł uniknąć tego pytania, które Virginia postawiła Racheli w twierdzeniu, że według jej zdania nic się nie da osiągnąć, jak długo knajpa nie zostanie z czworoboku usunięta. Henryk Maxwell zabrał się znowu do swej pracy parafialnej owego popołudnia ze wzmocnionem przekonaniem na punkcie konsensów.

Ale jeżeli szynk był czynnikiem w problemie życiowym Raymondu, to niemniej był nim Pierwszy kościół i jego małe kółko uczniów, którzy ślubowali iść wiernie w ślady Chrystusa. Henryk Maxwell, stojący w samym środku ruchu, nie był w stanie sądzić o jego mocy tak, jakby to mógł ktoś uczynić z boku stojący. Ale Raymond czuł wpływ tego nowego uczennictwa i uległ zmianie w wielu kierunkach, nie znając wszystkich przyczyn zmiany.

Zima minęła i rok się skończył, rok w którym Henryk Maxwell naznaczył jako czas, w ciągu którego trzeba było pełnić ślub czynienia tak, jakby Chrystus czynił. Niedziela, stanowiąca rocznicę owej ważnej niedzieli przed rokiem, była pod wielu względami najosobliwszym dniem w dziejach Pierwszego kościoła. Miała nawet większą wagę, niż uczniowie Pierwszego kościoła przypuszczali. Historya ubiegłego roku płynęła tak szybko i tak poważnie, że ludzie nie byli w stanie pochwycić jej znaczenia. A sam dzień, oznaczający zamknięcie się całego roku uczennictwa, odznaczył się takiemi rewelacyami i

wyznaniami, że bezpośredni uczestnicy wypadków sami nie mogli pojąć wartości tego, co się stało, lub stosunku ich pracy do reszty kościoła i miast w kraju.

Zdarzyło się, że tego tygodnia właśnie, poprzedzającego rocznicę, bawił w Raymondzie wiel. Calvin Bruce, D. D. z Nazareth Avenue Church, w Chicago; przyjechał on dla odwiedzenia swych starych przyjaciół, przy sposobności zaś i swego starego kolegę seminaryjnego, Henryka Maxwella. Był obecny w Pierwszym kościele, którego sprawami zainteresował się. Jego opis zajść Raymondzkich, a zwłaszcza niedzielnych, może rzucić więcej światła na całą sytuacyę, niż jakikolwiek opis przez kogo innego dokonany. Dlatego też podajemy tutaj opis dr. Brucea.

(List wiel. Calvina Bruce, D. D., z Nazareth Avenue Church, Chicago do wiel. Filipa S. Caxtona, D. D. w Nowym Yorku.)

Mój kochany Caxtonie!

Jestto późny wieczór niedzielny, ale mimo to tak jestem rozbudzony i tak przejęty tem co widziałem i słyszałem, że czuję się zniewolonym przysłać Ci opis sytuacyi w Raymondzie, ponieważ badałem ją i ponieważ doszła dzisiaj szczytu swego rozwoju. Jestto jedyne moje usprawiedliwienie pisania tak długiego listu o tej godzinie.

Przypominasz pan sobie Henryka Maxwella z seminaryum. Zdaje mi się, że gdym pana odwiedzał po raz ostatni w Nowym Yorku, powiedziałeś pan, iż nie widziałeś go od czasu ukończenia studyów. Był to elegancki, wykształcony młodzieniec, jak pan sobie zapewne przypominasz, a kiedy został zaangażowany do Pierwszego kościoła w Raymond, w rok po opuszczeniu semi-

naryum, rzekłem do swej żony: Raymond uczynił dobry wybór. Maxwell zadowoli ich jako kaznodzieja. Był on tu przez jedenaście lat i aż do bieżącego roku szedł zwyczajną drogą dając zadowolenie i ściągając liczną kongregacyę na swą ranną służbę Bożą, połączoną z kazaniem. Kościoł jego uważa się za największy i najbogatszy w Raymond. Wszyscy najlepsi mieszkańcy chodzili do niego, większość należała do członków. Kwartet głośny był dla swej muzykalnej wartości, zwłaszcza dla swego sopranu, miss Winslow, o której będę miał coś więcej do powiedzenia; na ogół biorąc o ile ja rzecz rozumiem, Maxwell zajmował wygodne stanowisko o bardzo dobrej pensyi, miłem otoczeniu i nie wiele wymagającej parafii, złożonej z kulturnych, bogatych i szanowanych ludzi; jest to taki kościół i taka parafia, o jakich każdy z nas seminarzystów zawsze marzył.

Ale dziś właśnie minął rok, kiedy Henryk Maxwell przyszedł do swego kościoła w niedzielę rano i przy końcu służby Bożej uczynił zdumiewającą propozycyę, żeby członkowie jego kościoła ślubowali nie czynić przez cały rok nic bez uprzedniego zapytania się: Jakby Chrystus postąpił? a po daniu sobie odpowiedzi, żeby stosownie postąpili bez względu na następstwa, jakie to dla nich pociągnie.

Efekt tej propozyci, przyjętej i wykonanej przez pewną ilość członków Pierwszego kościoła w Raymond, był tak zdumiewający, że jak panu wiadomo cały kraj zwrócił swoją uwagę na ten ruch. Nazywam to "ruchem," ponieważ z czynności, przedsiębranych dzisiaj, zdaje się być rzeczą prawdopodobną, że to, czego spróbowano tutaj w Pierwszym kościele Ray-

mondu dosięgnie i inne kościoły i sprowadzi przewrot w metodach kościelnych, a zwłaszcza w określeniu chrześcijańskiego uczennictwa.

Przedewszystkiem Maxwell mówił mi, że zdziwiło go przyjęcie, jakiego doznała jego propozycya. Najwybitniejsi członkowie kościoła ślubowali czynić tak, jakby czynił Chrystus. Wśród nich był Edward Norman, redaktor pisma The Daily News, co sprawiło tak ogromną senzacyę w świecie dziennikarskim; Milton Wright, jeden z głównych kupców w Raymondzie; Aleksander Powers, którego stanowisko w sprawie kolei żelaznych przeciwko międzystanowym prawom handlowym narobiło tyle hałasu rok temu; miss Page, jedna z pierwszych w raymondzkiem towarzystwie dziedziczek, która o ile wiem, poświęciła niedawno swój cały majątek chrześcijańskiemu dziennikowi i pracy reformatorskiej w najbiedniejszej dzielnicy, zwanej czworobokiem; wreszcie miss Winslow, której reputacya jako śpiewaczki jest obecnie narodowa, lecz która stosownie do określenia prawdopodobnej działalności Chrystusa, poświęciła swój talent dla pracy wśród dziewcząt i kobiet, stanowiących część znaczną najgorszej i najbardziej zaniedbanej ludności miasta.

W dodatku do tych znanych osobistości wzrastała coraz bardziej ilość chrześcijan z Pierwszego kościoła, a nawet ostatnimi czasy procent tych ochotników, którzy ślubują czynić tak, jakby Chrystus czynił, należą do Towarzystw Usiłowania chrześcijańskiego. Młodzi ludzie powiadają, że oni w swych stowarzyszeniach czynią ten sam ślub przez słowa: przyrzekam mu, że będę usiłował czynić wszystko, czego On ode

mnie żąda. Nie jestto wprawdzie ściśle objęte propozycyą Maxwella, która pragnie, aby uczniowie starali się czynić to, co Chrystus uczyniłby prawdopodobnie w miejscu ucznia. Ale wynik rzetelnego spełniania któregokolwiek z tych ślubów, będzie jego zdaniem zupełnie ten sam, to też nie dziwi go wcale, że największa ilość nowych uczniów rekrutuje się z Towarzystw Usiłowania chrześcijańskiego.

Jestem pewien, że przedewszystkiem zapytasz się mnie pan: Jaki jest rezultat tego usiłowania? Czego ono dokonało, albo w jaki sposób zmieniło zwyczajny bieg spraw kościoła czy gminy?

Wiesz pan już nieco ze sprawozdań o Raymondzie, które się rozeszły po całym kraju, jakie były wyniki. Ale trzeba znaleźć się tutaj i poznać niektóre zmiany w życiu jednostek, a zwłaszcza zmiany w życiu kościelnem, aby pojąć, co się rozumie przez tak dosłowne naśladowanie Chrystusa. Aby to wszystko opowiedzieć, trzebaby napisać długą historyę, albo szereg historyi. Nie jestem w stanie uczynić tego, ale być może zdołam dać panu pewne pojęcie o tem, co tu zaszło, z tego co słyszałem od mych przyjaciół i od samego Henryka Maxwella.

Wpływ ślubu na Pierwszy kościół był dwojaki. Po pierwsze wytworzył on ducha chrześcijańskiej towarzyskości, który według Maxwella nie istniał nigdy przedtem, a który obecnie czyni na nim wrażenie czegoś zbliżonego do ducha kościołów apostolskich; po drugie rozdzielił członków kościoła na dwie wyraźne grupy. Ci, którzy nie uczynili ślubu, uważają resztę, za głupio dokładną w swem usiłowaniu naśladowania przykładu Chrystusa. Jedni z nich

wykreślili się z kościoła i już nie uczęszczają do niego więcej, lub też zapisali się na członków innych kościołów. Drudzy walczą ze sobą wewnętrznie, a słyszałem nawet, że usiłowali zniewolić Maxwella do zgłoszenia swej rezygnacyi. Nie zdaje mi się, żeby ten pierwiastek był silnie reprezentowany w kościele. W karbach utrzymuje go cudowne trawienie siły duchowej, datującej się od pierwszej niedzieli, której rok temu ślub został uczyniony, jakoteż i fakt, że tak wielu najwybitniejszych członków przyłączyło się do ruchu.

Wpływ Henryka Maxwella jest bardzo wybitny. Słyszałem go każącego w naszem Stowarzyszeniu Stanowem cztery lata temu. Zrobił na mnie wówczas wrażenie siłą dramatyczną, której świadomość sam posiadał. Kazanie jego było dobrze napisane i obfitowało w to, co według opinii studentów seminaryum nosiło nazwę "pięknych ustępów." Efekt kazania był, jakby się wyraziła zwyczajna kongregacya, przyjemny. Dziś rano znowu słyszałem Maxwella każącego. O tem pomówię później. Nie jest on wcale tym samym człowiekiem. Czyni na mnie wrażenie człowieka, który przeszedł przez kryzys rewolucyi. Twierdzi on, że tą rewolucyą jest po prostu nowe określenie chrześcijańskiego uczennictwa. Niewątpliwie zmienił wiele ze swych dawnych poglądów. Stanowisko jego względem sprawy konsensów jest wprost przeciwne temu, jakie zajmował przed rokiem. W całem pojmowaniu zawodu kaznodziejskiego i pracy parafialnej, uległ zupełnej zmianie. O ile pojąć mogę, idea, która nim obecnie kieruje, to idea, że chrześcijaństwo współczesne powinno reprezentować dokładniejsze naśla-

dowanie Chrystusa, zwłaszcza w pierwiatstku cierpienia. W ciągu naszej rozmowy przytoczył mi kilkakrotnie wiersz z Piotra św.: Ponieważ do tego zostaliście wezwani, gdyż Chrystus także cierpiał za was, zostawiając wam przykład ,abyście szli w Jego ślady; zdaje się on być przejęty przekonaniem, że to, czego dzisiaj kościoły potrzebują przedewszystkiem, to cierpienie dla Chrystusa pod jakąkolwiek postacią.

Nie zdaje mi się, abym się miał z nim godzić w zupełności; ale mój kochany Caxtonie, ze zdumieniem muszę notować wyniki tej idei na mieszkańców miasta, oraz ich kościoły.

Zapytasz mnie może o wpływ idei na osobniki, które uczyniły ślub i dotrzymały go? Wpływ ten jest, jak powiedziałem, częścią dziejów osobistych, to też nie może być szczegółowo skreślony. Niektóre objawy mogę panu podać, tak abyś pan się przekonał, że ta postać uczennictwa jest nietylko sentymentem lub pozowaniem dla wywołania efektu.

Weźmy naprzykład Aleksandra Powersa, który był superintendentem mechanicznych warsztatów kolejowych. Gdy zaczął działać na podstawie dowodów, oskarżających kolej, utracił oczywiście posadę, a nawet więcej jeszcze, bo jak mi mówiono, jego stosunki rodzinne i towarzyskie takiej uległy zmianie, że rodzina nie ukazuje się już więcej publicznie. Wypadli zupełnie z koła towarzyskiego, w którem ongi tak wybitne zajmowali miejsce. Nawiasem mówiąc, rozumiem ze wszystkiego, że komisya z tych czy innych powodów zawiesiła badanie w tej sprawie, a obecnie chodzi pogłoska, że kolej przejdzie niebawem pod kuratelę sądową. Prezydent kolei, który według

dowodu, dostarczonego przez Powersa, był głównym winowajcą, zrezygnował z posady, z czego powstały różne dalsze komplikacye, wskazujące na kuratelę. Tymczasem superintendent wrócił do swego dawnego zajęcia telegrafisty. Spotkałem go wczoraj w kościele. Zrobił na mnie wrażenie człowieka, który podobnie jak Maxwell przeszedł przez kryzys swego charakteru. Nie mogłem nie myśleć o nim, jako o dobrym materyale dla kościoła pierwszego wieku, kiedy to uczniowie posiadali wszystko wspólnie.

Ale weźmy sprawę Normana, redoktora pisma The Daily News. Zaryzykował on swój cały majątek dla tego, co jego zdaniem byłoby prawdopodobną czynnością Chrystusa i zrewolucyonizował całe prowadzenie pisma z narażeniem się na niepowodzenie. Posłałem panu jeden egzemplarz tego pisma. Niech je pan starannie przeczyta. Mojem zdaniem jestto jedno z najbardziej zajmujących i osobliwych pism, wydawanych kiedykolwiek w Stanach Zjednoczonych. Podlega ono krytyce, ale cóż mógłby podjąć w tym kierunku zwyczajny śmiertelnik, coby nie podlegało krytyce? Weź pan wszystko razem, a jestto tak daleko ponad zwyczajne pojęcie dziennika, że rezultat wprawia mnie wprost w zdumienie. Mówiono mi, że chrześcijanie Raymondu czytają pismo z każdym dniem coraz więcej. Norman ufa zupełnie w swe ostateczne powodzenie.

Przeczytaj pan jego artykuł wstępny w sprawie pieniężnej, także artykuł o zbliżających się wyborach w Raymondzie, kiedy to kwestya konsensów stanie znowu na porządku dziennym. Oba artykuły są jedne z najlepszych według jego zapatrywania. Powiada,

że nigdy nie rozpoczyna artykułu wstępnego bez uprzedniego postawienia pytania: Jakby Chrystus postąpił? Wynik jest niewątpliwie widoczny.

Następnie jest Milton Wright, kupiec. Mówiono mi, że tak zrewolucyonizował swój interes, iż nikt dzisiaj nie jest w całym Raymondzie więcej od niego kochany. Jego właśni subiekci i pomocnicy żywią względem niego prawdziwie wzruszający afekt. Podczas zimy, kiedy leżał niebezpiecznie chory w domu, dziesiątki subiektów ofiarowało się dobrowolnie czuwać przy nim albo pilnować w jakikolwiek sposób, a jego powrót do sklepu powitano w sposób demonstracyjny. Wszystko to zostało osiągnięte przez wprowadzenie do interesu pierwiastku miłości osobistej. A miłość ta, to nie same słowa, lecz interes cały jest prowadzony na zasadzie kooperacyi, nie będącej wyniosłem uznaniem niższych, lecz istotnym udziałem w całym interesie. Inni ludzie patrzą na Miltona Wrighta, jak na dziwaka. Jest atoli faktem, że o ile poniósł znaczne straty w pewnych kierunkach, o tyle zwiększył swój interes i jest dzisiaj szanowany jako jeden z kupców mających największe powodzenie w Raymondzie.

Jest wreszcie miss Winslow. Postanowiła ona oddać swój wielki talent biednym i nędznym swego miasta. Plany jej obejmują instytut muzyczny, który będzie posiadał klasy chórów i muzyki wokalnej. Ten cel życia entuzyazmuje ją. W połączeniu ze swą przyjaciółką miss Page, ułożyła kurs muzyki, który w życie wprowadzony, przyczyni się niewątpliwie znacznie do uszlachetnienia życia biedaków. Nie jestem zbyt starym, mój kochany Caxtonie, na to, aby się

zainteresować także romantyczną stroną tragicznych spraw Raymondzkich, a wszyscy spodziewają się, że miss Winslow wyjdzie tej wiosny za brata miss Page, który był ongi gwiazdą towarzyską i klubowcem, a został nawrócony w namiocie podczas służby Bożej, w której jego przyszła żona brała udział. Nie znam wszystkich szczegółów tego małego romansu, ale wyobrażam sobie, że łączy się z tem jakaś historya, która byłaby zajmująca w czytaniu, gdyby ją spisano.

Są to tylko nieliczne ilustracye wpływu na życie indywidualne, wynikłego z posłuszeństwa ślubowi. Miałem zamiar pomówić o prezydencie Marshu, z kollegium Lincolna. Jestto uczeń mojej Alma Mater, gdzie go też z lekka znałem. Wziął on czynny udział w świeżej agitacyi municypalnej, a wpływ jego w mieście uważają jako ważny czynnik w przyszłych wyborach. Zrobił on na mnie wrażenie takie same, jak wszyscy uczestnicy tego ruchu, to jest jako człowiek, który wypracował pewne trudne kwestye i który wziął na swe barki pewne istotne ciężary, powodujące to cierpienie, o jakim mówi Henryk Maxwell—cierpienie, które nie wyklucza, lecz powiększa pozytywną i praktyczną rozkosz.

Ale przewlekam ten list, nudząc pana może. Nie mogę jednak uniknąć uczucia zachwytu, który mój cały pobyt tutaj jeno powiększył. Chcę panu powiedzieć jeszcze słów kilka o dzisiejszym mityngu w Pierwszym kościele.

Wspomniałem już, że słyszałem Henryka Maxwella każącego. Na jego usilną prośbę miałem kazanie za niego zeszłej niedzieli i dlatego go teraz słyszałem po raz pierwszy od lat czterech. Jego kazanie

dzisiaj rano tak było różne od ówczesnego kazania, jak gdyby było pomyślane i wygłoszone przez mieszkańca innej planety. Wzruszenie moje było głębokie. Zdaje mi się nawet, że raz łzę uroniłem. Inni w kongregacyi byli tak samo jak ja wzruszeni. Za tekst wziął sobie słowa: Czemże to jest dla ciebie? Idź za mną. Był to niezwykle silny apel do chrześcijan Raymondu, aby wypełniali nauki Jezusa i wstępowali w Jego ślady, bez względu na postępowanie innych. Nie mogę powtórzyć nawet planu kazania, gdyżby mi to za wiele zabrało czasu. Po skończonej służbie odbył się jak zwykle dodatkowy mityng, który stał się nieodłącznym rysem Pierwszego kościoła. Na ten mityng stawili się wszyscy, którzy ślubowali postępować tak, jakby Chrystus postąpił, a czas schodzi na wzajemnych wynurzeniach, na pytaniach, jakby sobie Chrystus postąpił w specyalnych przypadkach i na prośbie, aby Duch św. był jedynym przewodnikiem postępowania każdego ucznia.

Maxwell zaprosił mnie na ten mityng. Nic w mem całem życiu probostwa nie wzruszyło mnie tak, jak to zebranie. Nigdy nie czułem tak potężnej obecności Ducha. Byłto mityng wspomnień i wzajemnej miłości. Myśl moja biegła niepowstrzymanie ku pierwszym czasom chrześcijaństwa. Było w tej prostocie i naśladowaniu Chrystusa coś wprost apostolskiego.

Stawiałem pytania. Jedno, które wywołało więcej zainteresowania niż inne, odnosiło się do rozmiarów ofiary z własności prywatnej, do jakiej uczeń Chrystusa jest powołany. Henryk Maxwell mówił mi że jak dotąd nikt nie interpretował ducha Chrys-

tusa w taki sposób, aby porzucić wszystkie ziemskie posiadłości, wyrzec się wszelkiego bogactwa, lub w jaki inny dosłowny sposób naśladować chrześcijan na wzór zakonu św. Franciszka z Assyżu. Zgodzono się atoli jednogłośnie, że gdyby którykolwiek uczeń poczuł, że Chrystus w jego specyalnem położeniu uczyniłby tak, to na pytanie mogłaby istnieć tylko jedna odpowiedź, Maxwell przyznał się otwarcie, że ustawicznie jeszcze jest do pewnego stopnia w niepewności co do prawdopodobnego postępowania Chrystusa, gdy chodzi o drobiazgi życia domowego, posiadanie bogactw, i pewnych zbytków. Jest atoli rzecz jasna, że bardzo wielu z tych uczniów doprowadziło wielokrotnie swe posłuszeństwo Chrystusowi do ostatecznych granic, bez względu na straty finansowe. Nie brak odwagi lub wytrwałości na tym punkcie. Jest zarówno prawdą, że niektórzy byznessmani, którzy uczynili ślub, utracili znaczne kwoty pieniężne wskutek naśladowania Chrystusa, a bardzo wielu, jak n. p. Aleksander Powers, utraciło intratne posady wskutek niemożności czynienia tego, do czego byli przyzwyczajeni, a równocześnie czynić to, co ich zdanie Chrystus byłby na ich miejscu uczynił. W połączeniu z temi sprawami miło jest zanotować fakt, że wielu, którzy ucierpieli z tego powodu, doznało natychmiast materyalnej pomocy od tych, co jej jeszcze byli w stanie udzielić. Pod tym względem prawdą jest, że ludzie ci posiadają wszystko na wspólkę. Niewątpliwie, że takich scen, jakie widzia-

rzyłem nawet, aby takie chrześcijańskie uczennictwo mogło istnieć jeszcze w dzisiejszych czasach. Wprost nie chcę wierzyć świadectwu własnych zmysłów. Ustawicznie jeszcze zapytuję siebie samego, czy to jest istotnie schyłek dziewiętnestego wieku w Amyrece.

Ale teraz, kochany przyjacielu, zbliżam się do istotnej przyczyny tego listu, do rdzenia całej sprawy, którą mej uwadze Pierwszy kościół w Raymondzie narzucił. Zanim mityng dzisiejszy się skończył, poczyniono kroki dla zapewnienia sobie współdziałania wszystkich innych uczniów Chrystusa w naszym kraju. Przypuszczam, że Henryk Maxwell postawił ten krok po długiej rozwadze. Tak przynajmniej oświadczył mi pewnego dnia, gdym wstąpił do niego dla pomówienia o wpływie tego ruchu na kościół w ogólności.

Przypuśćmy, powiedział, żeby wszyscy członkowie kościoła w naszym kraju uczynili ten ślub i żyli według niego! Jakążby to wywołało rewolucyę w świecie chrześcijańskim! I czemużby nie? Czyż przekracza to siły uczniów? Czyż kto naśladował Chrystusa, nim powziął postanowienie takiego postępowania? Czyż próba uczennictwa ma być mniejsza dzisiaj niż za czasów Chrystusa?

Nie znam tego wszystkiego, co poprzedziło jego myśl o tem, co należy uczynić poza Raymondem, ale idea skrystalizowała się dzisiaj w plan zapewnienia sobie współdziałania wszystkich chrześcijan amerykańskich. Kościoły przez swoich księży zostaną zaproszone do tworzenia zgromadzeń uczniów podobnych do zgromadzenia w Pierwszym kościele. Z wielkiego ciała członków kościoła zostaną

powołani ochotnicy w całych Stanach Zjednoczonych, aby czynić tak, jak Chrystus czynił. Maxwell mówił specyalnie o wpływie takiej ogólnej akcyi na sprawę szynków, na którą zapatruje się ogromnie poważnie. Oświadczył mi, że w jego umyśle nie ma wątpliwości pod tym względem, iż szynk zostanie pobity w Raymondzie przy najbliższych wyborach. Jeżeli tak, to mogą brnąć dalej z otuchą w pracy odrodzenia, zaczętej przez misyonarza, a podpętej teraz przez uczniów jego własnego kościoła. Jeżeli szynk znowu odniesie tryumf, nastąpi straszne i jego zdaniem niepotrzebne trwonienie chrześcijańskiego poświęcenia. Ale jakkolwiek różnimy się na tym punkcie, udało mu się przekonać swój kościół, że nastąpił czas wspólnego działania z innymi chrześcijanami. Istotnie skoro Pierwszy kościół mógł sprowadzić takie zmiany w towarzystwie i jego otoczeniu, to kościół w ogólności łącząc taką wspólność nie już wyznania, ale postępowania, powinien pobudzić cały naród do wyższego życia i nowego pojęcia chrześcijańskiego uczennictwa.

Wspaniała to idea, Caxtonie, ale zaraz tutaj muszę się zawahać. Nie zaprzeczam, że uczeń Chrystusa winien naśladować Go tak ściśle, jak to Raymondczycy usiłują czynić. Ale nie mogę uniknąć postawienia pytania, jaki będzie wynik zaproszenia mego kościoła w Chicago do tego samego? Piszę to po doznaniu uroczystego, głębokiego wpływu obecności Ducha i wyznaję ci, stary przyjacielu, że nie mogę sobie przypomnieć w moim kościele tuzina wybitnych ludzi zawodowych, którzyby chcieli uczynić tę próbę, narażając na ryzyko wszystko, co uważają dla siebie za drogie. Czy pan mógłbyś osiągnąć lepszy rezultat

w swoim kościele? O czemże my mówimy, że kościół nie posłuchałby wezwania: Pójdź i cierp? Faktyczne rezultaty ślubu, wykonywanego tu w Raymondzie, wystarczają zupełnie na to, aby każdy proboszcz zadrżał, a równocześnie, aby pragnął ich wystąpienia w jego własnej parafii. Napewne nigdy jeszcze nie widziałem kościoła tak wyraźnie pobłogosławionego przez Ducha jak ten. Ale—czy jestem sam gotów uczynić taki ślub? Stawiam to pytanie uczciwie i lękam się dać uczciwą odpowiedź. Wiem, że musiałbym wiele zmienić w mojem życiu, chcąc ściśle iść w Jego ślady. Uważałem się za chrześcijanina przez wiele lat. W ciągu ostatnich dziesięciu lat używałem życia, które nie wiele względnie przedstawiało cierpienia. Wyznaję uczciwie, że żyję zdala od zagadnień municypalnych i życia biednych, poniżonych i opuszczonych. Czegożby wymagało posłuszeństwo temu ślubowi? Waham się dać na to odpowiedź. Mój kościół jest bogaty, pełny ludzi zamożnych i zadowolonych. Miara ich uczennictwa nie jest taka, żeby miała pójść za wezwaniem do cierpienia i strat osobistych. Powiadam, że jesetm świadomy tego. Może być, że się mylę. Może być, że zbłądziłem, nie usiłując wzniecić w nich głębszego życia. Caxtonie, mój przyjacielu, odkryłem ci moje najskrytsze myśli. Czyż mam następnej niedzieli wrócić do moich parafian, stanąć przed nimi w mym wielkim kościele i powiedzieć: Naśladujmy Chrystusa dokładniej. Idźmy w Jego ślady tam, gdzie nas to będzie kosztować nieco więcej, niż kosztuje obecnie. Ślubujmy nie uczynić nic bez uprzedniego zapytania się: Jakby Chrystus postąpił? Gdybym stanął przed nimi z tem wezwaniem byłoby ono dziwne

dla nich i wprawiłoby w zdumienie. Ale dlaczego? Czyż nie powinniśmy naśladować Go istotnie przez całą drogę? Cóż to znaczy być naśladowcą Chrystusa? Co znaczy być Jego wyznawcą? Co znaczy wstępować w Jego ślady?

Wiel. Calvin Bruce, D. D. z Nazareth Avenue Church, Chicago, wypuścił pióro z ręki. Doszedł do rozstajnych dróg, czując, że jego pytanie jest pytaniem bardzo wielu duchownych i świeckich. Podszedł do okna i otworzył je. Ciężar przekonań przygniatał go, a powietrze izby niemal dusiło. Zapragnął ujrzeć gwiazdy i poczuć oddech świata.

Noc była bardzo spokojna. Zegar Pierwszego kościoła bił dwunastą. Gdy skończył bić—silny, czysty głos od strony czworoboka popłynął ku niemu, jakby niesiony na promiennych skrzydłach:

Czyż Chrystus ma nieść krzyż sam,
A cały świat być wolnym?
Nie! Dla każdego jest krzyż,
Nie brak też i krzyża dla mnie.

Był to głos jednego ze starych nawróceńców Graya, stróż nocny w składzie pakunków, który pocieszał się nieraz w swych samotnych godzinach kilku wierszami jakiegoś znanego sobie hymnu.

Wiel. Calvin Bruce odwrócił się od okna, a po chwili wahania ukląkł: "Jakby Chrystus postąpił?" Jakby Chrystus postąpił? Nigdy jeszcze nie powierzył się tak zupełnie rewelacyi Chrystusa, dokonywanej przez Ducha. Długo klęczał. Położył się wreszcie, ale sen jego przerywało ciągłe budzenie się. Podniósł się jeszcze przed brzaskiem dnia i znowu otworzył swe okno. Gdy światło na wschodzie spotęgowało się,

powtarzał sam sobie: "Jakby Chrystus postąpił? Coby On uczynił? Czy mam iść w Jego ślady?"

Słońce wzeszło i oblało miasto swymi promieniami. Kiedyżto brzask nowego uczennictwa zainauguruje zwycięzki tryumf ściślejszego naśladowania Chrystusa? Kiedyż świat chrześcijański pójdzie ściślej po ścieżce, jaką On wskazał?

Oto droga, którą szedł Mistrz,
Czyż sługa nie ma nią iść?

Z tem pytaniem, rozpierającem jego istotę, wiel. Calvin Bruce wrócił do Chicago, a wielki kryzys życia chrześcijańskiego w zawodzie kaznodziejskim wybuchnął w nim nagle.

Tak więc rozbudzenie religijne podobne Raymondzkiemu rozpoczęło się wNazaretańskim kościele w Chicago, gdzie jeden z biskupów przyłączył się do tego ruchu wraz z wiel. dr. Bruce'm.

ROZDZIAŁ IX.

Panie, pójdę za Tobą, w którąkolwiek stronę byś się zwrócił.

Na bulwarze w Chicago stała piękna siedziba pańska z szarego kamienia, urządzona jak pałac, ozdobiona malowidłami, rzeźbami i nowożytnym komfortem.

Właściciel rezydencyi, mr. Charles R. Sterling, stał przed płonącym kominkiem, paląc cygaro. Pieniądze swoje zrobił na spekulacyi zbożowej i kolejowej i uchodził za chłowicka, posiadającego dwa miliony majątku. Żona jego była siostrą mr. Winslow z Raymondu. Od kilku lat była mocno cierpiąca. Dwie córki, Róża i Felicya, były jedynemi dziećmi. Róża liczyła sobie lat dwadzieścia jeden, była przystojna, żywa, wychowana w modnem kollegium, wchodziła właśnie w towarzystwo, będąc już nieco cyniczną i apatyczną. Felicya miała lat dziewiętnaście, była typem tropikalnej piękności, coś w rodzaju swej kuzynki Racheli Winslow, o ciepłych, szlachetnych impulsach, budzących się właśnie w chrześcijańskie uczucie, zdolnych do wszelkiego rodzaju ekspresyi i stanowiła zagadkę dla ojca, źródło irytacyi dla matki, a odznaczała się wielkiem i niezbadanym zakresem myśli i czynu, którego była dosyć świadoma. W usposobieniu Felicyi było coś, coby jej łatwo dało znieść każde położenie w życiu, gdyby tej tylko dozwolono działać całkiem w myśl jej własnych przekonań.

—Masz list do siebie, Felicyo—rzekł mr. Sterling, wyjmując go z kieszeni.

Felicya usiadła i natychmiast otworzyła list, mówiąc równocześnie.

—To od Racheli.

—Jakież tam są ostatnie wiadomości z Raymondu? —spytał mr. Sterling, wyjmując cygaro z ust i patrząc na Felicyę, z nawpół przymkniętych oczu, jak to zwykł był czynić często i jakby studyując ją.

—Rachela pisze, iż dr. Bruce prowadził w Raymondzie studya przez dwie niedziele i zdawał się bardzo interesować ślubem mr. Maxwella z Pierwszego kościoła.

—Cóż Rachela mówi o samej sobie?—spytała Róża, leżąc na kanapie zagrzebana niemal w pół tuzinie modnych poduszek.

—Ustawicznie jeszcze śpiewa w czworoboku. Od czasu jak mityngi w namiocie skończyły się, śpiewa w starej hali, aż do chwili, w której zostaną ukończone nowe budynki, wznoszone przez jej przyjaciółkę, Virginię Page.

—Muszę napisać do Racheli, aby przyjechała odwiedzić nas w Chicago. Nie powinna marnować swego głosu w tem mieście kolejowem, w którem nikt jej nie potrafi ocenić.

Mr. Sterling zapalił nowe cygaro, a Róża zawołała:

—Zdaje mi się, że Rachela jest niesłychanie dziwna. Mogłaby poprzewracać głowy całemu Chicago swoim głosem, gdyby zaśpiewała w audytoryum. Tymczesem tam trwoni głos dla ludzi, którzy nie wiedzą czego słuchają.

—Rachela nie uczyni tego, jeżeli nie zdoła pogodzić ztem posłuszeństwa uczynionemu ślubowi—rzekła Felicya po chwili.

—Jakiemu ślubowi?

Mr. Sterling postawił pytanie, a potem dodał pospiesznie:

—Oh, już wiem, tak. Mocno to osobliwa historya. Powers był ongi moim przyjacielem. Uczyliśmy się telegrafii w tem samem biurze. Wywołał wielką senzacyę, zrezygnowawszy i wręczywszy dowody Międzystanowej Komisyi Handlowej. Teraz znowu wrócił do swego telegrafu. W ciągu ostatniego roku, dziwaczne rzeczy działy się w Raymondzie. Ciekaw jestem, co o tem myśli dr. Bruce. Muszę z nim pogadać o tem.

—Będzie miał jutro kazanie — rzekła Felicya. —Może być, że nam coś o tem powie.

Nastąpiła minutowa cisza. Potem Felicya mówiła głosem urywanym, jak gdyby wyrażała głośno swą myśl do niewidzialnego słuchacza:

—A gdyby tak zaproponował uczynienie tego samego ślubu członkom kościoła Nazareth Avenue?

—Kto? O czem ty mówisz?—zapytał ją ojciec nieco ostro.

—Mówię o dr. Bruce. Powiadam, coby było, gdyby zaproponował naszemu kościołowi to samo, co mr. Maxwell zaproponował swojemu i wezwał ochotników do złożenia ślubu, iż niczego nie uczynią przed postawieniem sobie pytania: Jakby Chrystus postąpił?

—Niema o to obawy—rzekła Róża, podnosząc się nagle z kanapy na głoś dzwonka, wzywającego do herbaty.

—Jestto ruch bardzo niepraktyczny, przynajmniej według mego zdania—rzekł mr. Sterling ostro.

—Z listu Racheli rozumiem, że kościół w Raymond chce uczynić próbę, rozciągnięcia ślubu na inne kościoły. Jeżeli mu się to uda, to niezawodnie sprowadzi to ogromne zmiany w kościołach i w życiu ludzi—rzekła Felicya.

—Oh, ba, napijmy się naprzód herbaty—rzekła Róża, wchodząc do jadalni.

Ojciec i Felicya poszli za nią, poczem wszyscy w milczeniu zasiedli do jadła. Mrs. Sterling jadła zawsze u siebie w pokoju. Mr. Sterling był jakiś zamyślony. Jadł bardzo nie wiele i odszedł od stołu wcześnie, a chociaż to był wieczór sobotni, powiedział wychodząc, że zatrzyma się do poźna w dole miasta dla załatwienia specyalnego interesu.

—Czy nie sądzisz, że ojciec wygląda w ostatnich czasach bardzo zaniepokojony? — spytała Felicya w chwilę po jego wyjściu.

—Oh, nie wiem. Nie zauważyłam nic niezwykłego —odparła Róża.

Po chwili milczenia rzekła znowu.

—Czy pójdziesz dziś wieczorem do teatru, Felicyo? Mrs. Delano przyjdzie po nas o wpół do ósmej. Zdaje mi się, że powinnabyś pójść. Odmowa twoja dotknie ją.

—Pójdę. Nie dbam o rzecz wcale. Mogę widzieć dosyć cieni bez chodzenia do teatru.

—Żałosne to słowa w ustach dziewiętnastoletniej panny—odparła Róża.—W każdym razie idee twoje, Felicyo, są bardzo osobliwe. Jeżeli pójdziesz odwie-

dzić matkę, powiedz jej, że zabiegnę po teatrze, jeżeli jeszcze nie będzie spała.

Felicya poszła na górę odwiedzić swą matkę i pozostała u niej tak długo, dopóki powóz państwa Delano nie zajechał. Mrs. Sterling była zaniepokojona swym mężem. Mówiła nieustannie, a każda uwaga ze strony Felicyi drażniła ją. Nie chciała nawet słuchać usiłowań Felicyi odczytania bodaj części listu Racheli, a kiedy Felicya ofiarowała się zostać z nią na cały wieczór, odrzuciła ofiarę z wyraźną szorstkością.

Tak więc Felicya udała się do teatru nie bardzo szczęśliwa; ale uczucie to nie było jej obce, jeno czasami była nieszczęśliwsza, niż zwykle. Uczucie jej wyrażało się tego wieczora przez wniknięcie w siebie samą, co zwiększało jeno i przyspieszało pojawienie się jej kryzysu.

Późnego wieczora, obie siostry wróciły z teatru. Róża weszła do salonu i zaczęła jeść owoce i ciastka, leżące na talerzu w kredensie. Felicya zaś poszła do pokoju matki. Gdy weszła po wielkich schodach i znalazła się w górnej sieni, światło się paliło a służąca nie odstępująca na krok mrs. Sterling, wzywała Felicyę ruchem ręki, aby weszła.

—Każ Klarze wyjść—zawołała mrs. Sterling, kiedy Felicya podeszła do łóżka i uklękła przy nim.

Felicya zdumiała się, ale uczyniła tak, jak jej matka poleciła, a potem zapytała, jak się czuje.

—Felicyo!—rzekła matka—czy jesteś w stanie modlić się?

Pytanie tak było niezwykłe w ustach matki, że Felicya przeraziła się, ale odparła:

—Zapewne, matko. Dlaczego stawiasz takie pytanie?

—Felicyo, doznaję uczucia strachu. Twój ojciec —takiej dziwnej trwogi doznawałam o niego cały dzień. Coś jest z nim niedobrze. Chcę, byś się modliła.

Teraz, matko i tutaj?

—Tak. Módl się Felicyo.

Felicya ujęła matkę za rękę, która drżała. Mrs. Sterling nigdy nie okazywała wiele czułości dla swej młodszej córki, a jej dziwna prośba była pierwszym istotnym objawem ufności w charakter Felicyi.

Dziewczyna klęczała, trzymając w swej dłoni drżącą dłoń matki i modliła się. Nigdy bodaj przedtem nie modliła się głośno. W modlitwie swej musiała mówić słowa, których jej matka potrzebowała, ponieważ gdy cisza zaległa izbę, chora zapłakała z cicha, a nerwowe napięcie minęło.

Felicya pozostała czas jakiś. Kiedy atoli była pewna, że matka nie potrzebuje jej już więcej, podniosła się aby sobie pójść.

—Dobranoc ci, matko. Każ Klarze zawołać mnie, jeżeli poczujesz się niedobrze w nocy.

Już czuję się lepiej.

Ranek niedzielny w rezydencyi Sterlingów był zazwyczaj bardzo spokojny. Panny szły do kościoła na służbę Bożą o godzinie jedenastej. Mr. Sterling nie był wprawdzie członkiem, ale płacił sporo i zwykle szedł rano do kościoła. Tym razem nie zjawił się przy śniadaniu ,a wreszcie zawiadomił przez służącego, że się nie dobrze czuje i że pokoju nie opuści. Tak więc

Felicya i Róża pojechały same do Nazareth Avenue Church.

Dr. Bruce opowiedział w kazaniu swoje doświadczenie z wizyty w Raymond i wezwał lud do uczynienia tego samego ślubu.

Służba Boża zakończyła się ciszą, którą tylko zwolna przerywano. Po kilku ludzi w różnych stronach kościoła podnosiło się ze swych siedzeń. W ruchach obecnych objawiała się jakaś uderzająca niechęć.

Róża wyszła prosto z ławki a doszedłszy do nawy obróciła się wzywając ręką Felicyę. W tejże samej chwili cała kongregacya już powstała ze swych miejsc.

Felicya natychmiast dała odpowiedź na spojrzenie siostry.

—Ja zostanę—powiedziała, a że Róża słyszała ją mówiącą takim samym tonem przy innych sposobnościach, przeto wiedziała, że postanowienia Felicyi już nie zmieni. Mimo to podeszła ku niej dwa czy trzy kroki i spojrzała jej w twarz.

—Felicyo—szepnęła, a rumieniec gniewu oblał jej twarz—to jest szaleństwo. Cóż ty możesz uczynić? Sprowadzisz hańbę na całą rodzinę. Cóż ojciec na to powie? Chodź lepiej!

Felicya spojrzała na nią, ale nie odpowiedziała natychmiast. Usta jej poruszyły się modlitwą, pochodzącą z głębi uczucia, będącego zwiastunem nowego życia dla niej. Wstrząsnęła głową.

—Nie, pozostanę. Uczynię ślub. Jestem gotowa wykonać go. Nie wiesz, dlaczego to czynię.

Róża spojrzała na nią raz jeszcze, poczem opuściła

ławkę i poszła przez nawę. Nie przystanęła nawet dla pomówienia ze znajomymi.

Gdy Róża przyszła do domu, ojciec stał w zwyczajnej postawie przed otwartym kominkiem, paląc cygaro.

--Gdzie Felicya?--spytał Róży, wchodzącej bez siostry.

—Została na mityng dodatkowy—odparła Róża krótko.

Zrzuciła okrycie i już miała iść na górę, gdy Mr. Sterling zawołał za nią:

—Mityng dodatkowy? Co rozumiesz przez to?

—Dr. Bruce wezwał swój kościół do uczynienia ślubu raymondzkiego.

Mr. Sterling wyjął cygaro z ust i kręcił je nerwowo w palcach.

—Nie spodziewałem się tego po dr. Bruce. Czy wielu członków pozostało?

—Nie wiem. Ja nie zostałam—odparła Róża i udała się w górę schodów, pozostawiając ojca stojącego w salonie.

Po kilku minutach podszedł do okna i stał tam, patrząc na ludzi, jeżdżących po bulwarze. Cygaro jego zagasło, lecz on je mimo to trzymał w palcach nerwowo zaciśniętych. Potem odwrócił się od okna i przechadzał się po pokoju. Służący przeszedł przez przedpokój, anonsując obiad, ale on kazał czekać na Felicyę. Róża zeszła na dół i udała się do czytelni. Mr. Sterling zaś nieustannie przechadzał się niespokojnie po salonie. W końcu znużył się może spacerowaniem i ciskając się na krzeszło, rozmyślał nad czemś głęboko, gdy weszła Felicya.

On powstał na jej spotkanie. Felicya była widocznie bardzo wzruszona mityngiem, z którego tylko co wróciła. Równocześnie atoli, nie życzyła sobie mówić o nim dużo. Właśnie gdy się znalazła w salonie, Róża weszła z czytelni.

—Iluż was pozostało?—spytała.

Róża była niezmiernie ciekawa. Równocześnie zachowywała się zupełnie sceptycznie względem całego ruchu raymondzkiego.

—Około setki—odparła Felicya poważnie.

Mr. Sterling zdradzał zdumienie. Felicya zabierała się do wyjścia z pokoju, ale ojciec odezwał się do niej.

—Czy istotnie zamierzasz dotrzymać ślubu?—spytał.

Felicya zarumieniła się. Twarz i szyję oblał jej ciepły rumieniec, gdy odparła:

—Nie stawiałbyś ojcze takiego pytania, gdybyś był obecny na mityngu.

Zatrzymała się chwilę w pokoju, potem prosiła, aby się jej było wolno chwilę spóźnić na obiad i wyszła na górę dla odwiedzenia matki.

Nigdy się nikt nie dowiedział jakiej treści była rozmowa pomiędzy Felicyą a matką. Pewną jest rzeczą, że musiała powiedzieć swej matce coś o sile duchowej, co grozą przejęła wszystkich obecnych w grupie uczniów Nazareth Avenue Church, którzy stawili się na wezwanie dr. Bruce po rannej służbie Bożej. Pewnem jest także, iż Felicya nie znała poprzednio takiego doświadczenia i nie byłaby pomy-

ślała o podzieleniu się tem ze swoją matką, gdyby nie modlitwa, odmówiona ostatniego wieczora. Wiadomy jest jeszcze inny fakt z doświadczenia Felicyi w tym czasie. Kiedy znalazła się przy stole w towarzystwie ojca i Róży nie była w stanie powiedzieć im wiele o mityngu. Czuła jakąś niechęć do mówienia o rzeczy, tak jak ktoś mógłby się wahać opisać cudowny zachód słońca komuś, co nigdy o niczem innem nie mówił, jak tylko o pogodzie. Gdy ta niedziela dobiegała w rezydencyi Sterlingów do końca, a miękkie, ciepłe światło wybiegało na ulicę przez wielkie okna mieszkania, w ciemnym rogu swego pokoju klęczała Felicya, a gdy podniosła twarz i skierowała ją ku światłu. to można z niej było wyczytać, że zdefiniowała już dla siebie samej najważniejsze zagadnienia życia.

Tego samego wieczora po niedzielnej służbie wieczornej, wiel. Calvin Bruce, D. D., rozprawiał ze swą żoną o wypadkach dnia. Byli oni w tej sprawie jednej myśli i patrzyli w swą nową przyszłość z całą wiarą i odwagą świeżych uczniów. Żadne z nich nie łudziło się na punkcie prawdopodobnych wyników ślubu dla siebie samych i dla kościoła.

Rozmawiali ze sobą krótko, gdy dzwonek się odezwał, a dr. Bruce, idąc do drzwi, zawołał otwierając je:

—Ah! to ty Edwardzie! Proszę!

Do przedpokoju weszła imponująca postać. Biskup odznaczał się niezwykłą wysokością i szerokością barków, a przytem tak był proporcyonalnie zbudowany, że nie czynił wrażenia niezgrabności, ale raczej wrażenie ogromnego zdrowia i wielkiego afektu.

Wszedł do salonu i przywitał miss Bruce, która po kilku chwilach została wywołana z pokoju, zostawiając obydwóch duchownych razem. Biskup siedział w głębokim fotelu przed płonącym ogniem. Wczesna wiosna czyniła jeszcze łagodny ogień kominkowy miłym.

—Calvinie, uczyniłeś dzisiaj bardzo poważny krok —rzekł nakoniec, podnosząc swe wielkie ciemne oczy na starego kolegę szkolnego.—Słyszałem o tem dziś po południu. Nie mogłem się oprzeć, aby zaraz wieczorem nie pogadać z tobą o tem.

—Cieszy mnie, że przyszedłeś.

Dr. Bruce siedział w bliskości biskupa i położył dłoń na jego ramieniu.

—Ty pojmujesz Edwardzie, co to znaczy?

—Zdaje mi się, że tak. Napewne pojmuję.

Biskup mówił bardzo powoli i z rozmysłem. Siedział ze złożonemi rękami. Po twarzy jego, porysowanej liniami uświęcenia, służby i miłości ludzi, przesunął się cień, nie spowodowany ogniem kominka. Znowu podniósł oczy na swego starego przyjaciela.

—Calvinie, myśmy się zawsze rozumieli. Od czasu kiedy los poprowadził nas różnemi drogami w życiu kościelnem, kroczyliśmy razem w duchu chrześcijańskim.

—To prawda—odparł dr. Bruce z emocyą, której nie usiłował ukryć lub przytłumić.—Bogu dzięki za to. Twoje współczucie cenię bardziej, niż czyjekolwiek inne. Wiedziałem zawsze, co ono znaczy, jakkolwiek nigdy nie zasłużyłem na nie.

Biskup spoglądał czule na przyjaciela. Ale cień

ustawicznie jeszcze pokrywał jego oblicze. Po chwili ciągnął dalej:

—Nowe uczennictwo znaczy dla ciebie kryzys w twej pracy. Jeżeli dotrzymasz ślubu postępowania tak, jakby Chrystus postąpił—a wiem, że dotrzymasz —nie trzeba proroka, aby przepowiedzieć zdumiewające zmiany w twej parafii.

Po myśli miały nastąpić odpowiednie słowa. Dr. Bruce wyciągnął dłoń i poufałością jak życie długiej przyjaźni złożył je na ramieniu biskupa i już miał postawić mu bardzo ważne pytanie, gdy przerwał im gwałtowny odgłos dzwonka. Mrs. Bruce podeszła ku drzwiom i rozmawiała z kimś w sieni. Nagle dał się słyszeć głośny okrzyk, a gdy biskup podniósł się, dr. Bruce zaś podszedł ku zasłonie, oddzielającej salon od przedpokoju. Mrs. Bruce stanęła blada i drżąca.

—Oh! Calvinie! Jaka straszna wieść! Mr. Sterling—Oh, nie mogę wymówić! Jakiż to straszny cios dla tych dwóch dziewcząt!

—Co się stało?

Dr. Bruce postąpił naprzód z biskupem i stanął wobec posłańca, służącego Sterlingów. Człowiek był bez kapelusza i widocznie biegł z wiadomością, ponieważ doktór ze wszystkich przyjaciół rodziny mieszkał najbliżej.

—Mr. Sterling zastrzelił się przed kilku minutami. Zabił się w pokoju sypialni! Mr. Sterling.

—Idę natychmiast Edwardzie—rzekł dr. Bruce, zwracając się do biskupa—czy pójdziesz ze mną? Sterlingowie są wszakże twymi dawnymi przyjaciółmi.

Biskup był bardzo blady, ale spokojny jak zawsze.

Spojrzał swemu przyjacielowi w twarz i rzekł:

—Tak Calvinie. Pójdę razem z tobą, nietylko do tego domu śmierci, ale przez całą drogę ludzkiego grzechu i zmartwienia. Tak mi Panie Boże dopomóż.

Nawet w tej chwili przerażenia z powodu niespodziewanej wiadomości Calvin Bruce zrozumiał dobrze przyrzeczenie biskupa.

Kiedy dr. Bruce i biskup weszli do rezydencyi Sterlingów, wszystko w dobrze zazwyczaj urządzonem domostwie znajdowało się w największem zamieszaniu i przerażeniu. Wielkie pokoje na dole były puste, ale w górze odzywały się przyspieszone kroki i zmieszane głosy. Jedna ze służących zbiegła po wielkich schodach, z wyrazem przerażenia na twarzy, właśnie w chwili, kiedy biskup i dr. Bruce wchodzili do góry.

W chwilę potem na parterze domu zrobił się tumult. Prawie w tejże samej chwili doktór, po którego natychmiast posłano, zjawił się razem z urzędnikami policyjnymi, którzy zostali wezwani przez przerażoną służbę. Razem z policyą zjawiło się kilku reporterów dziennikarskich i kilku sąsiadów. Dr. Bruce i biskup spotkali ten mieszany tłum u wejścia na schody i wyprosili wszystkich z wyjątkiem tych, których obecność była istotnie potrzebna. Od tych dwaj przyjaciele dowiedzieli się szczegółów o "tragedyi Sterlingów," jak ją wszystkie pisma na drugi dzień nazwały.

Mr. Sterling udał się tego wieczora do swego pokoju około godziny dziewiątej i wtedy widziano go po raz ostatni, aż dopóki w pół godziny potem nie usłyszano strzału, po którym służący wpadł do pokoju i znalazł na ziemi nieżywego właściciela domu, zabitego własną dłonią. Felicya siedziała w tej chwili

przy matce. Róża czytała w bibliotece. Pobiegła na górę, ujrzała ojca, podnoszonego przez służących z podłogi na kanapę, potem pobiegła z krzykiem do pokoju matki, gdzie zemdlona upadła przy łóżku. Mrs. Sterling zemdlała na wieść o ciosie, potem opamiętała się ze zdumiewającą szybkością i posłała po dr. Brucea. Wtedy uparła się koniecznie, żeby ujrzeć męża. Pomimo oporu ze strony Felicyi, zniewoliła Klarę i służącą, przerażoną i drżącą, do podtrzymywania jej podczas przechodzenia przez sień i wchodzenia do pokoju, w którym leżał nieboszczyk. Patrzyła na niego bez płaczu, wróciła do swego pokoju, ułożyła się na łóżku, a gdy dr. Bruce i biskup wchodzili do domu, zmarła z prośbą o przebaczenie dla siebie i męża na drżących ustach, gdy Felicya stała nachyloną nad nią, a Róża ustawicznie jeszcze leżała bez zmysłów u jej stóp.

Tak wielkie i szybkie było wdarcie się ponurej śmierci do pałacu rozkoszy onej niedzieli wieczorem. Ale całkowita przyczyna jej wdarcia się nie była znana, aż dopóki nie odkryto szczegółów, odnoszących się do interesów mr. Sterlinga.

Wtedy dowiedziano się, że od jakiegoś czasu stał wobec ruiny finansowej, którą zawdzięczał pewnym spekulacyom, co w ciągu miesiąca zamieniły jego domniemane bogactwo na zupełne bankructwo. Z przebiegłością i rozpaczą człowieka, walczącego o życie, gdy widział pieniądze, które jedynie w życiu cenił, wymykające mu się z rąk, odsuwał straszny dzień do ostatniej chwili. W niedzielę po południu atoli

otrzymał wiadomość, która dowiodła mu czarno na białem jego majątkowej ruiny. Dom, który nazywał swoim, krzesła, na których się rozsiadywał, powóz, talerze i półmiski, z których jadł, wszystko to było nabyte za pieniądze, na które w istocie nigdy uczciwie nie pracował.

Wszystko to spoczywało na rusztowaniu z oszustwa i spekulacyi, nie mającej podstawy w realnych wartościach. Znał on ten fakt lepiej, niż ktokolwiekbądź inny, ale miał nadzieję, właściwą tej klasie ludzi, że te same metody, które mu dostarczały pieniędzy, uchronią go też od strat. Ale w tem zawiódł się podobnie jak wielu innych. Jak skoro tylko uprzytomnił sobie jasno, że jest żebrakiem, nie widział ucieczki od samobójstwa. Był to nieunikniony wynik życia, jakie prowadził. Pieniądz był jego bóstwem. Jak skoro tylko ten bóg wyniósł się z jego małego światka, nie pozostało mu nic do uwielbiania; a jeżeli przedmiot uwielbienia zniknie, to człowiek nie ma już poco żyć dłużej. Tak oto umarł wielki milioner, Charles R. Sterling. A zaprawdę umarł jak głupiec, bo czemże jest zysk lub strata pieniędzy w porównaniu z niezbadanemi bogactwami żywota wiecznego, leżącymi poza zakresem spekulacyi, straty, lub zmiany losu?

Śmierć mrs. Sterling była wynikiem ciosu. Mąż niedopuszczał jej do swych spraw przez całe lata; wiedziała tyle tylko, że źródło jego bogactwa było niepewne. Życie jej było przez kilka ostatnich lat życiem w śmierci. Rolfowie zawsze byli w stanie więcej niż ktokolwiek inny znosić ciosy bez wzruszenia.

Mrs. Sterling stanowiła ilustracyę tej dawnej tradycyi rodzinnej, kiedy ją zaprowadzono do pokoju, w którym znajdował się jej mąż. Ale słaba budowa nie mogła utrzymać ducha, którego też wyzionęło ciało, znużone długiemi laty cierpienia i zawodów.

Efekt tego potrójnego ciosu, śmierć ojca i matki, oraz utrata majątku, objawił się natychmiast na siostrach. Straszne wypadki oszołomiły Różę na przeciąg tygodni. Żadna sympatya ani żaden wysiłek nie zdołał jej ocucić. Zdawała się nie uświadamiać sobie jeszcze tego faktu, że pieniądze, które stanowiły tak znaczną część jej egzystencyi, zniknęły. Nawet kiedy jej powiedziano, że i ona i Felicya muszą dom opuścić i zdać się na łaskę krewnych, oraz przyjaciół, zdawała się nie pojmować znaczenia sytuacyi.

Felicya atoli posiadała pełną świadomość położenia. Wiedziała dobrze, co się stało i dlaczego. Omawiała swe przyszłe plany z kuzynką Rachelą, w kilka dni po pogrzebie. Miss Winslow i Rachela opuściły Raymond i przybyły do Chicago natychmiast po otrzymaniu żałobnej wiadomości i zaczęły razem z innymi przyjaciółmi rodziny zastanawiać się nad przyszłością Róży i Felicyi.

—Felicyo, ty i Róża musicie jechać z nami do Raymondu, to rzecz postanowiona. Matka nie chce w danej chwili słuchać o żadnym innym projekcie— rzekła Rachela, gdy piękna jej twarz promieniała miłością dla kuzynki, miłością, pogłębiającą się codzień i wzmacniającą pod wpływem faktu, że obię wyznawały nowe uczennictwo.

—Chybabym mogła znaleźć tu jakąś pracę—rzekła Felicya.

Spojrzała uważnie na Rachelę, która odezwała się łagodnie:

Cóżbyś ty mogła robić, moja droga?

—Nic. Nigdy mnie niczego nie uczono, chyba odrobiny muzyki, której nie umiem tyle, aby módz dawać lekcye lub w inny sposób muzyką zarabiać. Uczyłam się też nieco gotować—odparła Felicya z lekkim uśmiechem.

—Możesz więc gotować dla nas. Matka zawsze ma kłopot z kuchnią—rzekła Rachela, rozumiejąc dobrze, iż Felicya myślała o tem, że obecnie zależy w całości od łaskawości i dobroci przyjaciół rodziny.

Prawda, że dziewczyny otrzymały nieco z majątku swego ojca, ale ten z obłędem szalonego spekulanta wciągnął do wspólnej ruiny udziały żony i córek.

—Czyż zdołam? Czyż zdołam?

Felicya dała odpowiedź na propozycyę Racheli, jak gdyby miano ją rozważać na seryo.

—Jestem gotowa robić cokolwiekbądź uczciwego, byle zarobić na utrzymanie swoje i Róży. Biedna Róża! Ona nigdy nie będzie w stanie zapomnieć wstrząśnienia, jakiegośmy doznały.

—Szczegóły omówimy po przyjeździe do Raymond —rzekła Rachela, śmiejąc się przez łzy z gorącej chęci Felicyi pomyślenia o samej sobie.

Tak więc Róża i Felicya stały się częścią rodziny Winslow w Raymondzie. Było to gorzkie doświadczenie dla Róży, ale nie pozostało jej nic innego do czynienia, to też zgodziła się na to, co było nieuniknione, rozmyślając o wielkiej zmianie w swem życiu i powiększając w wieloraki sposób ciężar życia Felicyi i Racheli.

Felicya znalazła się natychmiast w atmosferze uczennictwa, która była dla niej jakby niebem. Prawda, że pani Winslow nie sympatyzowała z drogą, po jakiej szła Rachela, ale zdumiewające zdarzenia od czasu uczynienia ślubu były zanadto potężne w swych rezultatach, aby nie zrobić wrażenia nawet na taką jak miss Winslow kobietę. U Racheli znalazła Felicya zupełne współdziałanie. Zdołała ona w tej chwili znaleźć odpowiedni dla siebie dział pracy w czworoboku. W duchu swego nowego życia obstawała przy tem, aby pomagać w pracy domowej swej ciotce i wkrótce wykazała swe zdolności kucharskie tak jasno, że Virginia podsunęła myśl, aby wzięła pod swój zarząd klasę gotowania w czworoboku.

Felicya wzięła się do tej pracy z żywą przyjemnością. Po raz pierwszy w życiu doznawała rozkoszy czynienia czegoś, posiadającego wartość dla szczęścia innych. Postanowienie jej czynienia wszystkiego po uprzedniem zapytaniu się "Jakby Chrystus postąpił?" dotknęło jej najgłębszej natury. Zaczęła ona rozwijać się i wzmacniać w sposób zdumiewający. Nawet miss Winslow była zniewolona uznać wielką pożyteczność i piękność charakteru Felicyi. Ciotka spoglądała ze zdumieniem na swą siostrzenicę, tę dziewczynę wychowaną w mieście w największym zbytku, córkę milionera, ruszającą się obecnie w jej kuchni z rękami umączonemi (czasami mąka znajdowała się nawet na nosie), mieszająca różne ingredyencye z największem zainteresowaniem się wynikami, myjącą garnki i rondle i spełniającą zwyczajną pracę służącej w kuchni miss Winslow, oraz w izbach osady w czworoboku.

Nastała znowu jesień i miasto znalazło się wobec twardej zimy. Biskup wyszedł pewnego popołudnia z osady w zamiarze odwiedzenia jednego ze swych nowych przyjaciół dystryktu; przeszedł cztery przecznice, gdy uwagę jego zwrócił sklep inaczej od innych wyglądający. Okolica była jeszcze całkiem nieznana biskupowi, to też codzień odkrywał jakieś dziwne miejsce lub spotykał niespodziewanego człowieka.

Miejsce, które zwróciło jego uwagę, było małym domkiem tuż obok chińskiej pralni. Na froncie znajdowały się dwa okna bardzo czyste, co go przedewszystkiem uderzyło. W oknie widniały ponętnie materyały spożywcze z cenami, umieszczonemi na różnych artykułach i to zdumiało nieco biskupa, gdyż wiadome mu już były liczne objawy życia ludzi całkiem mu przedtem nieznanych.

Gdy tak stał zapatrzony w okno, drzwi domu się otworzyły i wyszła z nich Felicya Sterling.

—Felicya!—rzekł biskup.—Kiedyż to wprowadziłaś się do mojej parafii bez mej wiedzy?

—Jakimże porządkiem wynalazłeś mnie pan tak prędko?—spytała Felicya.

—Jakim? Wszakże to są jedyne czyste okna w ulicy.

—Zdaje mi się, że tak—odparła Felicya z uśmiechem, który miłe na biskupa uczynił wrażenie.

—Ale dlaczego ośmieliłaś się przyjść do Chicago bez opowiedzenia się mnie i dlaczego weszłaś do mojej dyecezyi bez mojej wiedzy?—pytał biskup.

Felicya tak była podobna do tego pięknego, czystego, wykształconego, gładkiego świata, jaki znał ongi, że można mu wybaczyć, iż widział w niej część

dawnego raju. Chociaż przyznać trzeba, że biskup wcale nie pragnął wracać do niego.

—Ba, kochany biskupie—rzekła Felicya, która zawsze tak go mianowała, ile razy się ze sobą spotkali —wiedziałam jak bardzo jesteś obarczony pracą. Nie chciałam zajmować pańskiej uwagi mojemi planami. Zresztą zamierzam ofiarować panu swoje usługi. Właśnie wybierałam się niebawem dla zasięgnięcia pańskiej rady. Tymczasem mieszkam tu razem z mrs. Bascom, wynajmującą nasze trzy pokoje i z jedną uczennicą Racheli, której w nauce gry na skrzypcach pomaga Virginia Page. Jest ona z ludu—ciągnęła Felicya, wymawiając słowa "z ludu" tak poważnie i nieświadomie, że się biskup uśmiechnął—prowadzę jej dom i próbuję równocześnie doświadczenia z rzetelnem jadłem dla mas. Jestem ekspertką i posiadam plan, który pragnę, abyś pan podziwiał i poparł. Czyż zechcesz to uczynić, kochany biskupie?

—Oczywiście, że zechcę—odparł biskup.

Widok Felicyi i jej nadzwyczajna żywotność, zapał, oraz cel określony oszołomiły go niemal.

—Marta może pomagać Osadzie swemi skrzypcami, a ja kuchnią. Zamierzałam osiąść naprzód, wypracować cokolwiek, a potem zjawić się z gotową rzeczą. Jestem obecnie w stanie zapracować na własne utrzymanie.

—Felicyo! rzekł biskup.—

Musisz odwiedzić Osadę. Chcę, żebyś się przyjrzała naszej pracy. Jestem po prostu zdumiony znalezieniem cię tutaj, zarabiającej na życie w taki sposób.

Felicya pragnęła odwiedzić osadę i udała się tamże z biskupem. Zdumiała się wynikami, osiągniętemi przez znaczną kwotę pieniędzy i sporą dozę dobrej woli. Chodząc po budynku, rozprawiali nieustannie. Felicya była wcieleniem zapału życiowego. Nawet biskup dziwił się jego objawom, tak dobitnie występującym.

Udali się na dół do rodzaju wysokich suteren, biskup roztworzył drzwi, z poza których wydobywał się odgłos stolarskiego hebla. Był to mały, ale dobrze zaopatrzony warsztat stolarski. Młody człowiek z papierową czapką na głowie i ubrany w bluzę gwizdał i heblował. Gdy biskup i Felicya weszli, podniósł wzrok i zdjął czapkę, przyczem jakaś skręcona hehlowina przyczepiła mu się do włosów.

—Miss Sterling, mr. Stefan Clyde—rzekł biskup.—Clyde udziela nam tu pomocy dwa popołudnia co tydzień.

W tej właśnie chwili zawezwano biskupa na górę, wskutek czego przeprosił i wyszedł na chwilę, zostawiając Felicyę z młodym stolarzem.

—Już spotkaliśmy się kiedyś dawniej ze sobą—rzekła Felicya, patrząc na Clydea swobodnie.

—Tak, dawniej w świecie, jakby powiedział biskup—odparł młody człowiek, a palce jego zadrżały nieco, choć je oparł o heblowaną deskę.

—Tak.—Felicya zawahała się.—Bardzo mi przyjemnie widzieć pana.

—Czyż tak?—Rumieniec radości oblał czoło młodego stolarza.—Od czasu naszego widzenia się miałaś pani wiele przejść?—powiedział i przeląkł się, że ją może zranił lub wywołał bolesne wspomnienia. Ale

Felicya mogła już o tem wszystkiem myśleć spokojnie.

—Tak, a i pan także. Jakimże porządkiem stało się, że pan pracuje tutaj?

—Długa to historya, miss Sterling. Ojciec mój utracił majątek, a ja byłem zniewolony iść do pracy. Dobra to była rzecz dla mnie. Biskup powiada, że powinienem być wdzięcznym. Jestem. Czuję się obecnie bardzo szczęśliwy. Nauczyłem się rzemiosła w nadziei być kiedyś pożytecznym. Jestem nocnym subjektem w jednym z hoteli. Tej samej niedzieli, w której pani uczyniłaś swój ślub w Nazareth Avenue Church, jam go uczynił z innymi.

—Czy tak?—rzekła Felicya zwolna.—Cieszy mnie to.

Wtedy właśnie wrócił biskup poczem niebawem zabrał Felicyę, zostawiając młodego stolarza przy pracy. Ktoś zauważył, że heblując gwizdał głośniej, niż zwykle.

—Czyś ty, Felicyo, znała Stefana Clydea, poprzednio?—spytał biskup.

—Tak, dawniej w świecie, kochany kiskupie, był on jednym z mych znajomych w Nazareth Avenue Church.

—Ah!—odezwał się biskup.

—Byliśmy dobrymi przyjaciółmi—zauważyła Felicya.

—Byłoby wcale nie źle, gdyby tych dwoje polubiło się—pomyślał sobie biskup.

Wskutek jednego z tych cudownych zbiegów okoliczności, jakie zdają się powstawać w sposób nadnaturalny, zdarzyło się, że pewnego popołudnia Felicya wyszła z Osady z koszem jadła, które miała zostawić

jako próbki u piekarza w dystrykcie Penrose, gdy Stefan Clyde otworzył drzwi stolarni w suterenach i wyszedł przez nie właśnie w chwili, kiedy Felicya zbliżała się do chodnika.

—Pozwól mi pani, proszę ponieść ten koszyk— rzekł.

—Dlaczego mówisz pan: proszę?—spytała Felicya, podając mu kosz.

—Wolałbym powiedzieć co innego—odparł Stefan, spoglądając na nią nieśmiało, a jednakże ze śmiałością, która go przestraszyła, gdyż kochał Felicyę codzień więcej od chwili ujrzenia jej, a zwłaszcza od chwili kiedy razem z biskupem zeszła na dół do warsztatu, wskutek czego przez ciąg wielu tygodni często dotrzymywali sobie towarzystwa.

—Cóż innego chciałbyś pan powiedzieć?—spytała Felicya niewinnie, wpadając w łapkę.

—Ba—rzekł Stefan, odwracając swą miłą, szlachetną twarz ku niej i patrząc na nią wzrokiem człowieka, który pragnie posiąść najlepszą cząstkę wszechświata—chciałbym powiedzieć: Pozwól mi nieść swój kosz, kochana Felicyo.

Felicya nie była nigdy w swem życiu tak piękna. Szła przez chwilę, nie odwracając nawet twarzy ku niemu. Nie było sekretem dla jej własnego serca, że oddała go Stefanowi już od jakiegoś czasu. Wreszcie zwróciła się i rzekła trwożnie z twarzą zarumienioną i czułym wyrazem oczu:

—Czemuż więc pan tak nie powiesz?

—Czyż mi wolno—zawołał Stefan i przez chwilę tak niedbale trzymał koszyk, że Felicya zawołała:

—Owszem! Ale nie wyrzuć mego towaru!

—Nie upuściłbym tak cennych rzeczy za żadne skarby świata, droga Felicyo—rzekł Stefan, który teraz nie szedł, lecz płynął w powietrzu przez kilka przecznic; co więcej powiedziano w czasie tego spaceru, to stanowi prywatną korespondencyę, do której nie wolno nam zaziérać.

Jeno z historyi tego dnia zapisać należy, iż kosz nie doszedł miejsca swego przeznaczenia i że we wprost przeciwnym kierunku późno już popołudniu biskup, idący spokojnie w odludnem miejscu w pobliżu zewnętrznej granicy Osady, usłyszał znany głos mówiący:

—Ale powiedz mi Felicyo, kiedy mnie zaczęłaś kochać?

—Pokochałam małą heblowinę nad twem uchem, tego dnia, kiedym cię ujrzała w warsztacie—rzekł drugi głos ze śmiechem tak czystym, tak jasnym, tak słodkim, że aż miło było go słuchać.

W następnej chwili biskup zjawił się za rogu i wszedł na nich.

—Dokądże to idziecie z tym koszykiem?—próbował mówić surowo.

—Niesiemy go.—Dokądże my go niesiemy, Felicyo?

—Kochany biskupie, niesiemy go do domu dla rozpoczęcia.

—Dla rozpoczęcia gospodarstwa—dokończył Stefan, przybywając na pomoc.

—Czy tak—rzekł biskup.—Spodziewam się, że zaprosicie mnie do udziału. Już ja znam kuchnię Felicyi.

—Biskupie, kochany biskupie—rzekła Felicya, nie usiłując wcale ukryć swego szczęścia. — Zaiste, będziesz zawsze najbardziej szanowanym gościem. Czy cieszysz się z tego?

—Tak, zapewne—odparł biskup, tłumacząc sobie słowa Felicyi tak, jak ona tego pragnęła.

Potem zamilkł na chwilę i rzekł łagodnie:

—Niech was Bóg błogosławi—i poszedł swoją drogą ze łzą w oku i modlitwą w sercu, zostawiając ich samych z ich radością.

—Tak. Czyż niebiańska siła miłości, siła czysto ziemska, nie ma być udziałem uczniów człowieka smutku i dźwigacza ciężaru grzechów? Tak, zaiste! Ten mężczyzna i ta kobieta pójdą ręka w rękę przez wielką pustynię ludzkiego cierpienia w tem mieście, wspierając się nawzajem, potężniejąc w miłości równocześnie z poznawaniem smutków świata, krocząc w Jego ślady ściślej jeszcze wskutek tej właśnie miłości, przynosząc błogosławieństwo tysiącom nędznych istot, ponieważ podzielą z innymi rozkosze własnego domostwa. "Dlatego—rzekł nasz Pan, Jezus Chrystus—mężczyzna opuści ojca i matkę a przylgnie do swej żony." Felicya i Stefan, idąc za Mistrzem, wielbią Go głębszem i prawdziwszem służeniem Mu, oraz oddaniem się wskutek ziemskiego uczucia, które samo niebo uświęca swem uroczystem błogosławieństwem.

ROZDZIAŁ X.

A jednak brakowało ci jednej rzeczy; sprzedaj wszystko, co posiadasz i rozdziel pomiędzy ubogich, a posiądziesz skarby w niebie, chodź i i idź za Mną.

Wkrótce potem, kiedy dzieje tej miłości stały się częścią historyi osady, Henryk Maxwell z Raymond, przybył do Chicago z Rachelą Winslow, Virginią Page, Rollinem, Aleksandrem Powers i prezydentem Marshem, co dało powód do zdumiewającego zgromadzenia w sali osady, urządzonego przez biskupa i dr. Brucea, któremu wreszcie udało się skłonić Maxwella i jego towarzyszy do wzięcia udziału w mityngu. Biskup zaprosił na ten mityng do sali osady ludzi nie mających pracy, nędzne istoty, które utraciły wiarę w Boga i ludzi, anarchistów i niewiernych, wolnomyślnych i bezmyślnych. Henryk Maxwell i jego towarzysze znaleźli się wobec przedstawicieli najgorszych, najbezradniejszych, najniebezpieczniejszych, najbardziej zdegradowanych elementów miejskich. A jednak Duch św. ogarniał to wielkie, pulsujące, samolubne, goniące za użyciem, grzeszne miasto, znajdujące się w ręku Boga—nie wiedząc zupełnie, co je czeka. Wszyscy mężczyzni i kobiety na mityngu czytali tego wieczora motto osady nad drzwiami, stanowiące widny transparent: "Jakby Chrystus postąpił?"

A Henryk Maxwell, wchodząc przez drzwi, doznał silnego wzruszenia, bo przypomniał sobie, jak pytanie to nasunęło mu się po raz pierwszy pod wpływem obdartego młodego człowieka, który zjawił się w Pierwszym kościele w Raymond na rannej służbie Bożej.

Czyż wielkie jego pragnienie chrześcijańskiego uczennictwa miało zostać zaspokojone? Czy ruch zaczęty w Raymond, obejmie istotnie cały kraj? Przybył do Chicago ze swymi przyjaciółmi częściowo dlatego, aby zobaczyć, czy odpowiedź na to pytanie znajdzie się w sercu życia miejskiego. W kilka chwil stanie przed ludem. Nabrał wielkiej siły i spokoju od czasu, kiedy po raz pierwszy mówił z drżeniem do zgromadzenia robotników warsztatów kolejowych, ale i teraz jak ongi modlił się o pomoc. Potem wszedłszy z biskupem i resztą uczniów, przeżył jeden z największych i najważniejszych wypadków ludzkiego żywota. Czuł, że ten mityng da niejaką wskazówkę odpowiedzi na jego ustawiczne pytanie: "Jakby Chrystus postąpił?" Gdy patrzył w oczy mężczyzn i kobiet, którzy przez lata byli wrogami kościoła, serce jego zawołało: "O mój Mistrzu, naucz Swój Kościół, jak lepiej iść w Twoje ślady." Czy prośba Henryka Maxwella ma się doczekać zadośćuczynienia? Czy kościół w mieście odpowie jego nawoływaniu do naśladowania Go? Czy zechce wstępować w Jego ślady bólu i cierpienia? Nad miastem unosi się nieustannie Duch. Nie zasmucaj Go, o miasto! Gdyż nie był On nigdy bardziej gotów, niż dzisiaj do zreformowania świata.

Wątpić należy, czy Henryk Maxwell stawał kiedykolwiek w życiu przed takiem audytoryum Ale jest

rzeczą całkiem pewną, że miasto Raymond nie posiadało tak różnolitej ludności. Nawet czworobok w swych najgorszych chwilach nie mógł dostarczyć tylu mężczyzn i kobiet, nie ulegających zupełnie wpływowi kościoła, oraz wszelkiej religii, nawet czystemu chrześcijaństwu.

O czemże miał mówić? Ten punkt już rozstrzygnął. Mówił najprostszym językiem, na jaki go było stać, o niektórych wynikach posłuszeństwa ślubowi, uczynionemu w Raymond. Każdy mężczyzna i każda kobieta w tem zgromadzeniu wiedziała coś o Jezusie Chrystusie. Wszyscy mieli niejakie pojęcie o Jego charakterze, a jakkolwiek zajęli nieprzychylne stanowisko względem form chrześcijańskiego duchowieństwa i systemu społecznego, to jednak zachowali pewien miernik słuszności i prawdy, otrzymany od galilejskiego wieśniaka.

Tak więc zainteresowali się słowami Maxwella. "Jakby Chrystus postąpił?" Zaczął on stosować to pytanie do zagadnień społecznych w ogólności. Audytoryum słuchało go z szacunkiem. Więcej nawet, bo zdradzało istotne zainteresowanie się. W miarę jak mr. Maxwell mówił, twarze w całej sali zaczęły pochylać się ku przodowi w sposób rzadko widziany w zgromadzeniach kościelnych z wyjątkiem robotników, albo też ludu ulicznego, gdy gruntownie zostanie zainteresowany. "Jakby Chrystus postąpił?" Przypuśćmy, żeby to stało się hasłem nietylko kościołów, ale i ludzi interesu, polityków, dzienników, robotników, ludzi z towarzystwa—ileżby trzeba czasu do zrewolucyonizowania świata w takich warunkach? Cze-

goż światu brakuje? Cierpi on wskutek samolubstwa. Nikt nie zdołał pokonać samolubstwa lepiej od Chrystusa. Gdyby ludzie naśladowali Go, bez względu na wyniki, świat, zacząłby natychmiast wieść nowe życie.

Dzisiaj mamy masę nominalnego chrześcijaństwa. Potrzebujemy zaś więcej istotnego. Potrzebujemy odrodzenia chrześcijaństwa Chrystusowego. Nieświadomie, leniwie, samolubnie, wytworzyliśmy sobie uczennictwo, któregoby Chrystus sam nie uznał. Wielu z nas, gdy wołamy: Panie! Panie! powiedziałby On: Nie znałem was nigdy. Czyśmy gotowi podjąć krzyż? Czy kościół ten może śpiewać ze ścisłą prawdą:

Chryste, wziąłem swój krzyż,

Aby wszystko rzucić a iść za Tobą.

Kiedy prawdziwie będziemy w stanie tak zaśpiewać, wtedy możemy mówić o uczennictwie. Ale jeżeli nasze określenie chrześcijanina polega jedynie na braniu udziału w przywilejach czci dla Chrystusa, na szlachetności bez uszczerbku dla nas samych, na miłem spędzaniu czasu w otoczeniu miłych przyjaciół i różnych wygód, na życiu pełnem szacunku i na równoczesnem unikaniu wielkiego światowego ciężaru grzechu i zmartwień, ponieważ niesienie go sprawiałoby za wiele bólu, jeżeli to jest nasze określenie chrześcijaństwa, to napewne jesteśmy dalecy od wstępowania w ślady Tego, który kroczył po swej ścieżce wśród jęków i łez, oraz łkań cierpienia za straconą ludzkością, który oblewał się krwawym potem i wołał na wzniesionym ku niebu krzyżu: Ojcze! Ojcze! czemu mnie opuściłeś?

—Czyśmy gotowi stworzyć nowy typ uczennictwa? Czyśmy gotowi poddać rewizyi nasze określenie chrześcijanina? Cóż to znaczy być chrześcijaninem? To znaczy naśladować Chrystusa. To znaczy postępować tak, jakby On postępował. To znaczy wstępować w Jego ślady.

Gdy Henryk Maxwell skończył swe kazanie spauzował i spojrzał na słuchaczy wzrokiem, którego nigdy nie mogli zapomnieć, a którego w danej chwili nawet nie rozumieli. Stłoczeni w tym modnym kościele owego dnia byli mężczyzni i kobiety, którzy przez lata wiedli żywot z imienia tylko chrześcijański. Uroczyste milczenie zapanowało w kongregacyi. Przez to milczenie przedarła się do świadomości wszystkich obecnych nieznana im przez wiele lat znajomość mocy Boskiej. Każdy oczekiwał ze strony kaznodziei wezwania do wstępowania w ślady Chrystusa. Ale tym razem Duch natchnął Maxwella jedynie do wygłoszenia kazania i do czekania na rezultaty.

Zamknął służbę Bożą wzruszającą modlitwą, wskutek której każdy słuchacz czuł blizko siebie Boską obecność, a zgromadzeni powstawali zwolna, aby wyjść.

Teraz nastąpiła scena, która byłaby niemożliwa, gdyby sam człowiek chciał ją spowodować.

Mężczyzni i kobiety zgromadzili się w znacznej ilości koło platformy, aby przemówić do Henryka Maxwella i ofiarować mu obietnicę złożenia ślubu takiego postępowania, jakby postępował Chrystus. Był to ruch dobrowolny, samorzutny, który wywarł na duszę Maxwella wpływ nieopisany. Ale czyż nie mo-

dlił się o to właśnie? Była to odpowiedź, która przewyższyła jego najświętsze pragnienia.

Po tym ruchu nastąpiła modlitewna służba, która powtórzyła wrażenia Raymondzkie. Wieczorem ku niezmiernej radości Maxwella Tow. Chrześcijańskiego Usiłowania, wystąpiło prawie "in gremio," składając uroczysty ślub postępowania tak, jakby postąpił Chrystus. Olbrzymia fala chrztu duchownego rozlała się po zgromadzeniu pod koniec mityngu, tak nieopisanego w swych radosnych, sympatycznych objawach.

Był to pamiętny dzień w dziejach tego kościoła, a więcej jeszcze w historyi życia Henryka Maxwella. Opuścił mityng bardzo późno. Udał się do swego pokoju w Osadzie, gdzie jeszcze mieszkał, a po godzinie spędzonej z biskupem i dr. Brucem w radosnem rozpamiętywaniu cudownych wypadków dnia, zasiadł znowu, aby przemyśleć raz jeszcze to wszystko, czego doświadczył jako uczeń i wyznawca Chrystusa.

Ukląkł, aby się pomodlić, a wtedy miał widzenie tego, coby mogło być na świecie, gdyby nowe uczennictwo utorowało sobie drogę do sumienia i świadomości świata chrześcijańskiego. Posiadał całą świadomość jawy, ale nie mniej pewnie zdawało się mu, że pewne rezultaty widział z wielką jasnością, częściowo jako rzeczywistość w przyszłości, częściowo jako wielkie pragnienie urzeczywistnienia się. A oto co Maxwell widział w swym śnie na jawie.

Naprzód widział siebie wracającego do Pierwszego kościoła w Raymond i żyjącego tam w jeszcze prostszy sposób, niżeli żył do tej pory, ponieważ widział sposoby, w jakieby mógł nieść pomoc innym, istotnie od

niego pomocy potrzebującym. Widział też choć mniej jasno, że przyjdzie czas, w którym stanowisko jego jako proboszcza kościoła przyniesie mu więcej cierpienia wskutek rosnącej opozycyi przeciwko jego interpretacyi Chrystusa i Chrystusowej nauki. Ale to zarysowywało się niejasno. Poprzez wszystko słyszał słowa: "Moja łaska jest wystarczająca dla ciebie."

Widział on Rachelę Winslow i Virginię Page, kontynuujące swą pracę w czworoboku i wyciągające miłosne i pomocne dłonie daleko poza granice Raymondu. Rachelę widział zaślubioną Rollinowi Page, oboje zaś poświęconych służbie Pana, oboje wstępujących w Jego ślady z gorliwością, wzmocnioną i oczyszczoną przez wzajemną miłość. Głos Racheli rozlegał się w domach biedaków, w schronieniach rozpaczy i grzechu, przyciągając znowu ku Bogu i ku niebu zgubione dusze.

Widział Marsha, prezydenta kollegium, używającego swej znacznej wiedzy i swego wielkiego wpływu dla oczyszczenia miasta, dla uszlachetnienia patryotyzmu, dla natchnienia młodych kobiet i mężczyzn, którzy go zarówno kochali, jak podziwiali, aby prowadzili żywot służby chrześcijańskiej, ucząc ich zawsze, iż wychowanie oznacza wielką odpowiedzialność za słabych i nieświadowych.

Widział, jak Aleksander Powers musiał znosić bolesne próby w swemu życiu domowem wskutek odsunięcia się od niego żony i przyjaciół, a mimo to szedł swoją drogą w honorze, podziwiając Pana w Jego całej sile, Pana, któremu służył aż do utraty stanowiska społecznego i bogactwa.

Widział Miltona Wrighta, kupca, znoszącego

ogromne niepowodzenie, rzuconego w przyszłość wskutek zbiegu okoliczności, który pociągnął za sobą upadek ogromnego interesu bez jego winy i zmuszonego rozpocząć na nowo pracę, któraby go doprowadziła do stanowiska, na którem mógłby dawać setkom młodych ludzi przykład tego, jakby Chrystus postępował w interesie.

Widział Edwarda Normana, redaktora pisma The News, który dzięki środkom materyalnym, dostarczonym przez Virginię, stworzył czynnik w dziennikarstwie, który z czasem uznano jako jeden z istotnych czynników życia narodowego, kształtujący jego zasady i jego politykę, za codzienną ilustracyę potęgi chrześcijańskiej pracy, za pierwsze w szeregu pism, prowadzonych przez uczniów, którzy ten sam ślub uczynili.

Widział Jaspera Chase, który zaparł się swego Mistrza, prowadził życie zimne, cyniczne, pisał nowelle, cieszące się powodzeniem w szerokich kołach towarzyskich, choć każda z nich posiadała jakieś żądło, przypominające jego zaparcie się, a będące gorzkim wyrzutem, którego żadne powodzenie towarzyskie nie mogło usunąć.

Widział Różę Sterling, będącą przez lata na utrzymaniu ciotki i Felicyi, a w końcu poślubioną człowiekowi o wiele od siebie starszemu, za którego wyszła bez miłości byle tylko być żoną bogatego człowieka i posiąść materyalne przyjemności, które stanowiły dla niej treść życia. Widzenie rzucało na to życie pewne straszne cienie, ale szczegółów nie mógł dojrzeć.

Widział szczęśliwie poślubioną Felicyę i Stefana

Clydea, żyjących ze sobą życiem pięknem, pełnem entuzyazmu i radości w cierpieniu, niosących swe wielkie, potężne usługi do ciemnych i strasznych miejsc wielkiego miasta — zbawiających dusze przez osobiste zetknięcie się z ich smutnymi stosunkami domowemi.

Widział wielką ilość mężczyzn zbawionych i udających się na przemian ku innym, zwyciężających ich namiętności przez łaskę Boską i dowodzących swem codziennem życiem rzeczywistości nowych urodzin nawet wśród najniższych i najbardziej opuszczonych.

Teraz widzenie uległo zamieszaniu. Zdało mu się, że klęcząc zaczął się modlić, a wizya jego była raczej pragnieniem przyszłości, niżeli rzeczywistą przyszłością.

Kościół Chrystusów w mieście i w całym kraju czy zechce wstępować w ślady Chrystusa? Czy ruch, zaczęty w Raymond, ma się ograniczyć do kilku kościołów na podobieństwo Nazareth Avenue Church w którym dziś miał kazanie, a potem skonać, jako ruch miejscowy, nie sięgający głęboko? Pragnął znowu gorąco wizyi. Zdało mu się, że widział kościół Chrystusa w Ameryce, otwierający swe serce na przyjęcie nowego ruchu i wznoszący się do poświęcenia wygody, oraz samozadowolenia w imię Chrystusa. Zdało mu się że widział motto: "Jakby Chrystus postąpił?" umieszczone nad drzwiami każdego kościoła i wypisane w sercu każdego członka kościoła. Widzenie znikło. Potem wróciło wyraźniejsze niż poprzednio, wskutek czego widział Tow. Chrześcijańskiego Usiło-

wania na całym świecie niosące w olbrzymiej procesyi podczas jakiejś potężnej konwencyi chorągiew, na której widniał napis: "Jakby Chrystus postąpił?" Zdało mu się, że widział w twarzach młodzieży radość przyszłych cierpień, strat, zaparcia się, nawet męczeństwa. A gdy ta część widzenia, powoli zbladła, ujrzał postać Syna Bożego, używającego zarówno jego jak i wszystkich, występujących w historyi jego życia. Gdzieś w dali śpiewały chóry anielskie. Ozwał się dźwięk jakby wielu głosów, oznajmiających ogromne zwycięstwo. A postać Chrystusa stawała się coraz wspanialsza. Stał on u końca długich schodów. "Tak! Tak! O mój Mistrzu, czyż nie nastała jeszcze pora brzasku tego millenium w historyi chrześcijaństwa? Oh, zeszlij na chrześcijaństwo współczesne światło i prawdę. Pomóż nam iść za Tobą przez całą drogę!"

Powstał nareszcie z takiem uczuciem grozy, jak gdyby patrzył na rzeczy niebieskie. Odczuwał ludzką potęgę i ludzkie grzechy jak nigdy przedtem. A z nadzieją, która idzie ręka w rękę z wiarą oraz miłością, Henryk Maxwell, uczeń Chrystusa, ułożył się do snu i śnił o odrodzeniu się chrześcijaństwa i widział w swym śnie kościół Chrystusa "bez zmazy lub zmarszczki, czy czegoś podobnego," idący za Nim przez całą drogę i wstępujący z posłuszeństwem w Jego ślady.

Koniec.

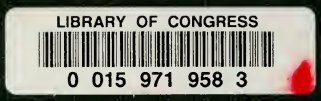
LIBRARY OF CONGRESS
0 015 971 958 3